

MAURIZIO DE GIOVANNI

METODA KROKODYLA



Jest perfekcyjną maszyną
do zabijania: obserwuje,
czeka w ukryciu i atakuje.

MAURIZIO
DE GIOVANNI

**METODA
KROKODYLA**

przełożył
Paweł Bravo



WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału: *Il metodo del Coccodrillo*

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Grażyna Muszyńska*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska*

Fotografie wykorzystana na okładce

© Mario 7/Shutterstock,

© Siriluk ok/Shutterstock

© 2012 by Maurizio de Griovanni.

Published by arrangement with The Italian Literary Agency

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2019

© for the Polish translation by Paweł Bravo

ISBN 978-83-287-0215-8

Wydanie I

Warszawa 2019

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6212519

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](http://MAGRAF.s.c.), Bydgoszcz

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dlaczego napisałem tę powieść](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[XI](#)

[XII](#)

[XIII](#)

[XIV](#)

[XV](#)

[XVI](#)

[XVII](#)

[XVIII](#)

[XIX](#)

[XX](#)

[XXI](#)

[XXII](#)

[XXIII](#)

[XXIV](#)

[XXV](#)

[XXVI](#)

[XXVII](#)
[XXVIII](#)
[XXIX](#)
[XXX](#)
[XXXI](#)
[XXXII](#)
[XXXIII](#)
[XXXIV](#)
[XXXV](#)
[XXXVI](#)
[XXXVII](#)
[XXXVIII](#)
[XXXIX](#)
[XLI](#)
[XLI](#)
[XLII](#)
[XIII](#)
[XLIV](#)
[XLV](#)
[XLVI](#)
[XLVII](#)
[XLVIII](#)
[XLIX](#)
[L](#)
[LI](#)
[LII](#)
[LIII](#)
[LIV](#)
[LV](#)
[LVI](#)
[LVII](#)
[LVIII](#)
[LIX](#)
[LX](#)
[LXI](#)
[LXII](#)

LXIII

LXIV

LXV

LXVI

LXVII

LXIII

LIX

LXX

LXXI

Podziękowania

Dlaczego napisałem tę powieść

Jak wszyscy, my czytelnicy wiemy, że książka nie jest niczym innym jak biletem na podróż. Służy, by wyjechać w inne miejsce, nieważne, czy daleko, czy blisko. Wystarczy, żeby to było gdzieś indziej, gdzie możemy się ukryć. To nie ucieczka, raczej wakacje. Trwają tyle czasu, ile trzeba, by odnaleźć własne myśli oraz tę część siebie, którą trzymamy zamkniętą w piwnicy duszy, bo jest najprawdziwsza i intymna, więc najbardziej wrażliwa i najmniej przystosowana do codziennego życia.

Pisarz moim zdaniem jest przewodnikiem. Kierowcą autobusu, który bez zatrzymywania się opowiada przez mikrofon turystom, gdzie się znajdują i jakie widoki mają za oknem. Coś tam od siebie dodaje, ale jest przewodnikiem.

Kiedy postanowiłem napisać *Metodę Krokodyla*, dopiero co oddałem *Per mania*, czyli piąty tom z serii o komisarzu Ricciardim. Stałem się powoli doświadczonym przewodnikiem w podróży w lata trzydzieste, wiedziałem, dokąd zaprowadzić czytelników, których wciąż przybywało – to zasługa Ricciardiego i jego kompanów.

Nigdy nie myślałem o pracy powieściopisarza. Jako zapalony czytelnik myślałem, że trzeba się urodzić takim przewodnikiem, że powieść nie może być owocem improwizacji oraz zbiegu okoliczności, tak jak to się zdarzyło w moim przypadku – doznałem prawie do pięćdziesiątki, nie napisawszy nawet jednej historii.

Dookoła mnie wszyscy byli zadowoleni – wydawcy, agenci, księgarze – z książek, które dotychczas pisałem. Po cóż się zapuszczać w inne rejony? Po co ryzykować, że się zgubię na nieznanym terenie? Po co dezorientować czytelników?

Wszystko stało się za sprawą nieco złośliwego pytania, jakie pewna pisarka zadała mi podczas promocji książki. „Czy to nie zbyt wygodne ciągle opowiadać o tych samych bohaterach? – spytała. – Czy to nie za łatwe, móc zawsze liczyć na tak sugestywne, atrakcyjne i szczególne okoliczności i świat przedstawiony?”

Nigdy tak o tym nie myślałem. Dla mnie opowiadanie o Ricciardim było i nadal jest jak powrót do domu. Odnajdywanie znanej, lubianej atmosfery, ponowne odczuwanie smaków i zapachów, których w rzeczywistości nigdy nie poznałem. Lekkie poczucie nostalgii, pełne czułości dla tych żywotów powstałych w mojej

wyobraźni, a jednak tak prawdziwych.

Ale tamta złośliwa pisarka miała rację. Czy potrafię być przewodnikiem po ulicach w moich czasach, a nie w odległej epoce?

Metoda Krokodyla narodziła się tamtego wieczoru, kiedy wracałem z promocji w lekkim deszczu, który zamieniał moją dzielnicę Vomero w scenografię *Blade Runnera*. Jaką historię mam do opowiedzenia?

Przyszła mi do głowy najstraszniejsza postać, jaką spotkałem w literaturze i kinie: nie maska szaleńca Hannibala Lectera z *Milczenia owiec* ani rozpaczliwy chichot z *Lśnienia*, lecz wodnisty wzrok i wąs Alberta Sordiego z *Szaleństwa małego człowieka*, nakręconego na podstawie fantastycznej powieści Ceramiego. Człowiek niewidzialny, tak przeciętny, że jest nikim i niczym, jeżdżący poobijanym fiatem 500. Najstraszniejszy drapieżnik w żelbetowej dżungli.

Mój przestępca musiał go przypominać. Serce złamane na zawsze, postać naznaczona cierpieniem tak wielkim, że stawało się jedyną siłą napędową jego egzystencji. Musiał być zdeterminowany, mieć wolę zabijania i nie dbać o własną skórę, gdy wędrował wzdłuż murów, w cieniu, niczym szczur.

Naprzeciw niego musiał stanąć samotny, zdesperowany łowca, lekceważony, zepchnięty na margines, który rozpoznawałby uczucia i myśli niewidzialnego człowieka, bo, choć bał się do tego przyznać, podzielał je.

Cała więc opowieść w *Metodzie Krokodyla* rozwinęła się przede mną jasno i wyraźnie jak historia z jakiejś ludowej bajki. Zanim dotarłem do domu, była skończona.

Wyobraziłem sobie nawet film. Z tym samym aktorem w obydwu rolach, odmiennie ucharakteryzowanym, żeby jeszcze bardziej podkreślić fakt, że zabójcą i policjantem poruszały zgrane ze sobą uczucia – jak piosenka zagrana na ultradźwiękach, które tylko oni w całym mieście byli w stanie usłyszeć. Dwa okazy tego samego gatunku, po dwóch stronach barykady, toczące cichą wojnę pośród niczego nieświadomego tłumu.

Zacząłem pisać. Z początku chciałem zbudować powieść złożoną z naprzemiennych rozdziałów, jak upiorną partię tenisa, cios za ciosem, jeden głos po drugim. Ale pojawiły się inne postaci, które domagały się opowiedzenia swoich historii. Byłem posłuszny i poszedłem za ich opowieściami. Zawsze tak robię.

Tak się narodził inspektor Lojacono, z całą swoją samotnością, bólem, trudem istnienia. *Metoda Krokodyla* zostawiła mi w spadku jego, prokurator Laurę Piras oraz miasto i czas, w którym działają. Kiedy już ich spotkałem, jak to zwykle bywa, nie miałem serca porzucić ich na pastwę losu. Podążyłem za nimi dalej i pojawiła się

ekipa *Bękartów z Pizzofalcone*, nieufnych, pełnych wad, wspaniałych do opisania.

Ale to już oczywiście inna podróż.

Grudzień 2015

Maurizio de Giovanni

Luigiemu Alfredowi Ricciardiemu

i duszom w mroku

*Luli luli laj,
dam ci z nieba gwiazdkę...
Najładniejszą dam,
tylko śpij malutka.
Luli luli laj,
dam ci księżyc, jeśli chcesz,
jak mi miły Bóg,
tylko zaśnij już.*

I

Śmierć wjeżdża na tor trzeci o ósmej czternaście. Ma siedem minut opóźnienia.

Miesza się z tłumem ludzi pędzących do pracy, popychana, trącana teczkami i plecakami, wózkami i walizkami. Nikt nie czuje jej zimnego oddechu.

Kroczy niepewnie, broniąc się przed cudzym pośpiechem. Przystaje w wielkim holu dworca, pośród krzyków dzieci i w zapachu pieczonych rogalików. Rozgląda się, szybkim ruchem wycierając łzę pod lewym szkłem, chusteczka zaraz wraca do kieszonki marynarki.

Po odgłosach i przepływie ludzkiej masy orientuje się, gdzie w tym gąszczu nowych sklepów jest wyjście. Nie poznaje tego miejsca, tyle się pozmieniało przez te długie lata. Szukanie wyjścia będzie jedyną chwilą zawahania. Wszystko ma przygotowane w najdrobniejszych szczegółach.

Nikt jej nie dostrzega. Oczy chłopaka z papierosem w ustach opartego o filar prześlizgują się po niej, jakby była przezroczysta. Nie dostrzega nic wartościowego. Znoszone buty, niemodny garnitur, fotochromatyczne szkła i ciemny krawat. Spojrzenie wędruje dalej, by zatrzymać się na otwartej torebce pani, która gwałtownie gestykulując, rozmawia przez komórkę. Nikt nie zwraca uwagi na Śmierć, kroczącą przez dworcową halę.

Jest już na zewnątrz. Wilgoć. Zapach gazu. Chodnik pokryty śliską mazią. Dopiero co przestało padać. Promień słońca przebija się przez chmury, Śmierć mruży oczy zaskoczona światłem, ociera jeszcze jedną łzę. Rozgląda się, dostrzega postój taksówek, zmierza w ich kierunku, powłócząc nogami.

Wsiada do zdezelowanego samochodu. Smród spalin. Zapadnięta kanapa. Mamrocze w stronę kierowcy adres, ten go powtarza na głos, żeby potwierdzić. Taksówka rusza gwałtownie i włącza się do ruchu, wymuszając pierwszeństwo. Nikt nie protestuje.

Śmierć przybyła do miasta.

II

Starszy sierżant Luciano Giuffrè przeciągnął dłońmi po twarzy, unosząc nieco okulary, żeby przetrzeć oczy.

– Proszę pani, w ten sposób nic nie załatwimy, proszę mnie zrozumieć. Nie może nam pani tak zawracać głowy. Mamy tu kupę roboty. Niech pani po kolei wytłumaczy, co się stało.

Kobieta zacisnęła usta, rzucając spojrzenie na sąsiednie biurko.

– Panie komisarzu, proszę ciszej, bo tamten wszystko będzie o mnie wiedział.

Giuffrè rozłożył ręce.

– Pani szanowna, mówię to pani raz jeszcze, nie jestem komisarzem, tylko zwyczajnym starszym sierżantem, którego zesłali tu, żeby przyjmował zgłoszenia, a tamten nie podsłuchuje. To inspektor Lojacono, który dostał tę samą robotę co ja, ale jak pani widzi, ma większego farta, bo z jakiegoś powodu nikt do niego nie podchodzi.

Facet przy drugim biurku sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał tej rozmowy. Gapił się w ekran komputera, z ręką na myszce, ale myślami był gdzie indziej. Kobieta, jejmość w średnim wieku zaciskająca pulchne palce na torebce, ostentacyjnie przestała zwracać na niego uwagę.

– No sam pan rozumie, klienci zawsze wybierają tego sprzedawcę w sklepie, któremu mogą zaufać.

– Jakiego znowu sprzedawcę! Bo zaraz stracę cierpliwość. Pani sobie nie pozwala, tu jest komisariat, trochę szacunku! Klienci, sprzedawcy, tu nie mięsny! Albo mi pani zaraz zezna w dwie minuty, co się stało, albo każę panią wyprowadzić. Słucham.

Kobieta zatrzepotała rzęsami.

– Pan wybaczy, komisarzu, taka nerwowa z rana jestem. Ta z drugiego piętra, wie pan, znowu zaczęła sprowadzać koty do domu. Ma już trzy, rozumie pan? Trzy!

Giuffrè patrzył na nią z tępym wyrazem twarzy.

– A co niby mamy z tym zrobić?

Pochyliła się ku niemu i wyszeptwała:

– Te koty miauczą.

– Jezu, pewnie, że miauczą, jak to koty. To nie jest zakazane.

– No znów pan nie rozumie. Miauczą i śmierdzą. Wychyliłam się raz z balkonu i wołam do niej, całkiem spokojnie: ty zdziro, chyba wiesz, że musisz się wynieść z kamienicy razem z tym ścierwem?

Giuffrè aż pokręcił głową.

– No, całe szczęście, że mówiła pani spokojnie. A ona na to?

Aż się wyprostowała, żeby podkreślić swoje oburzenie.

– Kazała mi wypierdalać.

Giuffrè pokiwał głową, zgadzając się w duchu z właścicielką kotów.

– No i?

Otworzyła szeroko świńskie oczka.

– No więc składam skargę. Musicie ją wsadzić za kraty, komisarzu, ją i wszystkie te koty. Chcę ją zaskarżyć za to, że kazała mi wypierdalać.

Giuffrè nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać.

– Proszę pani, nie mamy tutaj cel i nie jestem komisarzem. I z tego co wiem, nie ma paragrafu na to, że ktoś każe komuś wypierdalać. A poza tym to pani pierwsza nazwała ją zdzirą, dobrze pamiętam? Niech pani posłucha. Proszę wrócić do domu i żyć trochę spokojniej. Parę kotów nikomu nie szkodzi, polują na myszy. Niech już pani idzie i nie zawraca mi głowy.

Wstała sztywno, zniesmaczona.

– I na to ja płacę podatki, co? Zawsze mówię mężowi, że za dużo paragonów nabija. Żegnam.

I wyszła.

Giuffrè zdjął okulary i rzucił je na biurko.

– Komu co ja złego zrobiłem w poprzednim życiu, że taka robota mi się trafiła, no ja się pytam. W mieście, gdzie codziennie są trupy na ulicy, ona przychodzi na komisariat ze skargą, że tamta, zresztą słusznie, kazała jej wypierdalać. Wyobrażasz sobie?

Policjant przy biurku obok oderwał na moment wzrok od monitora. Wąskie czarne oczy, wystające kości policzkowe, wydatne usta o regularnym kształcie. Rysy twarzy niemal orientalne. Na czoło opadały niesforne kosmyki. Miał niewiele ponad czterdziestkę, ale przeżycia już wyźłobiły zmarszczki wokół jego ust i w kącikach oczu.

– Daj spokój, Giuffrè, głupoty. Coś musisz zrobić, żeby przetrwać dzień.

Starszy sierżant szybkim ruchem włożył z powrotem okulary, udając zaskoczenie. Był drobnym ekspresyjnym człowieczkiem, który podkreślał gestykulacją to, co mówi, jakby jego rozmówca był głuchy.

– O, ho, ho, cud się stał, inspektor Lojacono się obudził! Podać kawę z rogalikiem? A może ty sobie dalej odpoczywaj, a ja skoczę po gazetkę, to się dowiesz, co dzieje się w kraju.

Lojacono odpowiedział z półuśmiechem.

– To nie moja wina, że ludzie, kiedy tu wchodzą i spojrzą na mnie przelotnie, to jednak idą do ciebie. Słyszałeś tę grubą? Klienci lubią niektórych sprzedawców.

Giuffrè wyprostował się na całe swoje sto sześćdziesiąt pięć centymetrów.

– Uważaj, bo płyniesz w tej samej dziurawej łódce. Myślisz, że jesteś tu tylko na chwilę? Wiesz, jak inni nazywają nasz wydział? Cottolengo, jak ten przytułek w Piemoncie. I co, wydaje ci się, że chodzi tylko o mnie?

Lojacono wzruszył ramionami.

– Chrzanię to. Niech ten ściek nazywają, jak chcą. Mnie bardziej obrzydza niż ich.

Wrócił do gry w pokera z komputerem. Na monitorze pojawiła się godzina i data: dziesiąty kwietnia dwa tysiące dwunastego roku. Dziesięć miesięcy i kilka dni. Od dziesięciu miesięcy i paru dni tkwił w tym miejscu.

W piekle.

III

Dziewczyna w recepcji miała na uszach słuchawki, w których leciała Beyoncé na pełen regulator. Za gówniane czterysta euro na czarno nie mogli zresztą od niej więcej oczekiwać. Aczkolwiek praca w hoteliku liczącym z dziesięć pokoi w dzielnicy Posillipo, gdzie mogła się przy okazji uczyć, była nie do pogardzenia. Ale też co to była za nuda. Podniosła wzrok znad książki i aż podskoczyła. Za kontuarem stał facet i jej się przyglądał.

– Przepraszam, nie słyszałam, jak pan wchodzi. Słucham?

Pierwsze wrażenie, to że był stary. Gdyby przyjrzała się uważniej i nie zatrzymała tylko na staroświeckim garniturze nieokreślonego koloru, ciemnym krawacie i okularach, których szkła zmieniały barwę w zależności od światła (Boże, jak dawno takich nie widziała? Ostatni raz chyba u dziadka), pewnie dałaby mu parę lat mniej. Ale miała na karku zbliżający się egzamin z finansów, a ze słuchawki dyndającej na szyi wciąż wyła Beyoncé, więc trzeba było jak najszybciej załatwić tego anonimowego klienta.

– Rezerwowałem pokój, zdaje się siódemkę. Niech pani łaskawie sprawdzi.

Głos równie anonimowy, niewiele głośniejszy od szeptu. Wyjął chusteczkę i szybko otarł lewe oko. Dziewczyna pomyślała, że pewnie ma alergię.

– Tak, mam tu rezerwację. Jeśli pan woli, to zwolniła się dziewiątka. Z okna widać morze, a siódemka wychodzi na ulicę. Jeśli pan chce, to możemy...

Przerwał jej uprzejmie:

– Nie, dziękuję. Wolę zatrzymać siódemkę, jeśli to nie problem. Może tam będzie ciszej, przyjechałem odpocząć. Proszę powiedzieć, jak to jest z kluczem, żeby móc wrócić... później? Czytałem na stronie, że jest taka możliwość, bo nie macie nocnego dyżuru w recepcji.

Przyjechał odpocząć, a pyta o klucz, żeby wracać nocą. Stary świntuch.

– Oczywiście, proszę, ten klucz otwiera boczną furtkę, a ten jest do pokoju. Jak długo planuje pan u nas zostać?

Zwykłe pytanie, ot, tak dla formalności. Stary człowiek wydawał się zastanawiać nad odpowiedzią, wodniste oczy za szklami patrzyły gdzieś w pustkę. Na czole pod rzadkimi siwymi włosami pojawiła się zmarszczka.

– Nie wiem. Jakiś miesiąc, może krócej. Niedługo w każdym razie.

– Jak panu będzie pasować. Proszę, pański dokument. Życzę miłego pobytu. – Beyoncé na powrót została podkładem dźwiękowym do nauki o finansach.

Pokój numer siedem. Wybrany starannie na planie hotelu przestudiowanym miliony razy w internecie. Jednoosobowe łóżko przy ścianie, łazienka z kabiną prysznicową bez bidetu, szafa ze skrzypiącymi zawiasami. Stolik, krzesło, komódka. Doskonale.

Położył walizkę na łóżku, rozsunął zamek błyskawiczny i szybko sprawdził zawartość. Zdjął marynarkę i odwiesił ją do szafy. Potem przesunął stolik pod okno i podciągnął do połowy roletę, nie rozsuwając zasłon. Popatrzył na wąską uliczkę na zapleczu i z zadowoleniem pokiwał głową. Rozwiązał krawat i usiadł. Przyglądał się długopisowi i kartkom z pretensjonalnym logo hotelu, znów spojrzął na moment przez okno i zabrał się do pisania.

W walizce było trochę ubrań. I pistolet.

IV

Lojacono po raz setny spojrzął na zegarek. Jedenasta pięćdziesiąt osiem, postanowił, że już nie może czekać dłużej, no i Giuffrè wreszcie gdzieś wyszedł. Chwycił słuchawkę, wybrał numer.

– Halo – odezwała się Sonia po drugiej stronie.

W jego umyśle na dźwięk jej głosu zmaterializowały się obrazy, które pospiesznie chciał skasować. Uśmiech, miękkie piersi, słodki smak ust. Dawne dzieje.

– Cześć, to ja.

– Cześć, gnojku, czego chcesz?

Lojacono uśmiechnął się gorzko.

– Też się cieszę, że cię słyszę, kochanie.

Kobieta podniosła głos.

– A żartuj sobie, proszę bardzo. Po tym, jak narobiłeś mnie i swojej córce takiego obciachu, że dopiero po roku mamy odwagę wyjść z domu. Świnia. I masz nie dzwonić, adwokat też mówił, że masz nie dzwonić. Masz tylko przysyłać pieniądze, rozumiesz?

Inspektor zasłonił oczy dłonią. Nagle opadł z sił.

– Proszę cię, Sonia, przecież pieniądze dostajesz co do dnia. Wysyłam prawie wszystko z nędznej pensji, tu mam główniane życie, nawet sobie nie wyobrażasz. Nie ma sensu, żebyś mi jeszcze ty dokładała.

Kobieta wybuchła śmiechem.

– Ja ci dokładam? Zdajesz sobie sprawę, co nam zrobiłeś? Gdybyś chociaż umiał zgrywać mafiosa. Szanowaliby nas, mnie i Marinellę, a tak nawet krewni odwracają głowy. I musimy mieszkać tutaj, gdzie nikt nas nie zna, jak jakieś kurwy albo złodziejki. Bądź przeklęty.

Przeklęty, jak niewiele trzeba, by nim zostać.

– Tak czy owak, chciałem się dowiedzieć, jak się czujecie. Chciałem pogadać z Marinellą.

– Zapomnij o tym, zapomnij, rozumiesz? Ona nie chce z tobą gadać, a ja ją muszę chronić. Ma tylko piętnaście lat i jej życie towarzyskie przestało istnieć przez ciebie. Nie próbuj się z nią kontaktować bezpośrednio. Zmieniła numer komórki – odwarknęła z wściekłością Sonia.

Lojacono walnął dłonią o blat z całej siły, aż podskoczyły długopisy i spinacze.

– Do kurwy nędzy, to moja córka, rozumiesz? Moja córka! I nie słyszę jej głosu od dziesięciu miesięcy. Żaden sędzia na świecie nie może powiedzieć ojcu, że dla swojej córki ma być martwy.

Głos Soni stał się zimny jak lód.

– Trzeba było wcześniej o tym myśleć. Zanim przekazałeś mafii informacje, nawet bez pewności, że ci zapłacą. Jesteś gnojkiem, a jeśli biedna dziewczyna ma ojca gnojka, nie może za to płacić całe życie. Przysyłaj pieniądze i zostaw nas w spokoju.

Lojacono ocknął się, mamrocząc niespójne słowa do głuchej słuchawki, a kiedy nieco skonfundowany Giuffrè usiadł przy biurku, wstał i wyszedł na zewnątrz.

Wiedział, kto to Alfonso Di Fede, a jakże. Chodzili nawet do tej samej szkoły, parę lat do podstawówki, zanim tamten zaczął harować jako pasterz, tak jak cała rodzina. Pamiętał tego postawnego, mrukliwego chłopaka. Dumne oczy. Nigdy nie przeczytał żadnej książki. Znał swoje przeznaczenie, to oczywiste.

Śledził, rzecz jasna, jego karierę, taką samą jak wielu innych. Najbrutalniejszy i najwierniejszy. Wspinał się po szczeblach, w sumie tak samo, jak to się dzieje w policji. Zatrzymany parę razy, po zwolnieniu zniknął gdzieś między Gelą a Canicattí, żeby zaniósł innym wiadomości albo śmierć, zależnie od rozkazu.

Ich ścieżki nigdy się nie przecięły. Di Fede umykał z każdej z obław, jakie urządzali w upalne noce na domki stojące na uboczu, na puste pokoje pełne walających się butelek i obleśnych pisemek. Był zawsze gdzie indziej, decydując o Bóg wie czyich losach. Nigdy nie dał się złapać.

Ktoś go wreszcie dopadł, aż w Niemczech. Podczas długich przesłuchań, które zaowocowały współpracą z prokuraturą, wypłynęło właśnie to nazwisko: Giuseppe Lojacono z lotnej brygady w Agrigento. Ceniony złoty chłopak z widokami na karierę. Z widokami, ale bez pleców.

No i świadek koronny Di Fede był pewien: „Tak, Lojacono przekazywał nam informacje. Dzięki niemu znaleźliśmy ruchy jego jednostki, wiedzieliśmy, dokąd można pójść. Mogę prosić drugą kawę?”.

Ciekawe, skąd wypłynęło jego nazwisko, z jakiego zakamarka pamięci? A może z potrzeby krycia kogoś innego. W trakcie wielu nocy tuż po natychmiastowym zawieszeniu w czynnościach służbowych, gapiąc się tępo w sufit, Lojacono zadawał sobie tysiące razy to pytanie.

Skutki dla niego, Soni i Marinelli były opłakane. Nikt się do niego nie odzywał, niektórzy z obawy, że to była prawda, inni bojąc się, że ktoś go niesłusznie wrabia. W tej niepewności wszyscy woleli zniknąć, zostawiając ich pośrodku wielkiej pustki.

W oczach żony i córki od razu dostrzegł niepewność. Nie spodziewał się jakiegoś bezwarunkowego wsparcia, wiedział, jak wygląda rzeczywistość i jak rzadko poza książkami i filmami rodziny wspólnie brały na siebie nieszczęścia tak samo ochoczo jak dobrobyt. Ale miał nadzieję, że chociaż pozwolą mu wyjaśnić, obronić się.

Już lepszy byłby prawdziwy proces. Mógłby wtedy rozbić w pył te absurdy, udowodnić, że to tylko wymysły złych języków. Ale właśnie brak twardych dowodów spowodował, że sprawie nie nadano biegu procesowego. Żadnych adwokatów, żadnych sal sądowych.

Niestosowność, to było słowo klucz. Żadnego postępowania, chodzi tylko o niestosowność sytuacji. Jasne, policja wszczęła jakieś dochodzenie, w jakimś ciemnym pokoju leżał gdzieś segregator z jego nazwiskiem, a w środku kopie protokołów, zeznań, raportów z akcji. Relikwie po życiu policjanta spędzonym w jednym z najtrudniejszych miejsc na ziemi. I wszystko to rozpadło się przez „niestosowność”.

– Proszę mnie zrozumieć, Lojacono – mówił komendant. – Robię to dla zespołu, koledzy muszą mieć pewność. A także dla pana rodziny. Nikomu się pan nie przysłuży, zostając tu. Zbyt eksponowane miejsce. To byłoby niestosowne.

Za to stosowne było przenieść Sonię i Marinellę do Palermo. Lepiej nie ryzykować szantaży albo czegoś gorszego. Było sporo rodzin, które straciły kogoś z rąk Di Fede i jego ludzi. Nikt nie mógł przewidzieć reakcji jakiegoś narwanego krewnego.

Marinella musiała zmienić szkołę, zostawić psiapsiółki i chłopaka, który jej się podobał. Tragedia w tym wieku. Ostatnia rzecz, jaką zapamiętał, to była nienawiść w jej głosie.

Najstosowniejsze okazało się przeniesienie, oczywiście. Na tyle daleko, żeby wypadł z gry, ale nie na tyle, żeby wyglądało jak kara za winę, której nie dałoby się udowodnić. Neapol, komisariat San Gaetano, miękkie podbrzusze miasta w stanie ustawicznego gnicia. Widocznie nie mieli niczego gorszego pod ręką.

Ale kawa była dobra. Chociaż tyle.

Komisarz przyjął go w gabinecie.

– Sam pan rozumie, w tych warunkach nie byłoby stosowne, gdyby zajmował się pan bezpośrednio śledztwami.

A weźcie się wypchajcie z tą waszą stosownością, pomyślał Lojaco.

– Tak więc będzie pan łaskaw wstrzymać się od wszelkich czynności śledczych.

– W takim razie co mam robić?

– Proszę się nie martwić, niczego od pana nie wymagamy. Zajmie pan biurko w wydziale zgłoszeń i niech pan robi, co chce. Czyta, spisuje wspomnienia. Po prostu niech pan tam siedzi. To potrwa krótko, jestem tego pewien.

Dziesięć miesięcy! Zwariować można. Desperackie próby dodzwonienia się do córki, bezowocne. Również z jego miasta, z jego dawnego biura – kompletna cisza. Zawieszony w czasie i przestrzeni, posadzony przy pustym biurku, z mnóstwem czasu na grę w karty z komputerem, w towarzystwie Giuffrègo, kolejnego pariasa, byłego kierowcy jakiegoś pośła, także zesłanego na jakiś czas w to samo miejsce, gdzie musiał przyjmować zgłoszenia i wysłuchiwać chorych wymysłów jakichś popaprzanych bab, tak jak tego ranka.

Nie powinienem myśleć o nim źle, powiedział sobie. W sumie to jedyny człowiek, który się do mnie odzywa.

V

Kochana moja,

przyjechałem. Nareszcie. Wdycham to samo, co Ty, powietrze. Może nawet w tej chwili jest tu jeszcze trochę tego powietrza, które weszło do Twoich płuc i z nich wyszło. Ostatnie miesiące zdawały się nie mieć końca. Ona bardzo długo umierała, u kresu każdy jej oddech był rozpaczliwym jękiem. Czuwałem przy niej w nocy, życząc sobie, żeby te dźwięki ustały, żeby mnie wreszcie uwolniła. Mój Boże, ileż to trwało. Stała się moim więzieniem. Gasła powoli. Nikt już nas nie odwiedzał. Jej widok był nie do zniesienia. Cień dawnego życia.

Ja nie. Nie pozwoliłem sobie na upadek. Miałem Ciebie, Kochana moja.

Myśl o Tobie wspierała mnie w każdej chwili. Myśl, że znów Cię zobaczę, że będę Cię mógł uścisnąć, chwyciła mnie pod ramię i wyprowadzała z kręgu rozpaczliwej. Uratowałaś mnie, Kochana. Twój uśmiech, Twoje piękno, Twoje jasne włosy. Ciepło Twoich dłoni na mojej twarzy. Czułem Cię w nocy, w półśnie, do którego przenikał ten niekończący się jęk. Widziałem Cię oczyma pragnienia, jak latarnię morską, jak bezpieczny dom w czasie burzy.

Kochana moja. Dźwięk Twojego imienia szeptanego w ciszy dał mi siłę, by towarzyszyć jej do końca. Bo wiedziałem, że będę mógł Cię w końcu przytulić.

Nie straciłem ani chwili, wiesz? Wszystko zorganizowałem, nauczyłem się szukać w internecie. Mówią, że w moim wieku to trudne, ale dla mnie wcale nie było. Uśmiechasz się, Kochana, prawda? Myślisz, że nic nie może być aż tak trudne jak te lata bez Ciebie. Właśnie tak, masz rację. Nic nie jest trudniejsze.

To niesamowite, jak łatwo było wszystko zorganizować. Wystarczyło mieć czas, a ja miałem go dużo. Twoje listy wyjaśniły mi wszystko, co trzeba było wiedzieć. Ile razy je czytałem, Kochana. Rozkładałem je jak relikwie, ostrożnie, żeby nie zabrudzić i nie podrzeć. Dotykane przez Twoje palce i przez moje. Tylko przez nie.

Z Twoich listów dowiedziałem się wszystkiego, czego potrzebowałem. Nazwiska, daty. Komputer zrobił resztę. Gdy ona jęczała w oczekiwaniu na śmierć, ja wyszukiwałem adresy, miejsca, daty. W sieci jest wszystko, wiesz, Kochana? Wszystko. Starczy mieć cierpliwość, nie poddawać się. A wiesz, ile mam cierpliwości.

Już niewiele brakuje. Teraz nadeszła chwila, żeby zrobić to, co pozwoli mi znów

Cię objąć. Żeby zostać z Tobą i to na zawsze, bez przeszkód. Niewiele brakuje.

Nie zdążyłem jej powiedzieć. A może nawet wcale bym jej tego nie powiedział, nawet gdybym mógł? Po co ją martwić, przysparzać dodatkowego cierpienia? Wiesz, jaka była uczuciowa.

Wreszcie jestem gotowy. I nie mogę się doczekać, by rozpocząć pracę.

Dziś ruszam na polowanie.

VI

Mirko pali przed lustrem. Przygląda się fryzurze – niedawno zrobił sobie czuba. Podoba mu się. Uczesanie nie rzuca się w oczy, a Mirko wie, że nie jest dobrze dać się ludziom zapamiętać. Jest inteligentny, myśli o tych sprawach, nie jest już dzieckiem. Ma już szesnaście lat.

Ciągle czuje te emocje, których doznał miesiąc temu, kiedy zagadał do niego Antonio. Kultowa postać wszystkich chłopaków z dzielnicy. Prowadza się z najładniejszymi dziewczynami. A jeszcze dwa lata temu był takim samym gówniarzem jak oni, grał nocami w piłkę w Galerii. Dziś ma wielki motocykl z chromowanymi cylindrami. Kiedy przejeżdża, aż drżą szyby w wystawach sklepowych.

Siedzieli z kolegami na murku i obgadywali dziewczyny, kiedy Antonio podszedł do niego i powiedział: „Koleś, podejdź tu, chcę pogadać”. Mirko dobrze pamięta, jaką minę zrobili jego kumple, jak byli zaskoczeni, zazdrośni, może nawet wystraszeni. Pamięta też łomotanie serca, kiedy oddalał się od swojej paczki, idąc na spotkanie z przeznaczeniem.

Antonio wziął go pod rękę, jak kumpla, jak równego sobie. I powiedział mu, że wygląda na lepszego od innych, bystrzejszego. Że widział, jak świetnie sobie radzi na skuterze. „Nie robisz głupot, masz zimną krew, umiesz się wyluzować. To dobrze. Zostaniesz jednym z moich ludzi”. „Jednym z twoich?”, zapytał ledwie słyszalnym od emocji głosem.

Antonio poddał go próbie. Jeden sygnał na komórkę, a Mirko już biegł. Rozwoził po mieście jakieś przesyłki. Raz nawet miał pasażera, jakiegoś chłopaka, którego musiał wywieźć do odległej dzielnicy. Wreszcie Antonio powierzył mu kontrolę nad kilkoma Czarnymi, którzy sprzedawali pirackie płyty. Miał sprawdzać, czy czegoś nie kombinują, na przykład czy nie udają, że stracili towar w policyjnym nalocie.

Jednak od paru dni działał na poważnie. Jeździł pod szkołę dla bogaczy w dobrej dzielnicy, parkował skuter na uboczu i czekał. Kiedy uczniowie wychodzili, mieszał się z nimi. Ktoś podchodził, wymieniali uścisk dłoni, on dyskretnie przekazywał małą torebkę, tamten, równie dyskretnie, złożony banknot. Chłopak wśród chłopaków. Tak samo ubrany, na takim samym skuterze. Prosta sprawa.

Mirko dostał od Antonia dwa banknoty pięćdziesięcioeurowe. „Ale musisz być

ostrożny”, nakazał mu.

Mirko patrzy w lustro lekko zmartwiony: Czy jego czub nie rzuca się w oczy za bardzo? Może ktoś go zapamięta, jakiś czujny nauczyciel. Potem jednak przypomina sobie, że kilku tych palantów, którzy tak chętnie wciskają mu pieniądze, też jest tak uczesanych. To go uspokaja.

Bez żadnego powodu jego myśli biegną w stronę drobnej blondynki. Od razu ją zauważył pośród innych lasek przy wyjściu ze szkoły. Kurde, jaka była ładna! Wyglądała jak aniołek. Kiedy na niego raz spojrzała, poczuł się jeszcze mniejszy niż wtedy, gdy zagadał do niego Antonio. Uśmiechnęła się, właśnie do niego. Musiała go z kimś pomylić, ale się uśmiechnęła.

Rozgląda się po mieszkaniu. Gdyby ta blondynka wiedziała, w jakiej nędzy mieszka, toby się nieźle uśmieła. Ale wcale nie musi się tego dowiedzieć, prawda?

Dotyka kieszeni, gdzie ma sto euro. Nie chciałby ich rozmieniać, ale musi zatankować skuter. Może zajrzy do torebki mamy.

Uśmiecha się do odbicia w lustrze, papieros w ustach, jedno oko przymknięte. Mama zawsze mu powtarza: „Jesteśmy tylko ty i ja, synku”. Od kiedy pamięta, mama daje mu, co tylko może. Mama, która nigdy nie poszła do kina albo do knajpy, nigdy nie miała faceta, tylko pracuje, w kółko pracuje, żeby utrzymać tę norę w czystości i porządku, dla swojego chłopczyka.

Nie jestem już chłopczykiem, mamó! Pozwól mi robić swoje rzeczy, to się tobą zajmę. Będę przynosił pieniądze. I będę cię zabierał co wieczór do kina i do knajpy.

Ciekawe, czy blondynce podobają się chłopaki z czubem, pomyślał, znów zerkając w lustro.

A zresztą, chrzani to.

VII

Restauracja Letizii stała się modna. Ludzie przyjeżdżali tu nawet z Vomero, Posillipo czy Chiaia, zostawiając samochody na strzeżonych parkingach na obrzeżu dzielnicy, z dala od łakomych spojrzeń złodziei.

Wszystko zmieniła bardzo pochlebna recenzja krytyka kulinarnego, która pewnego dnia ukazała się w gazecie. Letizia często się zastanawiała, który to był facet i którego dnia zasiadł za stołem nakrytym obrusem w czerwonej kratę i zamówił „niebiański sos z czerwonej cebuli” i „fantastycznego klopsa z sosem pomidorowym, istną ucztę dla zmysłów”, jak potem opisał posiłek. Była dumna z tego, że nie rozpoznała w nim dziennikarza i nie potraktowała go lepiej niż innych gości.

Ponieważ cieszył się wielkim autorytetem i był znany z tego, że nawet luksusowe restauracje potrafił bezlitośnie krytykować, po ukazaniu się artykułu małą knajpkę zaczęła zalewać nieprzerwana fala ludzi. Telefon dzwonił na okrągło w sprawie kolejnych rezerwacji. Letizia mogłaby znacznie podnieść ceny, powiększyć część dla gości kosztem kuchni albo piwnicy, rozstawić dodatkowe stoły dla zgłodniałej klienteli i zatrudnić paru kelnerów. Ale wtedy nie byłaby to jej knajpka.

Lubiła sama przyjmować zamówienia, kręcić się po sali, zagadywać gości. Wierzyła, że bezpośredni kontakt, bez spoufalania się, pomaga zorientować się, co ludzie lubią, i doradzić przy wyborze. Jedzeniu musi towarzyszyć rozmowa. Jak ktoś uważa inaczej, to niech sobie je kanapkę na stojąco.

Sam dziennikarz zauważył i napisał, że Letizia to jeden z powodów, dla których warto było zapaść się w ciemne, wilgotne zaułki. „Miła, pogodna brunetka, skora do żartu i śmiechu”. Tego, czego krytyk nie wiedział, to że za uśmiechem krył się żelazny charakter, zahartowany w bólach i trudach.

Nigdy nie wspominała męża, zmarłego wiele lat wcześniej. Niektórzy mówili, że w wypadku, inni, że po krótkiej chorobie. Nie miała dzieci. Nikt też nie słyszał o jakichś związkach, choć niejednemu podobał się jej uśmiech i pełne piersi. Trzeba było zajmować się knajpą, a Letizia skończyła już czterdziestkę i nie chciała zwracać sobie głowy niczym innym.

Tuż przed ukazaniem się artykułu i lawiną rezerwacji zwróciła uwagę na stałego

klienta. Siadał w rogu sali pod telewizorem, na wprost wejścia, przy stoliku, którego na ogół nikt nie chciał zajmować. Nie zdejmował płaszcza, nie czytał, nigdy nie miał towarzystwa. Zamawiał danie dnia i zjadał je szybko. Ale potem siedział długo, popijając wino, kieliszek za kieliszkiem, metodycznie, bez przyjemności, jakby to było lekarstwo. Letizia patrzyła na niego z zaciekawieniem i trochę z litością. Miał dziwną twarz, jakby wyciosaną z drewna, wystające kości policzkowe, czarne oczy o migdałowym kształcie.

W myślach nazywała go Chińczykiem. Miała ochotę zagadać do niego, jej towarzyska natura pchała ją do przerwania milczenia, które niczym przezroczysta zasłona odgradzało go od innych, ale czuła, że równowaga była chwiejna, a on po paru urywanych słowach już więcej by nie wrócił.

Zaczęła zatrzymywać dla niego stolik. Nawet kiedy ludzie stali w kolejce na deszczu pod parasolami, stolik w rogu czekał pusty na swojego milczącego gościa. A on zjawiał się punktualnie, rozczochrany, w pomiętym płaszczu, i siadał pod telewizorem. Letizia czekała na to jak na umówione spotkanie. Tak bardzo czekała, że zaczęła obniżać mu ceny, które, biorąc pod uwagę sukces lokalu, i tak były niskie.

Któregoś dnia „Chińczyk” usnął, oparty o ścianę z kieliszkiem w dłoni. Miał zboląły wyraz twarzy, może wywołany przez jakiś straszny sen. Dwie pary, siedzące przy stoliku obok, zaczęły trącać się łokciami. Jedna dziewczyna specjalnie upuściła widelec, żeby się nagle przebudził, ale on dalej drzemał. Letizia poczuła skurcz w sercu i chcąc go chronić, przysiadła się do jego stolika. A on, nie otwierając oczu, wyszeptał:

– Przepraszam, głowa mnie rozboleła. Zaraz wstanę i zwolnię stolik.

– Proszę się o to nie martwić. Może pan siedzieć, ile pan chce. Przyniosę aspirynę, zaraz panu przejdzie.

Wciąż z zamkniętymi oczyma uśmiechnął się krzywo.

– Mój ból głowy nie przejdzie od aspiryny. Ale i tak dziękuję. Może poproszę jeszcze kieliszek wina i rachunek.

Od tego zdarzenia Letizia codziennie, kiedy lokal pustoszał, siadywała ze swoim posiłkiem przy stoliku w rogu zamiast zjadać go pospiesznie w kuchni.

Od słowa do słowa, wieczór po wieczorze „Chińczyk” przybrał imię i nazwisko: Giuseppe Lojaco, zwany przez rodzinę i dawnych przyjaciół Peppuccio. Pochodził z Montallegro pod Agrigento na Sycylii. Powoli z obrazów kreślonych pustym kieliszkiem wyłoniła się smutna historia, w tym skończone małżeństwo i córka, której głosu stopniowo zapominał.

Wieczór po wieczorze kobieta stała się uchylonymi drzwiami, przez które

Lojacono podglądał miasto zupełnie inne od tego, jakie znał. Nieufne, mroczne i wilgotne, skryte i trudniejsze do odczytania, niż się wydawało. Każdy tu uważał, żeby nie wpaść w jakieś tarapaty, zajmował się swoimi sprawami i był gotów szybko się ulotnić. Miasto, które przeciekało przez palce albo nagle wyparowywało.

Lojacono też pochodził z miejsca trudnego do rozszyfrowania i wciąż się zastanawiał, na czym opierała się dziwna zależność między miastem a tym, kto miał się troszczyć o jego spokój. Widział kolegów w ciągłym ruchu, rozpoczynali i zamykali skomplikowane sprawy, i tak w kółko, podczas gdy dookoła jak w wielkim kotle buzowały drobne grzeszki i przekręty. Kręcąc głową, mówił Letizii, że to wszystko było jak system, sieć, ale bez zaczepów i punktów podparcia. Nie rozumiał, jak to się mogło utrzymać, na jakich nogach to stało.

Letizia uśmiechała się, wzruszając ramionami. Odpowiadała, że może każdy próbuje z trudem stać na własnych nogach. I że to właśnie podtrzymywało miasto, które fizycznie i moralnie nie miało podparcia.

On wtedy uśmiechał się krzywo, w sposób, który tak lubiła, podnosił kieliszek na cześć mrocznego miasta i jej perlistego śmiechu.

VIII

Stary człowiek idzie wzdłuż muru. Trochę powłóczy nogami, zdarte buty ocierają się o mokre, wyslizgane kamienie chodnika. Jest uważny, patrzy pod nogi, żeby się nie potknąć. Co jakiś czas sięga ręką do kieszeni po chusteczkę i pod okularami ociera lewe oko.

Stary człowiek porusza się powoli. Kiedy zaulek przecina drogę, zatrzymuje się, patrzy w obie strony, czeka, aż przejadą ryczące skutery z dwoma, a nawet trzema pasażerami każdy.

Stary człowiek idzie wzdłuż muru, nikt go nie zauważa. Jest jak tchnienie wiatru, jak mysz w cieniu. Kto miałby na niego spojrzeć? Jest taki podobny do wszystkich innych duchów ożywiających miasto po zmroku.

Co jakiś czas stary człowiek mija kogoś: kobietę zgiętą pod ciężarem lat, Murzyna z wielką torbą na ramieniu, mężczyznę z twarzą naznaczoną przez los. Odwraca swój wzrok, oni robią to samo, bo nie jest miło patrzeć na śmierć ani ją przeczuwać.

Stary człowiek idzie wzdłuż muru, nikt go nie zauważa. Przechodzi koło okien suterren, ale nie zagląda w nie, nie patrzy na nędzę. A nędza nie patrzy na niego.

Ulica pnie się w górę, ale on nie zwalnia kroku. Wie, że jeśli będzie stale szedł, nikt nie zada sobie pytania: kim on jest? – a tak by się stało, gdyby stanął i zaczął się rozglądać. Nikt nie zwraca uwagi na człowieka idącego w milczeniu ze spuszczoną głową, zajętego swoimi problemami. Nikt nie chce ryzykować, że jeśli wymieni z nim choćby spojrzenie, to te problemy spadną i na niego.

Stary człowiek idzie i pochyla ramiona, żeby wyglądać na jeszcze starszego. Starość to duży ciężar, nikt go nie chce. Starość wydaje się zakaźną chorobą, budzi obrzydzenie, należy jej unikać.

Wie, jak się zachować, żeby nikt nie zwracał uwagi. Nauczył się bycia niewidzialnym, trzyma się blisko muru, ustępując drogi idącym z naprzeciwka. Gdy stary człowiek przechodzi obok, tylko zbudzony ze snu pies podnosi pysk i stawia uszy, wyczuwając zapach śmierci. Ale wydaje mu się, że to była tylko senna mara, i znów zasypia.

Stary człowiek szuka konkretnego adresu. Dociera na miejsce i przystaje.

Wyszukuje najbardziej zacieniony punkt, obserwuje wejście. Dostrzega skuter, porównuje numer rejestracyjny z tym, który przechowuje w pamięci. Wycofuje się do śmierdzącego moczem kąta, czeka. Cierpliwie.

Stary człowiek umie czekać.

IX

Giada leży na kanapie w salonie i rozmawia, jak zawsze, przez telefon z Allegrą i jak zawsze nie zdjęła butów. Gdyby mama to widziała, byłaby awantura, ale mamy nie ma, więc kto by się przejmował?

– A ty co jej powiedziałaś?

Allegra się śmieje. Jest wytworna, nawet gdy się śmieje. Już taka jest: ułożona, uważna na formę, dobrze wychowana, delikatne rysy twarzy, ułożone włosy, nienagannie ubrana. Ale Giada dobrze ją zna, przyjaźnią się od zawsze. Wie, jaki bluzg mogą wydać z siebie te różane usteczka.

– Możesz sobie wyobrazić. Powiedziałam jej, że jak ją pieprzę, to jej pękną te sztuczne cyce, i że jak dalej będzie latać za Christianem, to powiem wszystkim, że jej matka złapała syfa od tego Syngaleza, który u nich pracuje.

Giada aż podskakuje.

– Zwariowałaś? Matka naprawdę...?

– Jasne, że nie. Ale wszyscy i tak by uwierzyli, wiedzą, że matka Marzii się puszcza. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, lepiej z takimi uważać, nie?

– Ale przesadziłaś. Wystarczyło powiedzieć Christianowi, że nie podoba ci się, jak ona na niego patrzy.

Allegra prychnęła.

– I miałam mu dać tę satysfakcję, żeby sobie pomyślał, że jest taki ważny? Skarbenku, z facetami to nie umiesz pogrywać. Masz już piętnaście lat, kiedy się ogarniesz?

Giada wykrzywia usta. Przyjaciółka nigdy nie przepuści okazji, żeby wypomnieć jej rok różnicy.

– Wiesz, nie czuję się gotowa, te obmacujące łapska, lepkie usta... Obrzydliwość. A poza tym świntuszysz za nas dwie, więc średnia wychodzi dobrze.

Przyjaciółka chichocze.

– Nie wiesz, co tracisz. Nie ma nic lepszego niż szybki numerek, kiedy dopadnie cię zły nastrój. Za dużo myślisz, Gia'. Gdybym miała takie blond włosy i niebieskie oczy jak ty, byłabym sławna w całym mieście. No i nawet nie masz ojca czy braci,

którzy by cię pilnowali, idealna sytuacja. A właśnie, ojciec przysłał ci prezent z Ameryki na urodziny?

Jeśli czegoś Giada naprawdę nie lubi, to gadać o swoim ojcu. Allegra dobrze o tym wie i specjalnie ją prowokuje. Giada postanawia raz jeden nie dać jej satysfakcji.

– No coś ty, kasę tylko przysłał. Pomyśl, co za chamówa, koperta z tysiącem dolarów i karteczką. Kutas jeden nie zdaje sobie sprawy, że dolary są dziś głównie warte. Od trzech lat go nie słyszałam, teraz to już nawet nie mam na to ochoty.

– Dobrze robisz, chrzanić go. Ale za tę kasę możesz wreszcie skuter sobie kupić, nie? Bez proszenia matki o łaskę.

Na myśl o matce Giada odruchowo zdejmuje nogi z kanapy.

– Wiesz, to nie chodzi o kasę. Dziadkowie zresztą powiedzieli, że jak zajdę do nich, dadzą mi tysiąc euro, więc bez problemu mnie stać. Chodzi o to, że ona się boi, mówi, że drogi są pełne dziur, że ludzie jeżdżą jak głupi. No nie chce się zgodzić.

Przyjaciółka kwituje to śmiechem.

– Gia', jesteś ostatnią kobietą na świecie, która nie chce robić przykrości mamusi. Musisz wreszcie dorosnąć. Nie może być tak, że w twoim wieku nie jarasz, nie puszczasz się i nie kłócisz się z mamą. W końcu przestanę się z tobą pokazywać.

Śmieją się obie.

– Hej, ale jak nie będziesz mnie miała blisko siebie, to komu będziesz się chwalić wszystkimi głupotami, jakie robisz? W końcu się zdecyduję. Może nawet wcześniej niż później. Chciałabym takiego, który mi się podoba. Mogę? Pozwolisz mi zrobić to z facetem, który mi się podoba?

– Masz niełatwy do zaspokojenia gust. Żaden ci się nie podoba, chociaż wszyscy za tobą wzdychają. Gianmarco na przykład, takie ciacho, że zaraz bym go zaliczyła, gdyby się tak nie kumpłował z Christianem. Pytał mnie o twój numer już dwa razy. Chyba mu go dam, to może załatwisz wreszcie sprawę.

Giada protestuje.

– Nie, błagam, nie, tylko mi takiego nadętego dupka brakowało. Wczoraj pod szkołą był taki jeden, nigdy go wcześniej nie widziałam. Jeśli go znowu spotkam, sama mu dam numer.

– Super, nareszcie. Wystarczy raz zacząć, potem sama zobaczysz, to jest niezła zabawa, będziesz ich próbować po kolei jak smaki lodów. Co zresztą jest całkiem trafnym porównaniem.

Wbrew sobie Giada się uśmiecha.

– Jesteś totalną dziwką! Wybrałam sobie niewłaściwą przyjaciółkę.

– Beze mnie z nudów byś zdechła, całe życie z mamusią. Spadaj, muszę się wyszykować, zaraz przyjdzie Christian. Znalazłam taki stanik, od którego normalnie oszaleje, zapomni o cych tamtej zdziiry. Gdybym miała takie jak ty...

– Świetny pomysł, pożyczę ci swoje cycki, lepiej je wykorzystasz niż ja. Spadaj, do potem!

X

Kochana, Kochana moja,

znalazłem chłopaka. To nie było trudne. Adres się zgadzał. Przejechałem taksówką, potem poszedłem na piechotę.

Szkoda, że nie widziałaś, co to za miejsce. W samym środku dzielnicy, kamienice ciasno stłoczone, zaduch. Nie wiem, jak ci ludzie mogą tak żyć, nie widząc nigdy nieba. W naszych stronach jest inaczej, pamiętasz? Czyste powietrze, ziemia pachnie, pory roku się zmieniają, śnieg w zimie, czerwone liście jesienią. W tym mieście według mnie nawet nie można się zorientować, jaka jest pora – po lecie jest zaraz zima. Ciekawe, dlaczego się wyprowadziłaś z naszej wioski?

Miejsce nadaje się doskonale. Jest taki kąt, wygląda, jakby specjalnie dla mnie go zbudowali. Wszedłem tam zeszłej nocy, wpasowałem się idealnie, wiesz, że nie jestem gruby. Nawet schudłem. W świetnej formie – tak byś powiedziała. No więc już zacząłem tam czatować. Znalazłem skuter, rejestracja się zgadza, nie ma możliwości pomyłki. Nie musiałem nawet długo czekać. Po godzinie wyszedł, pogwizdując, odpiął łańcuch, wsiadł i odjechał. Bez kasku, a jakże.

Nie jest brzydki, może trochę zbyt przysadzisty. Nosi dziwną fryzurę, pewnie dlatego nie zakłada kasku. To śmieszne, ryzykować życiem, żeby nie zepsuć sobie fryzury. To w sumie zabawne, że akurat ja ci to mówię, prawda?

Wybacz, Kochana, dziś rozpira mnie radość. Tyle czekałem, tyle o tym myślałem, a teraz, kiedy już tu jestem, chcę, żeby to się stało.

Dopracowuję szczegóły. Zatrzymałem się przy jednym Murzynie, z tych, co sprzedają podrabiane torebki. Rozkładają je na białym prześcieradle, a kiedy nadjeżdża policja, musiałybyś to zobaczyć, łapią rogi tej płachty i uciekają z towarem w zaułek. Ale ty wiesz to bardzo dobrze. Jak się domyślasz, potrzebowałem torby, żeby zmieścić do niej wszystko, co potrzebne, długiej na co najmniej trzydzieści pięć centymetrów, która wytrzyma kilogramowy ciężar.

Pomyślałem: jeśli kupię sobie przyzwoitą torbę, mogą mi ją ukraść. To byłoby strasznie głupie, dać się obrobić ze wszystkiego po tym, jak szykowałem się przez ponad dziesięć lat. Dlatego postanowiłem załatwić sobie podróbkę kiepskiej jakości, żeby złodziej widział, że mu się nie opłaca. Zacząłem takiej szukać. Wreszcie

znalazłem. Żeby zachować pozory, udawałem nawet, że się targuję, zaoszczędziłem pięć euro. Gdybyś to widziała, uśmiełabyś się do łez.

Ależ za Tobą tęsknię, Kochana. Jedyne, co mnie trzyma, to myśl, że każdy krok, który stawiam, zbliża mnie do chwili, kiedy Cię znów zobaczę. Nareszcie.

Tak więc wszystko gotowe. Dziś w nocy się zaczyna. Jestem podekscytowany, nie mogę się doczekać.

Dziś w nocy się zaczyna.

XI

Eleonora idzie wzdłuż muru, nikt jej nie widzi.

Ściska w dłoni pomiętą kartkę, płacze. Nie szlocha, jej twarzy nie wykrzywia grymas, ale po policzkach płyną łzy. Ludzie, mijając ją, zmieszani odwracają wzrok. Łzy budzą lęk.

Słońce rani zapuchnięte oczy, nagły skurcz chwyta żołądek. Przystaje na rogu i stara się opanować odruch wymiotny. W ciąży, myśli. To jest tu napisane. Jestem w ciąży. Nic dziwnego, że chce mi się rzygać.

Ale wie, że to nie z powodu ciąży serce jej wali jak młotem. Po prostu nie ma pojęcia, jak on na to zareaguje.

Kocha go, kocha rozpaczliwie. Tyle czekała na tego mężczyznę, marzyła o nim w ciszy, kiedy jej koleżanki opisywały zalety i sukcesy swoich narzeczonych. To był ten książę, który mając tyle innych do wyboru, uśmiechnął się właśnie do niej. Facet, którym można było się przed wszystkimi pochwalić, czuć się u jego boku spełnioną, zaspokojoną kobietą. Mężczyzna, którego pragnie mieć do końca życia.

Eleonora ociera usta chusteczką i podnosi wzrok, w sam raz żeby dostrzec zniesmaczone spojrzenie jakiejś pani, która zapewne uznała ją za ćpunkę. Potępienie. Jak zareaguje jego rodzina na tę nowinę? Jest pewna jego miłości, nigdy by jej nie okłamał. Ale wie, jak bardzo on jest przywiązany do swojego ojca i jak bardzo jest to zasadniczy człowiek. Rozmawiali o tym z tysiąc razy i tysiąc razy Eleonora myślała o chwili, kiedy go pozna.

Ale w marzeniach nigdy nie stawała przed nim z taką kartką w dłoni.

W ciąży. Szósty tydzień. Stara się policzyć, przypomnieć sobie. Każda chwila miłości z nim jest tak cudowna, każda chwila zasługuje na wypalenie ognistym znakiem w pamięci.

Co się teraz stanie? Jak mu to powiem? A on co na to powie? Co zrobimy? Jeszcze się uczymy, przed nami długa droga. Nie chcę, żeby zmieniał swoje plany, pogrzebał ambicje. Ja też mam swoje marzenia. Nie mogę zmarnować poświęcenia mamy i taty.

Przed oczyma stają jej rodzice. Jak im to powiem? Nowy skurcz, nowy odruch wymiotny.

Eleonora idzie wzdłuż muru, nikt jej nie widzi.

XII

Mirko jest szczęśliwy, przynajmniej tak mu się zdaje. Nic nie jest w stanie zakłócić mu tej chwili. Spędził wieczór ze starymi kumplami, którzy wpatrują się w niego jak w boga. W pewnym momencie niby niechcący wyciągnął jeden z banknotów pięćdziesięciu euro, dając do zrozumienia, że w kieszeni ma dobre towarzystwo, i powiedział: „Chłopaki, teraz ja stawiam piwo. Tyle razy wyście mi stawiali, kiedy byłem bez kasy”. Co za efekt! Paru z nich nawet zrobiło sobie na głowie takiego czuba, jak on miał. Poczul się kimś cholernie ważnym.

Antonio wręcz go wyściskał, kiedy przyniósł mu pieniądze. Uszczypnął w policzek i powiedział: „No, koleś, dobrze się ogarnąłeś”. I powiedział to w obecności dwóch takich chłopaków z innej dzielnicy, których Mirko zna z widzenia i domyśla się, że kręcą biznesy z Antoniem. Popatrzyli na niego i przytaknęli obaj z poważnymi minami. W przyszłości, kiedy go spotkają, na pewno go poznają. Może nawet pozdrowią. Wszystko, o czym pomyśli tego wieczora, wywołuje u niego uśmiech. Dziś rano przed szkołą dla bogatych dzieciaków znów zobaczył tę dziewczynę, jak zwykle otoczoną koleżankami. Jedna z nich, ładna brunetka, podeszła do niego po torebkę, ale już mu się skończyły. Szkoda, bo mógłby ją sprezentować. Sam by zapłacił te dziesięć euro, a w zamian poprosiłby o imię tej blondynki, może nawet dostałby jej numer.

Myśli sobie, że jak się wszystko dobrze rozkręci, to w pierwszej kolejności zamieni sobie skuter na motocykl. Widział, że blondynka wraca do domu autobusem albo samochodem koleżanki. Jeśli więc podjedzie pod szkołę na prawdziwym motocyklu, może nie takim jak ma Antonio, ale chociaż takim, jak mają jego głupi kumple z klasy, to ona nie odmówi podwózki. I w ten sposób dowie się, gdzie mieszka.

Wcześniej jednak, myśli, podjeżdżając pod dom, musi zrobić coś dla matki. Facet, jeśli jest prawdziwym facetem, przede wszystkim spłaca długi. Matka wychowywała go tak, żeby mu niczego nie brakowało. Nie musiał kraść, robić innych głupot, jakie robią chłopaki z dzielnicy, bo matka zawsze zaspokajała jego zachcianki.

No więc, mamó, pierwsze pieniądze są dla ciebie. Zabiorę cię do kina, a potem do restauracji. A może wcześniej kupię ci nową sukienkę, taką w kwiaty, którą

oglądałaś z szeroko otwartymi oczyma na wystawie sklepu przy via Toledo, kiedy odbierałaś mnie ze szkoły. Wjeżdża na podwórze, odstawia skuter tam gdzie zawsze. Spogląda w górę, w oknie świeci się światło. Mama nie zaśnie, dopóki on nie wróci do domu, nawet jeśli wraca bardzo późno, tak jak dziś. Ale dziś jest szczególna noc, mamó. Dużo rzeczy się zdarzyło, fajnych rzeczy. Zapnę łańcuch, wejdę na górę i wszystko ci opowiem.

Dziś w nocy zaczynamy.

XIII

Lojacono nawet lubił, kiedy prosili go, żeby wziął nocną zmianę. Nie robiło mu różnicy, czy gapił się w sufit komisariatu, czy swojej kawalerki.

Zwykle starali się go trzymać z dala od prawdziwej roboty, żeby nie zaangażował się nawet marginalnie w choć jedno z trwających dochodzeń. Co najwyżej mogą go wezwać do bójki czy kradzieży torebki. Więc przydawał się na takich dyżurach, miał odpowiednie kwalifikacje i stopień.

Wczasowicz. Tak ironicznie nazwał go Giuffrè. Wczasowicz zesłany do wariatkowa.

Ale kiedy już prawie wszyscy sobie poszli i zostawali tylko nieliczni dyżurni, komisariat San Gaetano stawał się miejscem całkiem do wytrzymania. Cisza, przygaszone światła, pogwizdywanie kogoś na drugim końcu korytarza. Jeśli miejsca mają duszę, myślał Lojacono, to zjawia się ona w nocy.

Giuffrè nie rozumiał tej jego dyspozycyjności.

– Jeśli cię wyrolowali, zesłali do miejsca, gdzie nie musisz robić nic poza graniem w pokera z komputerem, i odebrali wszystko, co miałeś, odpłać im pięknym za nadobne: pilnuj swojego nosa i nie pomagaj.

Człowieczek z brzuszkiem i szklami grubymi jak denko słoika miał trochę racji. Sam zresztą tak robił, często chodził na chorobowe i wykonywał tylko niezbędne minimum obowiązków. Giuffrè potrafił, w razie potrzeby, stać się dosłownie niewidzialny. Lojacono był przekonany, że komisarz nigdy go na oczy nie widział.

Noc upływała w ciszy przerywanej tylko niekiedy zgrzytem motocykla podjeżdżającego stromą drogą. Lojacono w półśnie myślał o Marinelli. Zastanawiał się, jak sobie radzi w nowym mieście. Miał nadzieję, że znalazła tam koleżanki i sympatię. Była dzielną dziewczyną, choć trochę introwertyczną. Może z upływem czasu przestanie czuć do niego niechęć? Kto wie, może jeszcze zechce z nim porozmawiać?

Z drugiej strony obawiał się, że mogła wpaść w złe towarzystwo, wpaść w sidła kogoś o niecnym zamiarach. Nie sądził, by jego żona była w stanie sprawować dostateczną kontrolę. Marinella była inteligentna, ale to wciąż dziecko. Czy on aby nie jest ojcem, który zawsze widzi w swojej córce dziecko? Straszny błąd.

Przypomni ł sobie ostatni  rozmow  z Soni , jej ostre s owa pod swoim adresem. Rozumia ,  e ich relacja by a sko czona, nie by o miejsca na odbudow  dawnej mi o ci po takich wybuchach nienawi ci. Odkry , diagnozuj c sam siebie na s u bowej le ance,  e nie cierpi z tego powodu. Uczucia rodz  si ,  yjd , starzej  si  i umieraj , tak jak ludzie. Jednak brak Marinelli to otwarta, krwawi ca rana, kt ra nie chcia a si  zablizni c.

Bez trudu zdoby ł nowy numer telefonu c rki, by  w ko cu policjantem, ale nie mia  odwagi do niej zadzwoni c. Wydawa o mu si ,  e w ten spos b wtargn by w  ycie dziewczyny, wszed  w nie bez pukania. T skni ł za ni  jednak, strasznie t skni ł.

Zm czenie zamieni o jego troski w senn  wizj . Widzia  c rk , jak bawi si  weso o na dyskotece. Widzia , jak pije i po yka pastylk , kt r  dosta a od kole anki. Potem wsiada do samochodu z ch opakiem, kt ry we  nie mia  zas oni t  twarz, i ruszaj  z piskiem w ciemno c nocy. Chcia  j  zawo a c, ostrzec, ale g os uwi z ł mu w gardle. Widzia , jak wje dzaj  w zakr t z szale cizn  pr dko ci . Widzia , jak z naprzeciwka nadje dza ci  zar wka... Poderwa  si  nagle i usiad  na le ance z wytrzeszczonymi oczyma.

W tle uporczywie dzwoni ł telefon.

XIV

To było niedaleko, podwórze starej kamienicy położonej niecały kilometr od komisariatu. Lojacocono wziął z szatni mundurową kurtkę, wskoczył do radiowozu, za którego kierownicą siedział zaspany policjant. Zgłoszenie pochodziło od anonimowej kobiety, która mówiła o trupie.

Przed otwartą bramą stało w ciszy z dziesięć osób. Inspektor omiółł spojrzeniem okna sąsiednich kamienic, w niektórych się świeciło, w kilku gapie obserwowali, co się dzieje. Cisza była wręcz namacalna. Wyglądało to wszystko jak plan filmowy tuż przed rozpoczęciem zdjęć.

Zablokowali radiowozem zaułek i zostawili włączanego koguta, zabezpieczając drogę wjazdu i wyjazdu. Zrobili kilka kroków pod górę i weszli na podwórze.

Dziedziniec, słabo oświetlony przez podwieszoną na dwóch kablach latarnię kiwającą się na wietrze, był ciasną studnią, która wpuszczała niewiele światła słonecznego do mrocznych wnętrz kamienicy.

Z jednej strony leżały materiały budowlane: jakieś deski, cegły, parę worków z cementem. Z drugiej zaparkowane rzędem skutery. Przy ostatnim, prawie opartym o mur, leżało ciało chłopaka z twarzą do dołu. Trochę dalej jakaś kobieta obejmowała mocno drugą kobietę. Obie siedziały na schodku. Starsza, rozczochrana i w szlafroku, coś mamrotała, może modlitwę, ściskając ramiona drugiej, młodszej, ubranej w niepasującą do sceny piżamę z różowej flaneli. Jej postać przedstawiała straszny widok.

Kobieta miała najwyżej czterdzieści lat, chuda, z czarnymi włosami splątanymi gumką. Twarz zastygła w niemym krzyku: otwarte usta, strużka śliny, pełne ogromnego bólu wytrzeszczone oczy, szyja napięta od skurczu.

Nie wydawała z siebie żadnego dźwięku, jeśli nie liczyć cichego syku. Lojacocono nie mógł oderwać od niej wzroku. Była ucieleśnieniem obłędu, drogi w przepaść bez powrotu. Odczuł to boleśnie, jakby z powrotem zanurzał się w sen, który śnił w chwili, gdy przyszło wezwanie, i bez cienia wątpliwości wiedział już, że to była matka zabitego chłopaka.

Dopiero co przestało mżyć, na ziemi leżała warstwa błota, które wraz z wodą rozniosło się z pobliskiego wykopu. Lojacocono podszedł do ciała, uważając, żeby nie

zadeptać ewentualnych śladów. Przykucnął.

Dojrzał otwór tuż pod linią włosów, świeżo przystrzyżonych i starannie podgolonych zgodnie z najnowszą modą. Wlot niewielki, o równych brzegach: ocenił szybko, że musiał to być mały kaliber. Chłopak nadal ścisnął w dłoni kluczyki od skutera. Nie zdążył nawet zapiąć łańcucha, którego kłódka wciąż dyndała w pobliżu tylnego koła.

Inspektor podniósł wzrok i dostrzegł zagłębienie obok bramy, ciemną wnękę powstałą wskutek jakiejś przebudowy sprzed iluś lat. Spojrzał na ziemię, znalazł łuskę. Tylko jedną. Podniósł ją przez chusteczkę. Noc rozciął ryk syren, nadjechał drugi radiowóz, potem trzeci.

Nagle podwórze zaroilo się od policjantów.

XV

Lojacono rozmawiał z Di Vincenzem, szefem komisariatu San Gaetano tylko raz – kiedy został przeniesiony. Pamiętał z tej rozmowy zakłopotanego mężczyznę, który bębnił palcami w zamkniętą teczkę leżącą na biurku zawalonym papierami. Na wierzchu było napisane tylko: „Lojacono”.

Osoba, którą miał teraz przed sobą, w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i przekrzywionym krawatem, była całkiem inna. Czoło zmarszczone, pewny głęboki głos, władczy wyraz twarzy człowieka przywykłego do panowania ze spokojem i doświadczeniem nad sytuacją. Skierował trzech policjantów, którzy mu towarzyszyli, w stronę obu kobiet i zwłok. Potem podszedł do inspektora.

– Lojacono, a pan co tu robi? Chyba żeśmy się umówili, że nie bierze pan udziału w żadnych akcjach.

– Panie komisarzu, miałem dyżur. Niech pan ma pretensję do tych, którzy nie chcą brać nocnej zmiany. Dla mnie to wcale nie jest zabawa.

Di Vincenzo zamrugął. Nie był przyzwyczajony do takiego tonu, ale musiał przyznać, że odpowiedź była logiczna. Już miał to skomentować, gdy podeszła do niego młoda kobieta i szybko wyrzuciła z siebie serię pytań.

– No więc, Di Vincenzo, co wiemy? Kim jest ofiara? Kto pierwszy dotarł na miejsce zbrodni?

Ostatnie pytanie zadała, patrząc na inspektora, który przewyższał ją o co najmniej dwadzieścia centymetrów.

Di Vincenzo wysyczał:

– Prokurator Piras, inspektor Lojacono. To on przyjął wezwanie i przyjechał pierwszy, ale zjawiliśmy się zaraz potem, właśnie wydawałem mu polecenie, żeby wrócił na komisariat.

Kobieta nie odrywała wzroku od twarzy inspektora.

– Ale wcześniej opowie nam pan, co widział. Chyba wszyscy jesteśmy zgodni, że to, co się zauważy w trakcie pierwszej interwencji, jest najważniejsze. Kim jest ofiara?

Lojacono zwrócił uwagę na sardyński akcent i nienaganny żakiet, który otulał

drobne, delikatne ciało pani prokurator. Albo zadzwonili po nią, zanim położyła się spać, albo była najszybszą kobietą na świecie, jeśli chodzi o ubieranie się i makijaż.

– Dopiero cośmy przyjechali, pani prokurator, i śmy nie zdążyli jeszcze przesłuchać tych dwóch pań, które ewidentnie mają związek z ofiarą.

Piras przytaknęła.

– Pan jest z Sycylii, jak słyszę? Dopiero co przyjechał? W takim razie, jeśli nie ma pan dla nas nic nowego, proszę wykonać polecenie komisarza i wrócić do placówki.

Di Vincenzo poczuł, że musi potwierdzić rozkaz.

– Tak jest, Lojacono, macie wracać do placówki.

Nie odrywając wzroku od oczu Piras, Lojacono podał mu chusteczkę.

– Wedle rozkazu, panie komisarzu. W każdym razie to jest łuska znaleziona w pobliżu zwłok, obok tej wnęki z boku bramy. Kaliber dwadzieścia dwa, jeśli się nie mylę. W czasie chłopaka jest tylko jeden otwór, wydaje mi się, że strzał został oddany z bliska, kiedy ofiara zapinała kłódkę na łańcuchu, który jeszcze zwisa przy tylnym kole skutera.

Na szyi Di Vincenza wykwitła czerwona plama.

– Dziękuję, Lojacono, jeśli będziemy potrzebowali innych informacji, zwrócimy się do pana zamiast do lekarza sądowego i ekipy kryminalistycznej. A teraz zechce pan łaskawie odejść.

Inspektor odwrócił się na pięcie i odszedł kilka kroków bez pożegnania. Potem jednak wymamrotał, ale tak, żeby być usłyszanym:

– Tylko uważajcie na chusteczki.

Ruszył przed siebie. Nie uszedł nawet metra, kiedy Piras głośno zawołała:

– Chwileczkę, jakie znowu chusteczki?

Lojacono przystanął i nie odwracając się, odpowiedział:

– We wnęcie, widać nawet stąd, jest niewielka kupka brudu i błota przesiąknięta deszczem. Na niej leżą trzy zużyte chusteczki, niewątpliwie trafiły tam później niż cały ten syf. Wydaje mi się dość jasne, że zostawił je zabójca, bo to tam leżała łuska, a także dlatego, że to jedyne miejsce, z którego można było strzelić, aby trafić człowieka parkującego skuter tutaj. Proszę wybaczyć, ale dostałem rozkaz oddalenia się.

Z rękoma w kieszeni odszedł z miejsca zbrodni.

Za nim w ogólnej ciszy odbijała się tylko bezgłośnie rozpacz matki Mirka.

XVI

Donato zamyka książkę, nie jest w stanie w ogóle się skupić. Lepiej puścić muzykę, położyć się na łóżku i niech myśli płyną, jak chcą.

Nie zdarza mu się to często. Zazwyczaj jest twardy, zwłaszcza kiedy wisi nad nim egzamin. Metodyczny, dokładny: wykłady, ćwiczenia, pierwsza lektura podręcznika, potem druga, z kolorowym zakreślaczem w garści, powtarzanie materiału z notatkami z zajęć. A potem same piątki.

Metoda, jego zdaniem, może zastąpić pasję. Pasja wcale nie jest taka ważna w pracy, jak się uważa, tak mówił tatuś. Praca to praca. Praca to wysiłek. Szereg codziennych zadań, powtarzanych bez końca, powiązanych jak ogniwa w łańcuchu. Liczy się dokładność, zaangażowanie i oczywiście sukces. Pasja, mój drogi Donato, jest potrzebna w innych sferach twojego życia.

Dlatego nigdy nie miał wątpliwości przy wyborze studiów i specjalizacji. Po wykluczeniu pasji spośród kryteriów wyboru wszystko inne dało się optymalnie zaplanować. A mając takiego ojca, jakiego on miał, który potrafi wskazać drogę, wesprzeć i załatwić wiele spraw, byłoby idiotyczne wybrać coś innego.

Donato lubił na przykład rysować. Miał nawet pewien talent w wychwytywaniu światła i barw i przenoszeniu ich w swoisty sposób na białą kartkę. Ale to żadna praca, żaden zawód, szybko to pojął.

Tata mówi, że mama też umiała rysować. Donato nie znalazł jednak niczego ani w domu, ani w kufrach, gdzie były jeszcze przechowywane jej rzeczy. Nawet wspomnienie tej pięknej, wysokiej, promiennej kobiety zbladło. Został tylko obraz szpitalnego łóżka, z którego szkielet pokryty żółtawą skórą macha mu smutno ręką na pożegnanie.

Został mu jednak tata. Tata myśli o wszystkim, zawsze myślał. Nie może go nigdy zawieść.

Ale jest i ona.

Donato spotkał ją na uniwersytecie. Pośród setki innych dziewczyn. Wyróżniała się spośród reszty. Piękna i wystraszona. Z kartką w garści rozglądała się dookoła w poszukiwaniu kogoś, kto by jej pomógł. Odruchowo odłączył się od swojej grupy i podszedł, uśmiechając się, i zapytał, czy potrzebuje pomocy. Ich oczy spotkały się

wtedy po raz pierwszy.

Czytał o tym w książkach, widział dziesiątki filmów, które wyolbrzymiały wagę pierwszego spojrzenia, nigdy temu nie wierzył. Literatura. Jak można, zastanawiał się, po jednym spojrzeniu pojąć, co jest w danej osobie? Jej przeszłość, gusty, wspomnienia, fantazje i marzenia? To z tych rzeczy przecież buduje się miłość.

A tymczasem wystarczyło spojrzenie. Było w nim wszystko, Donato je wspomina, gapiąc się w sufit z rękoma splecionymi pod głową. Wszystko to, co potrzebne. Następne miesiące przyniosły tylko potwierdzenie. Nie oderwał się od nauki, co to to nie. Ale teraz coś innego motywuje go każdego ranka, by wstać z łóżka. Donato jest zakochany.

Miał wcześniej dziewczyny, to jasne. Roztacza pewien urok, jest tego świadom. Ale jest poważny, nie lubi tracić czasu i się wygłupiać, a znaleźć młodą kobietę o podobnym nastawieniu do przyszłości jest trudniej, niż się zdaje. Tak więc kiedy z nią rozmawia albo snuje marzenia, wydaje mu się, jakby znalazł lustro, w którym widzi lepsze odbicie siebie.

To było takie oczywiste, żeby się do siebie zbliżyć, to było takie naturalne, żeby spotykać się na osobności, to było takie naturalne, żeby się kochać. Naturalne i piękne. Ogarniające zmysły i myśli, duszę i ciało. Wybuchła w nim w środku.

Nie rozmawiał o niej z tatą. To jedyne jego zmartwienie. Tata jest dla niego zbyt ważny. Był ojcem, a zarazem matką, mentorem, przewodnikiem, wsparciem, ale nie przyjacielem. Tata jest surowy, jednoznaczny, formalny i zawsze pewny, co jest białe, a co czarne. Z pewnością nie byłby dobrym powiernikiem zmartwień i niepewności. Co by tata powiedział o całej tej historii?

Donato słyszy głos ojca, jakby stał pośrodku jego pokoju. „To nie czas na takie rzeczy. Chcesz się zabawić, to się zabaw, ale na poważne sprawy przyjdzie czas dopiero potem”.

Ale on jest już mężczyzną, nie zapłakany chłopcem, który niedawno stracił mamę. Mężczyzną, który wie, czego chce, który rozumie znaczenie spraw i umie je planować. Ale w swoim życiu chce mieć także miłość, zwłaszcza kiedy ją spotkał. Zna swojego ojca i wie, że wiele uwag i pretensji, jakimi z pewnością go zasypie, będzie dotyczyło nauki i zdolności skupienia uwagi.

Wybrał więc strategię: zda ten egzamin, jeden z najważniejszych z całego kursu. Zda go celująco, z maksymalną liczbą punktów. Zrobi to tak, że szef katedry, kolega taty, zadzwoni do niego z gratulacjami. Dopiero wtedy wyjawi ojcu swą miłość, postawi go przed faktem, że ona wcale go nie dekoncentrowała, ale przeciwnie – dała siłę, by wspiąć się na szczyty doskonałości.

Zna ojca i wie, że racjonalne myślenie każdorazowo zwycięża u niego z uprzedzeniami i z góry przyjętymi tezami. Zresztą ojciec zawsze mu powtarza, że uprzedzenia to znak rozpoznawczy głupoty.

Zna ojca i wie, że uzna on siłę dowodów i nie stanie mu na drodze do marzeń. Ojciec i ona. Donato nie może sobie wyobrazić, żeby stanęli przeciwko sobie. Dwie osoby kochające całym sercem tego samego chłopaka. Jest optymistą, nie może nim nie być.

A gdyby w przyszłości musiał się zmierzyć – aż trudno to sobie wyobrazić – z koniecznością podjęcia decyzji? Donato odczuwa lekki dreszcz strachu. Życie bez niej wydaje mu się niemożliwe. Ale tata! Tata jest częścią mnie. Gdybym się od niego odwrócił, to by go zabiło. Wciąż zapewnia, że jestem jedynym sensem jego życia. Donato podskakuje na łóżku. Nie, wcale tak nie będzie, wszystko pójdzie dobrze, zdam egzamin, dostanę najwyższą ocenę, pójdziemy na kolację we trójkę i porozmawiamy wtedy o przyszłości. A więc teraz do roboty, powtarzamy materiał.

XVII

Kochana moja,

jak to się mówi? Pierwsze koty za płoty. Szkoda, że aż do samego końca nie będę mógł Cię ujrzeć. Chciałbym Ci opowiedzieć, jak poszło. Byłabyś ze mnie dumna. Wszystko zgodnie z planem, w najmniejszych szczegółach. Byłem przygotowany na nagłe zmiany, czułem, że mózg mi pracuje jak doskonała maszynka. Nie martwiłem się wcale, że zabraknie mi odwagi i odpuszczę. Dziesięć lat to niemało, przez dziesięć lat o tym myślałem, wyobrażając to sobie od każdej strony. Jeśli były jakieś wątpliwości, to je rozstrzygnąłem wcześniej.

Podjechałem o dziesiątej. Obliczyłem, że to będzie dobry moment, na ulicy już nie ma prawie nikogo, wszyscy jedzą kolację i gapią się w telewizor. Zaobserwowałem, że jako ostatni w kamienicy wraca facet z drugiego piętra, taki, co chodzi z płócienną torbą, cholera wie, co robi. W każdym razie od wpół do dziesiątej na podwórku nie ma już żywego ducha.

Chłopak parkuje (powiniennem napisać: parkował, prawda, Kochanie?) skuter zawsze w tym samym miejscu, w rogu, niedaleko wnęki. To mi bardzo pomogło, muszę przyznać. Ale i tak nauczyłem się, że jeśli jesteś czujny, chodzisz ze zwieszoną głową, powłócząc nogami, jeśli wyglądasz na starego i zmęczonego, ludzie odwracają wzrok. Stajesz się niewidzialny. I tak właśnie stałem się niewidzialny i zamierzam taki być aż do końca. Piękne, nie?

No więc wsunąłem się do wnęki. Śmierdziało tam szczykami, to też mi pasowało, bo nawet jakby ktoś mnie zobaczył, tobym udawał, że sikam. Ale nikt mnie nie widział. Czekałem bez ruchu. Tyle czasu, ile trzeba. Co nagle, to po diable.

Spokojnie zamontowałem tłumik. W mojej torbie zmieściło się wszystko, także paczka chusteczek. To oko ciągle mi łzawi, wiesz, ale się przyzwyczailem. Pani doktor mówiła ostatnim razem, że to jest chroniczne i mi tak zostanie. A co mnie to obchodzi w sumie? Miałem ochotę zaśmiać się jej w twarz, gdy wychodziłem z gabinetu.

Przykręciłem tłumik, jak już mówiłem. Coś niesamowitego, próbowałem go w domu, słyhać tylko dźwięk jak pstryknięcie palcami. Rozwaliłem przy tym tyle poduszek, że nawet sobie nie wyobrażasz. Raz nawet pomyślałem, żeby przetestować go na niej, żeby już nie słyszeć tych jęków. Ale wtedy nie udałoby mi się wszystkiego

poukładać tak, by znów Cię zobaczyć.

Włożyłem okulary do patrzenia z bliska, bo obliczyłem sobie, że jak wyciągnę ramię w chwili, gdy pochyli głowę nad kłódką, to będzie mnie od niego dzielić trzydzieści centymetrów. Dzień wcześniej zrobiłem próbę, nie usłyszał najmniejszego szelestu, pogwizdywał. Był całkiem zadowolony, ciekawe dlaczego? Wczoraj też był zadowolony. W tym wieku, Kochanie, łatwo się cieszyć z byle czego.

Zagadałem się, ale to dlatego, że ja też jestem zadowolony. Wreszcie zabrałem się do dzieła.

Czekałem w gotowości ze dwie godziny, w końcu nadjechał. Aż musiałem co jakiś czas odkładać pistolet do torby, bo drętwiała mi ręka. Tyle razy to wszystko sobie powtarzałem w głowie, że kiedy już to zrobiłem, wydawało mi się, jakbym sobie to tylko wyobrażał kolejny raz. Wypadły mu z ręki klucze, schylił się po nie, dał mi więc dodatkowe trzy, cztery sekundy.

Celowałem, wyobraż sobie, w sam czubek tego trójkąta, który mu fryzjer podgolił, żeby uzyskać tę durną fryzurę. Potem odszedłem. Wróciłem, dopiero kiedy zebrała się garstka gapiów ciekawych tego, co się stało.

Nadjechała policja. Najpierw jeden radiowóz, potem jeszcze dwa. Ludzie komentowali, ja pośród nich, z torbą na ramieniu, słuchałem. Wiesz, Kochanie, nikt tu nie lubi policji. Nienawidzą ich. I wcale nie czułem dookoła siebie litości dla chłopaka. Pytali tylko jeden drugiego, kto zginął, ale wszyscy byli zadowoleni, że to ich nie dotyczy. Dziwni są ci ludzie.

Z pierwszego radiowozu wysiadło dwóch policjantów, jeden z nich zwrócił moją uwagę. Poruszał się powoli, bez pośpiechu, jakby do muzyki, którą dobrze znał. Podszedł blisko wnęki, podniósł coś z ziemi, wydaje mi się, że łuskę. Potem poszedł tą samą drogą co ja, wpatrywał się w ziemię.

Nie martw się, Kochanie, nikt na mnie nie patrzył, jak zwykle. Nie sądziłem, że w tym mieście ludzie aż tak pilnują swego nosa. Uważałem, żeby stąpać krawędziami podeszew, które wcześniej wyszlifowałem. Nie było żadnych śladów. Ale ten policjant szedł dokładnie w tym kierunku co ja.

Potem podniósł wzrok w stronę grupki, w której stałem. Na szczęście ani drgnąłem. Miał wąskie oczy, jak jakiś Chińczyk.

Przyjechali inni, nawet jedna kobieta, zdaje się prokurator (możliwe, żeby tacy młodzi byli prokuratorami?). Odesłali tamtego policjanta. Tym lepiej, pomyślałem. Wyglądał na jedyne, który mógłby się w tym wszystkim rozeznać.

Tak więc, Kochanie, wszystko idzie zgodnie z naszym planem. Jestem naprawdę zadowolony.

Teraz kolej na dziewczynę.

XVIII

– To żeś zaczął policjanta zgrywać? – odezwał się Giuffrè. – Mówią, żeś wyglądał jak Serpico^[1] i żeś się stawiał nawet samemu Di Vincenzowi.

Lojacono nawet nie oderwał wzroku od monitora: trzy i dwa to pięć, dwa piki, tym razem cię ogram, pomyślał. Ten cholerny komputer regularnie wygrywał.

– Żaden Serpico. To była interwencja po nocnym wezwaniu i zdałem raport z tego, co widziałem.

Giuffrè nie zamierzał odpuścić. Miał do dyspozycji bohatera dnia, o którym rozmawiał cały komisariat.

– Wiesz, jak cię nazywają? Montalbano z wariatkowa. To wcale nie jest miłe, jak cię tak za plecami obgadują, nie? Powiedz mi coś o swoich genialnych przeczuciach, opowiem im, to im szczęki opadną.

– Jakie tam przeczucia, Giuffrè, ocipiałeś? Zobaczyłem kilka chusteczek, które nie były mokre, podniosłem łuskę. Co w tym intuicyjnego? Powiedz tym kretynom, że tutaj nie ma żadnego Montalbano, on zresztą nie pochodzi z moich stron. Ani z żadnego wariatkowa. I niech nie próbują mnie wkurzać, bo się odegram. A tak już poza tymi bzdurami, wiadomo, kim był ten chłopak?

Giuffrè wzruszył ramionami.

– Niejaki Mirko Lorusso, lat szesnaście mniej więcej. Bez rodzeństwa, bez ojca, matka pracuje jako pielęgniarka domowa. Drobnny złodziejasek, pewnie podpierdolił kasę jakiemuś gościowi z camorry i został ukarany. Dali mu nauczkę, żeby inne gnojki wiedziały. Kwestia wychowania.

Lojacono aż zadrżał, komputer wyłożył mu mocne karty, trójkę i siódemkę, siódemkę pik!

– Żadna camorra, zabili go za coś innego.

Giuffrè pokręcił głową z podziwem.

– O matko, naprawdę zgrywasz policjanta, i to na całego! Kim jesteś? Maigretem^[2]? Śmiało, Sherlocku, powiedz mi, dlaczego to nie jest sprawa camorry.

Lojacono wreszcie oderwał wzrok od monitora, znowu przegrał.

– Po pierwsze, kaliber dwadzieścia dwa. To niezbyt celny pistolet, trudny

w użyciu, tym bardziej z tłumikiem, którego użyto, by odgłos nie rozniósł się po ciasnym podwórku. Po drugie, pod własnym domem ofiary. Jest ryzyko, że mógłby tamtędy przechodzić ktoś znajomy, a to zniweczyłoby cały plan. Po trzecie, bez dobrych dróg ucieczki. Z takiego ślepego zaułka ani samochód, ani nawet motor nie mogą szybko wyjechać i nie zostać zauważone. O wiele łatwiej byłoby, gdyby chłopak sobie jechał gdzieś skuterem, a zabójcy podjechali obok na motorze, zrównali się z nim i oddali trzy strzały dla pewności. To typowy sposób załatwiania porachunków. Po czwarte, wiek. Czy taki gówniarz mógł zrobić coś aż tak poważnego, żeby zasłużyć na wyrok? A gdyby nawet zrobił, to nie chodziłby po ulicy i spokojnie wracał do domu. Powtarzam, moim zdaniem camorra nie ma z tym nic wspólnego.

Giuffrè rozdziawił usta. Oczy za grubymi szklami wydawały się ogromne.

– I ty to wszystko sobie pomyślałeś przez te parę minut, kiedy tam się kręciłeś? I nikomu nie powiedziałeś?

Lojacono wzruszył ramionami.

– Nikt mnie o nic nie pytał. Powiedzieli mi tylko, żebym sobie zaraz poszedł, no więc poszedłem. Wiesz, trzeba wykonywać rozkazy. A poza tym to tylko takie moje rozważania. Może masz rację i chodziło o porachunki camorry.

– Podoba mi się twoje rozumowanie. A jeszcze bardziej spodobałoby mi się, gdyby te nadęte dupki przestały myśleć, że tu siedzą tylko tacy, co nie znają się na robocie. Chciałbym zobaczyć, jak jaśnie pan Di Vincenzo z całą tą swoją kwiecistą gadką tym razem rozgryzie sprawę. Bo to jest, owszem, biedna dzielnica, ale zabójstwa raczej się nie zdarzają. A do tego jeszcze nieletni chłopak, to robi wrażenie. Zobaczysz, będą mu siedzieli na karku.

Lojacono pokręcił głową.

– Tragedię to teraz matka przeżywa. Trzeba było ją widzieć. Strasznie cierpiała. Mówisz, że mieszkali tylko we dwójkę, i teraz rozumiem: straciła wszystko. Całe jej życie nagle runęło, tam na dole, na podwórku. Wyglądała jak obraz cierpienia, biedaczka.

Giuffrè wciąż podążał za swoimi myślami.

– A nieszczęsnemu Di Vincenzowi trafiła się jeszcze ostra prokurator. Piras, niezła laseczka z Castellammare, takich łatwo nie wykiwasz.

Lojacono przypomniał sobie tę ładną kobietę.

– Tak, widziałem ją, zaraz przyjechała. A co, znasz ją?

– Jasne, że znam. Spotkałem ją, jak robiłem za kierowcę pana posła, który był też

wielkim adwokatem, parę razy żeśmy ją podwozili samochodem. Doktor prawa Laura Piras, pochodzi z Cagliari, około trzydzieści lat. Drobna, ale zgrabna. Jednak kiedy się zorientuje, że gapisz się na jej cycki (pokażne, jak pewnie zauważyłeś), może ci wydrapać oczy. Nigdy nie odpuszcza i nie zna granic, jeśli chodzi o jej karierę. Zobaczysz, jak pogoni do roboty Di Vincenza.

– Ma męża i dzieci?

Giuffrè zaczął chichotać.

– A co, zabujałeś się w pani prokurator? Na pewno kręcą cię ładne dupy? A więc jednak są ślady życia w tych spodniach, jakże się cieszę! Takich, którzy nie mają nigdy chcicy, się boję. W każdym razie, skoro pytasz, odpowiedź brzmi: nie, chociaż niejeden próbował, nawet pan poseł, wyszedł na dupka, mówię ci, i to przede mną, a raczej za mną, bo prowadziłem samochód. Powiedziała mu, żeby zabrał rękę, bo jak nie, to mu ją upierdoli.

Lojacono spojrział lodowato.

– Nie ciesz się tak, nie mam żadnej chcicy. Tylko myślę, że jak ktoś ma dzieci, to może lepiej zrozumieć, co znaczy śmierć tak młodego chłopaka. Miałem nadzieję, że ona będzie w stanie się lepiej wczuć. Tylko tyle.

– Masz rację, mój syn to kawał łobuza, ile ja się muszę naużerać, żeby się chciał uczyć, ale zawsze o nim myślę. A tamten, chociaż złodziej, to miał dopiero szesnaście lat. O kurde, ta baba od kotów znowu tu przyszła, o co jej znowu chodzi? Proszę, niech pani usiądzie.

XIX

Allegra wychodzi ze szkoły, chichocząc.

– A najfajniejsze, że poza nim nikt tego nie widzi. Boże, ale ubaw! Widziałaś jego minę?

Giada już się nauczyła, że jej kumpelka jest zdolna do wszystkiego, ale to ją jakoś wyjątkowo poruszyło.

– Nie boisz się? A co będzie, jak się wkurwi i powie dyrektorowi albo od razu twoim rodzicom? Wiesz, że dostaniesz wilczy bilet do każdej szkoły?

Koleżanka odwraca się do niej z wdziękiem.

– Żartujesz? Wpakowałyby się w megakłopoty. Moje słowo przeciwko jego. Bez trudu zrobiłabym z niego starego zboczeńca, którym zresztą pewnie by został, gdyby miał odwagę zrobić ten jeden krok do przodu. Mówię ci, trzymam go za jaja, nic nie może zrobić.

– Jestem przerażona, nie rozumiem, skąd bierzesz odwagę na pewne rzeczy. I aż trudno mi sobie wyobrazić: siadasz w pierwszej ławce, bez majtek, i zaczynasz przekładać nogi, rozsuwać uda. Nie brzydzi cię to?

Allegra wzrusza ramionami.

– Wybacz, a niby dlaczego? Po pierwsze, wcale mu nie daję, tylko pokazuję. A poza tym uwielbiam, kiedy robi się cały czerwony, potem blady, potem dostaje plam. Patrzy w górę, w bok, wszędzie, byle nie tam. Zaczyna się jąkać, potem jednak spogląda ukradkiem sto razy, gubi wątek, nie rozumie nawet greckiego, którego uczy. A poza tym widziałaś moje oceny? Mocna czwórka, a wiesz, że ja nawet podręcznika nie kupiłam.

Giada kręci głową, śmiejąc się.

– W końcu kiedyś cię zamkną, to pewne. No i będziesz go miała na sumieniu, to stary zgred, ma co najmniej pięćdziesiąt lat, zawału dostanie. I do tego ksiądz. W piekle skończysz, mówię ci.

Allegra przerywa jej wdzięcznym ruchem dłoni.

– Ksiądz czy nie ksiądz, to stary śliniący się oblech i nigdy na nic się nie odważy. Przedwczoraj mi nawet powiedział: „Droga pani, musimy porozmawiać w dogodnej

chwili, pani potrzebuje opieki duchowej”. Już ja wiem, jak by się duchowo mną zajął, gdybym tylko znalazła się z nim sam na sam, mowy nie ma. No więc do rzeczy: jedziesz ze mną do domu? Podwiozę cię.

– W życiu, ostatnio mało nas nie pozabijałaś. Kiedy jadę z tobą, gadasz zamiast patrzeć na drogę. Złapię autobus.

– Rób, jak chcesz. Wolisz się telepać z hołotą, proszę bardzo. Siemanko, potem się zdzwaniamy.

– Siema, do potem.

Giada lubi wracać autobusem. Jest wyższy niż murki okalające drogę i można oglądać panoramę po obu stronach. Nisida, plaża w Bagnoli, wyłaniająca się zza starej rozebranej fabryki, za nią błękitna zatoka poprzecinana smugami, które zostawiają za sobą motorówki. W sumie, tak sobie myśli, ładne jest to miasto. Widziane z daleka. Ma w głowie zamglone wspomnienie dnia, w którym ojciec zabrał ją na jogging nad morze. Była mała, on udawał, że się oddala, zostawia ją w tyle, potem się zatrzymywał i śmiał. Przechowuje to wspomnienie na dnię pamięci, wyciąga tylko czasami, ukradkiem, kiedy jest sama.

W autobusie jak zwykle siada z przodu. Myśli o matce. Wczoraj znów się pokłóciły, a pod koniec matka jak zwykle się popłakała. Nie da się z nią rozmawiać. Po czterech zdaniach zaczynają jej płynąć łzy, jakby ktoś kran rozkręcił. I mówi: „Jesteś jedyną ważną osobą w moim życiu. Jedyną”.

Giada nie lubi tej odpowiedzialności. Przez nią nie może się zabawić, jak to robią wszyscy jej rówieśnicy. Myśl o matce, która żyje tylko dla niej, paraliżuje ją.

Z głową opartą o brudną szybę odtwarza w pamięci wczorajszą awanturę. Nie chce już chodzić na lekcje skrzypiec, nie czuje powołania, jest zmęczona, a ta zdzira wyznaczyła jej lekcje od ósmej do dziewiątej wieczorem. Kiedy wraca po zajęciach, park jest już pusty i wtedy ogarnia ją nawet lekki strach. Na to matka, że w takim razie powinna czuć tym bardziej strach, kiedy w sobotę wraca o północy. Giada odpowiedziała, że w weekend wszyscy wracają o czwartej nad ranem, a tylko ona musi iść do domu o północy. A zresztą o północy w sobotę jest na mieście więcej ludzi niż we środę o dziewiątej. Matka wtedy, że gdyby ten kutas, jakim był jej ojciec, nie wyjechał z kochanką do Ameryki, tylko został pełnić obowiązki ojca, toby jej też pomagał w nauce. I dalej w płacz. Jak zwykle.

Giada prycha na samo wspomnienie. Ma tyle życia przed sobą i pragnie je przeżyć. Nie rozumie, dlaczego nie chcą jej pozwolić.

Już prawie jej przystanek. Podnosi wzrok. Autobus jest pusty. Nie, z tyłu ktoś siedzi, jakiś staruch.

Wstaje i szykuje się do wyjścia.

XX

Letizia opadła na krzesło przy stoliku Lojacono.

– O mamusiu, dzisiaj nóg nie czuję. Chyba robię się już stara. Kiedyś latałam od stolika do stolika jak sarenka.

Inspektor puścił oko i się uśmiechnął.

– Kiedy ciągle wyglądasz jak dziewczuszka. Dobrze wiesz, że wszyscy faceci przychodzą tu dla ciebie, bo jeśli chodzi o jedzenie...

Letizia udała, że chce go dźgnąć podniesionym ze stołu widelcem.

– Jak śmiesz! Podajemy tu najlepszy sos mięsny w całym mieście, a to oznacza: na całym świecie. Zjadasz go prawie co wieczór, więc sam dobrze wiesz.

Lojacono poklepał się po brzuchu.

– A jakże, zobacz, co ze mną robisz. Kiedy tu zacząłem przychodzić, miałem sylwetkę sportowca, a teraz wyglądam na podtatusiałego biznesmena.

Leciutko się zarumieniła.

– Nie, naprawdę świetnie się trzymasz. Jeszcze musisz zjeść sporo makaronu, żeby przytyć. Z innej beczki, słyszałam, że to ty miałeś dyżur w zeszłym tygodniu, kiedy zabili syna Luisy, pielęgniarki. Jak to było?

– A więc matka ma na imię Luisa. Tak, to był mój dyżur, szkoda chłopaka, taki młody.

Letizia wzruszyła ramionami.

– Młody, owszem, ale tu szybko zaczynają. Mówi się, że zadawał się z nefajnymi ludźmi, no wiesz, zaczął coś kręcić.

– W jakim sensie?

– Łatwe pieniądze. Przewieźć coś z jednego krańca miasta na drugi, drobna dilerka. Rekrutują ich, kiedy są jeszcze dzieciakami, mówią na nich „muszki”. Powoli wprowadzają ich w robotę. Może chłopak popełnił jakiś błąd i nawet się nie zorientował.

Lojacono upił łyk wina.

– Nie wiem. Wydaje mi się dziwne, to nie było zabójstwo w typowym

gangsterskim stylu. Oni są bardziej aroganccy, jak chcą zabić na pokaz, żeby dać nauczkę, to robią to tak, żeby było widać. A co mi powiesz o matce?

Letizia rozłożyła ręce bezradnie.

– A co mam ci powiedzieć, znam ją od zawsze. Miała tego syna nie wiadomo z kim, wychowała go z wielkim trudem. Dbała o niego. Pracowała w jakimś szpitalu, a potem wzięła się do robienia zastrzyków po domach, kroplówki, zabiegi, takie rzeczy. Brała nocne dyżury przy chorych, przez co chłopak za dużo siedział na ulicy, poznawał niewłaściwych ludzi. Tak to jest na świecie.

Lojacono gapił się przed siebie zamyślony.

– W pobliżu miejsca, gdzie zabito chłopaka, znaleźli chusteczki. I to sporo, tak jakby ten, kto ich używał, czekał dłuższy czas. Może nawet parę godzin. Ktoś czai się po ciemku, w deszczu, całymi godzinami czeka, aż chłopak wróci, po to, by strzelić mu w głowę z pistoletu małego kalibru, prawie zabawki. Pistoletu, który bez problemu można schować w kieszeni. Nie, to nie był zabójca z camorry.

Słuchała z zapartym tchem.

– Chusteczki? Takie papierowe? A nie można by ustalić DNA? Widziałam w serialu, jak...

Inspektor machnął ręką.

– Daj spokój, w filmach opowiadają pierdoły. Ktoś znajduje ślad i już wszystko wiadomo, znają nawet horoskop zabójcy. Giuffrè, mój kolega z pracy, widział raport przysłany przez laboratorium kryminalistyczne: ciecz łzowa i komórki naskórka, co oznacza, że przy wycieraniu łzawiącego oka zostały na chusteczce mikroskopijne fragmenty skóry powieki. Wszystko przeanalizowali, ale nie zgadzało się im z niczym, co mają w bazie danych. Wiadomo tylko, że płeć męska.

Letizia była lekko zdziwiona.

– Jak to łzy? Zabójca płakał?

– Niekoniecznie. Może tylko miał katar, to prawdopodobne. Tyle czasu stał w tej wilgoci. W każdym razie to są informacje poufne, teoretycznie nawet ja nie powinienem ich znać, więc nie opowiadaj tego nikomu, proszę. Podoba mi się, że pracują szybko, prokuratorka jest młoda, ale sprawna, widziałem ją tamtego wieczoru, wygląda na taką, której nie wystarczy, że jest ładna, ale się też przykłada do roboty.

Poczuła ssanie w żołądku, ale nie dała po sobie poznać.

– Miałaś nawet czas, żeby się przyjrzeć pani prokurator i stwierdzić, że jest ładna. Ale numeru telefonu nie wzięłaś, co? Mógłbyś z nią dyskutować o śledztwie, może

nawet byś ją tu na kolację zaprosił...

Inspektor wybuchnął śmiechem.

– Tak, wtedy byś nas oboje zatrzymał. Niemądra jesteś, wiesz, że nie jestem facetem, który robi takie rzeczy.

Letizia uśmiechnęła się krzywo i nałapała sobie wino.

XXI

Eleonora siedzi nieruchomo na schodku. Czeką. Nie chciała mu mówić przez telefon. To nie są sprawy do omawiania na odległość. Takie wiadomości trzeba przekazywać bezpośrednio, mając przed sobą osobę z krwi i kości, muszą zabrzmieć w rozmowie twarzą w twarz. Muszą pojawić się w znanej przestrzeni, nie w jakimś nieokreślonym eterze. Muszą napotkać oczy odbiorcy, trzeba widzieć wszystko – źrenice, usta, rumieniec, każdą zmianę.

Nie przyniosła ze sobą wyniku. Wydało jej się to zbędne, nawet szkodliwe. Tak jakby potrzeba było dowodu na piśmie.

Trudno jest przekazać taką wiadomość. Nie wiesz, czy jest dobra, czy zła. Będziesz wiedziała po jego minie, w tej samej chwili, kiedy słowa padną w przestrzeni pomiędzy wami i nabiorą ciała. Róża albo kamień. Miła melodia albo ostrze.

Eleonora drży. Bardzo się boi. Rozumie intuicyjnie, bo tak jej mówi istota jej kobiecości, że nic już nie będzie takie jak przedtem, kiedy wreszcie powie. Na dobre i na złe, nic nie będzie takie samo.

Przerobiła wszystkie ostatnie noce, zanim zebrała dość odwagi. Szukała w rozmowach, opowieściach, nawet w jego śmiechu śladów odwagi. Po raz pierwszy poczuła się doroślejsza od niego, kiedy tak badała jego charakter, zastanawiała się, czy będzie w stanie przyjąć słowo, które ona wymówi, i podnieść ją, i nieść w ramionach, tak jak by chciała.

Nagle, kiedy mijają godziny nieskończonych nocy, Eleonora orientuje się, że go nie zna. Zawsze myślała, że liczy się tylko ich miłość, to, co widzi w jego oczach, kiedy ona nadchodzi. To, co ona sama czuje w sercu, które bije mocniej na samą myśl o nim. Ale tak naprawdę go nie zna. Co robi, kiedy nie są razem? Jakie są jego myśli, rozrywki, fobie? Może taka wiedza pomogłyby jej przewidzieć, jak zareaguje. Nie ma tych informacji, może nigdy ich nie będzie miała.

Przeciąga dłonią po twarzy. Nie chce go stracić. Stara się myśleć pozytywnie, tak jak mawiał jej ojciec: „Jeśli przywołasz kłopoty, na pewno na ciebie spadną. Jeśli przywołasz dobre rzeczy, to one się zjawiają”. Tato, bardzo bym chciała mieć cię teraz obok siebie. A tymczasem nawet tobie nie wiem, jak to powiedzieć.

Nagle traci całą pewność i ufność. Nagle wszystkie obietnice usłyszane nad morzem albo w łóżku wydają się jej pisane patykiem po wodzie. Wszystko, w co uwierzyła, czemu zaufała, rozplywa się jak śnieg. Wie, że dała wszystko i bezpowrotnie komuś, o kim nie wie nic.

Ale zaraz odnajduje ufność. Serce zwraca ją w nienaruszonym stanie. Nie mogła aż tak się pomylić. Miłość to miłość, prawda? Zawsze znajdzie sobie drogę. Pokona przeszkody, ominie jakieś niespełnione marzenie albo takie, które trzeba dopasować do okoliczności. Wygrywa życie. A życie to oni dwoje.

Myśli o jego ojcu. Nie poznała go jeszcze. Myśli o jego oschłości, o której jej opowiadał, o tym, jaki jest surowy. Myśli, że człowiek, który tak kocha swojego syna, zrozumie, dlaczego ona z taką czułością oswaja się z maleńkim życiem, które nosi w sobie. Rodzic rozumie rodzica. Miłość to uniwersalny język.

Rozgląda się dookoła. Wybrała park przy uniwersytecie, tam gdzie się spotkali po raz pierwszy. Jest jak talizman, który przyniesie jej szczęście, jest tego pewna. Zobaczy, tak jak wtedy, że nadchodzi, swoim pewnym, spokojnym krokiem, te szerokie ramiona i odstające uszy, które tak lubi. Zobaczy go jako pierwsza i się do niego uśmiechnie. On ją dostrzeże i odwzajemni uśmiech, tak jak za każdym razem, gdy się spotykają. Wszystko będzie dobrze.

Wszystko będzie dobrze.

XXII

Stary człowiek nocą idzie ulicą, przy której mieszkają bogaci. Czytał, że ceny dochodzą tam do dziesięciu tysięcy euro za metr. Jego interesuje tylko to, czy są ochroniarze i w jakim rytmie pracują.

Szybko się uczy. Zapisuje w pamięci rozkłady dnia, przyzwyczajenia, sytuacje. Jeśli w myślach wygradzisz sobie okolicę, tak rozumuje, to ona staje się małym osobnym światem z nielicznymi mieszkańcami, którzy poruszają się zawsze w ten sam sposób. Gdyby to było takie miejsce, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, jak w jego wiosce, nie mógłby przejść niezauważony. Ale tutaj stał się niewidzialny. Wzrok ludzi prześlizguje się po nim i biegnie dalej, tak jakby składał się z powietrza. I dobrze, naprawdę bardzo dobrze. Poprzedniego dnia stanął wręcz twarzą w twarz z dziewczyną. Sprawdzał trasę, był pewien, że ona pozwoli się podwieźć przyjaciółce, jak prawie zawsze we środę wieczorem po lekcji skrzypiec. Ona także omiotła go bezwiednie wzrokiem. Miasto pełne duchów.

Przechodzi obok parku. Pomyślał, że powrót z lekcji skrzypiec to najlepszy moment. Dziewczyna jest praworęczna, przełoży futerał z instrumentem do lewej, wyciągnie klucze i otworzy bramę. Nigdy nie dzwoni domofonem. Pokonuje tę trasę zawsze o tej samej porze z dokładnością do dziesięciu minut. W parku jest strażnik, ale pierwszy obchód zaczyna o dziesiątej, w pół do jedenastej. Obok bramy jest niskie drzewko, coś jak karłowaty cyprys, zdaje mu się, że nazywają to tują. Można się za nim schować, jeśli się nie jest wysokiego wzrostu, a on na pewno nie jest.

Wkłada rękę do kieszeni po chusteczkę, żeby otrzeć oko, palce dotykają zimnego metalu. Dla niego to bardzo przyjemne uczucie. Ulica bogatych ludzi jest dziś opustoszała. Widział ją już o każdej porze: pełną mrówczej bieganiny albo opustoszałą jak teraz.

Zaczyna kropić lekki deszcz. Sprawdził prognozy i wiedział, że będzie padać. Nie jest to konieczne, ale pomaga. Mało komu będzie się chciało wyjść na spacer. Wielu ludzi w tej okolicy ma psy, ale koło dziewiątej siedzą raczej przy kolacji.

Może ciało znajdzie właśnie ktoś wyprowadzający psa?

Ale to nie ma żadnego znaczenia, myśli sobie stary człowiek.

XXIII

Giuffrè wślizgnął się do pokoju, wymachując gazetą.

– Hej, Montalbano, słyszałeś już?

Lojacono podniósł wzrok znad książki.

– Weź mnie, kurwa, tak nie nazywaj, już mówiłem, że mnie to wnerwia.

Starszy sierżant udał, że się obraża.

– No co za maniery! Jako jedyny w całym mieście się do ciebie odzywam, mógłbyś mnie trochę bardziej szanować. W każdym razie jak cię nie interesuje, to spadaj.

Skierował się do drzwi, a Lojacono wrócił do czytania. Giuffrè przystanął jednak i się odezwał:

– Trochę szkoda, bo według mnie tu w gazecie piszą rzeczy, które mogą cię zainteresować, inspektorze Lojacono.

Słyszając swoje nazwisko, inspektor wreszcie zdjął nogi z biurka i zamknął książkę.

– No dobra, opowiadaj, i tak nie dasz mi spokoju, a książka jest nudna.

– Wolę, jak grasz w pokera z komputerem. Jesteś sfrustrowany, bo zawsze przegrywasz, ale się nie wkurzasz. W każdym razie wiadomość jest ważna. Wczoraj przy via Manzoni zabito czternastoletnią dziewczynę.

W umyśle Lojacono pojawił się wyraziście koszmar, jaki prześladował go w nocy, kiedy zginął chłopak – obraz córki w rozbitym samochodzie.

– Szkoda. Ale nie wydaje mi się to aż takie nietypowe, co?

– Jasne, ale jeśli połączysz to z faktem, że Piras rano dzwoniła już cztery razy do Di Vincenza i że tutaj – popukał w gazetę – mówią o jednym strzale w głowę, to sprawa nabiera rumieńców, nie sądzisz?

Lojacono milczał chwilę, potem odparł:

– Po pierwsze, skąd wiesz, że Piras dzwoniła? Po drugie, daj mi tę gazetę.

Giuffrè, kiedy był bardzo z siebie zadowolony, kiwał się na czubkach palców. Lojacono irytowało to aż do szaleństwa.

– Bo Pontolillo z sekretariatu ma gębę tak dziurawą jak kaptcie mojej teściowej. Dziś rozgadał się przy kawie, nawet pomyślałem, że ma słabość do pani prokurator, tylko że przy ostatnim telefonie ona była tak wkurwiona, że go to nawet wystraszyło. Dodałem dwa do dwóch, myślisz, że jesteś tutaj jedynym policjantem?

Lojacono się zamyślił.

– Jak byłem mały, miałem taką dmuchaną zabawkę, nazywała się Ercolino. Kiwała się tak, jak ty się teraz kiwasz, a ja ją okładałem pięściami po gębie, żeby sprawdzić, czy dalej się będzie kiwać.

Giuffrè nagle się zatrzymał zaniepokojony.

– W każdym razie robi się grubo. Czytaj, czytaj. Gazeta łączy oba zabójstwa. Ciekawe, kto dał im cynk? Piszą też o sławetnych chusteczkach. Dlatego, moim zdaniem, Piras szalała.

Artykuł rzeczywiście należał do treściwych. Dziennikarz donosił o śmierci G.D.M., czternastoletniej uczennicy z zamożnej rodziny, zabitej strzałem w głowę, gdy wracała do domu z lekcji skrzypiec około dwudziestej pierwszej. Niczego nie skradziono. W pobliżu zwłok znaleziono zużyte chusteczki, który to szczegół pozwalał łączyć zbrodnię z zabójstwem M.L., szesnastolatka zamordowanego kilka dni wcześniej w dzielnicy San Gaetano. Reporter zastanawiał się, co mogło łączyć obie ofiary i czy policja nie jest zbyt opieszala w ściganiu sprawcy.

Ton publikacji nie był jeszcze otwarcie wyzywający, ale zawierał w sobie pogrózkę, że taki może się wkrótce stać. Tekst kończył się sugestywną ilustracją zabójcy zaczajonego w cieniu, rzucającego na ziemię chusteczki. Łzy zabójcy. Łzy Krokodyla. Metafora została powtórzona w tytule: *Nowa zbrodnia Krokodyla*. Lojacono dobrze rozumiał, dlaczego Piras się wściekła. Tylko jej nazwisko pojawiło się w artykule.

Gazeta należała do najbardziej poczytnych w mieście, inne wydawnictwa na pewno podchwycą ten obraz, który już utrwalił się w powszechnej wyobraźni, tak łatwo podatnej na emocje, gdy giną młodzi ludzie. Dopóki chodziło o Lorusa, można było stawiać hipotezę o porachunkach camorry. Ale ręka podniesiona na dziewczynkę z dobrej rodziny to świętokradztwo. Lojacono oddał gazetę koledze. Giuffrè znów bezwiednie zaczął się kiwać.

– Wiesz coś może o łusce?

Starszy sierżant zatrzymał się.

– Nie, a co ja mógłbym wiedzieć? Jeśli chcesz, to się zapytam. Dzisiaj już nie, bo Pontolillo sobie poszedł, ale jutro od tego zacznę...

Lojacono wyczytał pewną przydatną informację.

– No więc bądź łaskaw sprawdzić jutro, czy znaleźli łuskę i czy jest taka sama jak ta sprzed paru dni. I jeszcze jedna rzecz: chciałbym, żebyś krył moją nieobecność jutro rano, muszę pójść na pewien pogrzeb.

XXIV

Gorące policzki. Zawsze tak było. Od kiedy pamięta, paliły go policzki.

I jeszcze odgłos bicia serca w uszach, tak jakby mu to serce przeskoczyło do głowy. Dziś już wie, bo uczył się o tym, że to objawy stresu. Ale to nie zmienia faktu, że odczucie jest dziwne.

Donato wychodzi na świeże powietrze i bierze głęboki wdech. Myśli, że człowiek może planować, rozważać wszystkie aspekty, argumenty za i przeciw, ale i tak wychodzi coś innego, nieprzewidzianego, coś, co sprawi, że wszystko potoczy się w inną stronę.

Wie, że niczego nie przeoczył, uczył się jak zwykle, a nawet intensywniej. Znalazł w ostatnich dniach czas na jeszcze jedną powtórkę, żeby być pewnym, że niczego nie ominął. W przeddzień zrobił sobie gruntowny sprawdzian, by zrozumieć, czy naprawdę był tak gotowy, jak uważał.

Odhaczył wszystkie punkty, jak zwykle. Co poszło nie tak?

Rozgląda się po ogrodach otaczających poliklinikę, patrzy na tłum studentów, pielęgniarzy, profesorów i asystentów w fartuchach albo z kurtkami złożonymi pod pachą, który wylał się z budynku, by złapać pierwsze blade promienie słońca po wielu dniach uporczywego deszczu. I zadaje sobie pytanie, czy czasem ojciec nie ma racji, kiedy mówi, że rozproszenie uwagi, dekoncentracja to podstępni i przebiegli wrogowie. Podpełzają po kryjomu i opanowują umysł, zanim się zorientujesz.

Myśli o ojcu i o tym, jak bardzo chciał, żeby sukces na tym egzaminie stał się podstawą całej rozmowy, jaką chciał z nim przeprowadzić. Przywołuje znów obraz profesora, który kręci głową, bawiąc się jego indeksem. Czuje znowu tę ciszę, która zapadła po ostatniej odpowiedzi, i swoje zaskoczenie, bo był przekonany, że odpowiadał prawidłowo. Słyszy znów westchnienie profesora, zanim ten poradził mu podejść jeszcze raz w jesiennej sesji, bo szkoda, żeby z takimi ocenami i takim nazwiskiem miał z tego najważniejszego w semestrze egzaminu stopień grubo poniżej średniej.

I znów widzi siebie, usztywnionego, z rozpalonymi policzkami, jak wstaje, kiwa głową, dziękuje i wychodzi z ciężarem kłębki na barkach.

Będzie musiał powiedzieć ojcu, że egzamin obłany. Będzie musiał, bo ojciec i tak

by się dowiedział od jednej z licznych wtyczek, które ma na wydziale, włącznie z profesorem, który go egzaminował. Ojciec będzie milczał, już to sobie wyobraża, a pod koniec pokiwa głową: „Jeśli dałeś z siebie wszystko, nie masz powodów się obwiniać”. A to będzie znaczyć: skoro stać cię na więcej niż klęska, to na pewno zrobiłeś po drodze coś nie tak.

I jej też będzie musiał to powiedzieć. Wyjaśnić, że ich plan musi ulec nieprzewidzianej zmianie, że będą musieli odłożyć tę wyczekiwaną kolację. Zobaczy zawód w jej oczach, smutek, którego nigdy nie chciałby oglądać.

To tylko jeden egzamin, powtarza sobie. Cholerny egzamin na studiach, jeden ze stu, które zdałem i które muszę jeszcze zdać. Mam przed sobą całe życie.

Z daleka, z ławki, ktoś mu się przygląda.

Białą chusteczką ociera łzę z lewego oka.

XXV

Lojacono postanowił pojechać taksówką. Przy swojej pensji, nędzne tysiąc osiemset euro, minus pieniądze, jakie wysyłał wampirzycy Soni, która zresztą zarabiała lepiej od niego, i minus to, co przeznaczał na skromne przeżycie, nie miał kieszeni pełnych złota, powinien raczej skorzystać z transportu publicznego.

Ale w tym dziwnym mieście wybór autobusu mógł oznaczać godziny spędzone na bezowocnym gapieniu się w horyzont, ryzyko spóźnienia i niebezpieczeństwo pozostawienia Giuffrègo samego w biurze na zbyt długo. Spisał adres z jednego z wielu nekrologów wydrukowanych w gazecie. Docenił dysproporcję: po śmierci chłopaka z dzielnicy San Gaetano zero, po śmierci dziewczyny z via Manzoni ze trzydzieści. Z nich też poznał, ukryte obłudnie pod inicjałami w artykule, pełne imię i nazwisko: Giada De Matteis.

Z nekrologów można się wiele dowiedzieć. Na przykład tego, że jej rodzice byli rozwiedzeni albo od dawna w separacji. Niektórzy autorzy nekrologów „łączyli się w bólu” z matką Martą. Inni „podzielali wstrząs i żałobę” ojca Luigiiego.

Można było się domyśleć, że nekrologi zamawiali również koleżanki i koledzy dziewczyny, raczej zamożni, jeśli zważyć na cenę ogłoszeń. Niejaka Debora zamieściła wręcz długi wiersz o ściętym kwiecie. Niewielu krewnych: wuj z ciotką, babka ze strony matki. Lojacono uśmiechał się smutno, czytając eufemizmy i oględne sformułowania: tragicznie zniknęła, nagły brak, bolesny wypadek. Tak jakby fakt, że głowa znalazła się na trajektorii pocisku, był tylko pechowym zdarzeniem.

Skoro podjechał taksówką, miał czas spokojnie podziwiać widoki. Od kiedy go przenieśli, zajmował się głównie swoimi rozterkami i nie rozglądał się zbyt wiele. Wynajął kawalerkę w jednej ze zrujnowanych kamienic niedaleko komisariatu i kursował tylko pomiędzy biurem, domem i restauracją Letizii. Zadawał sobie pytanie, dlaczego nie chce lepiej poznać tego miasta, do którego zjeżdżali turyści z połowy świata. Odpowiadał sobie, że trudno od kogoś wymagać, żeby pokochał swoje więzienie.

Raz pojechał nad morze, by powdychać jego zapach, poczuć bryzę. Nie było ani zapachu, ani bryzy. Miejski nadbrzeżny bulwar z tysiącem samochodów bezmyślnie zaparkowanych na skale. Ustawiczna, drobna mżawka, szare niebo. Zapach

stęchlizny, białe wielkie głązy udające barierę. Walające się śmiecie, foliowe torby unoszące się na nieruchomej wodzie niczym martwe meduzy.

Uciekł stamtąd, starając się przywołać w myślach obraz swojej dzielnicy Scala dei Turchi, z wapiennymi białymi domami błyszczącymi w słońcu nad wiecznym błękitem przychylnego morza. To nie było nadmorskie miasto. Miasto i morze demonstracyjnie okazywały sobie obojętność, ignorowały się jak dwoje krewnych po strasznej kłótni.

Kiedy taksówka pięła się na wzgórze, wydawało mu się, że wreszcie rozumie, iż to była metafora obejmująca także mieszkańców.

Skuter wślizgnął się ryzykownie, z rykiem, między dwa rzędy samochodów posuwających się powoli w korku, a kobieta za kierownicą małego auta aż podskoczyła, obrzucając zuchwalca wzrokiem pełnym niechęci.

Nienawidzą się, pomyślał Lojaco. Widzą w sobie nawzajem nieprzyjaciół, nie mają wspólnej tożsamości. Czuł wrogość, jakby to był zapach wiszący w powietrzu. Może właśnie z tego powodu nie miał dotąd ochoty łązić i oglądać z bliska licznych cudów, o których tyle słyszał. Lepiej znosić codzienną obojętność kolegów, przechodniów, barmana. Nie potrzebowali go ani on ich.

Po wyglądzie budynków i sklepów wywnioskował, że dojechał do eleganckiej dzielnicy. A w miejscu, gdzie odprawiano pogrzeb, świadczyła o tym także klasa samochodów zaparkowanych byle jak oraz wygląd ludzi zmierzających do nowoczesnego kościoła.

Postanowił wsiąść wcześniej i podejść ostatnie metry piechotą. Patrzył na ludzi ze wzrokiem zawieszonym w pustce. Śmierć kogoś młodego porusza głęboko, jest nienaturalna, budzi uśpione lęki. Zobaczył zapłakanych rodziców tulących swoje dzieci, chcących uchronić je przed losem, który wydawał się zaraźliwy. Pomyślał o Marinelli i miał nadzieję, że w tej akurat chwili, gdziekolwiek jest, jest szczęśliwa.

Kościół był ogromny. Wielką okrągłą salę wypełniało światło wpadające przez wysokie okna i dwa ozdobne witraże. Było pełno ludzi. Przed ołtarzem stały metalowe stojaki, a na nich biała trumna otulona kwiatami, zdjęciami i pluszakami. Podchodzili do niej dziewczyny i chłopcy, składając przedmioty lub dotykając drewna.

Lojaco stanął niedaleko ołtarza, ale nieco z boku, żeby móc lepiej się wszystkiemu przyjrzeć. Wielkie zdjęcie Giady De Matteis, lat czternaście, okrutnie odebranej światu, jak głosił wielki plakat na drzwiach kościoła, oparto o trumnę.

Przez kilka minut policjant i dziewczyna patrzyli na siebie ponad głowami zapłakanych koleżanek i kolegów. Na zdjęciu była nieco skrępowana z powodu tego,

że ją fotografują, rozdrażniona ostrym światłem skierowanym na twarz, a stłumiony uśmiech czekał tylko, żeby się pojawić na ustach. Normalne uczucia normalnej dziewczyny w słoneczny dzień, który miał już się nie powtórzyć. Skośne oczy Lojacocono nie zmieniły swego wyrazu, ręce nie opuściły kieszeni. Ale w tamtej chwili inspektor poczuł, że nienawidzi sławnego już Krokodyla z całego serca.

Absurdalnie, ale może nie tak całkiem, przypomniał mu się dzień, kiedy wybierali z Sonią imię dla córki. Mocno padało, a ich dwupokojowe mieszkanie wydawało się centrum wszechświata. Od razu pogodziła ich piosenka Fabrizia de André o Marinelli. Smutna i piękna historia, którą wyśpiewał bard z Genui, o dziewczynie o miłym imieniu, które przywoływało skojarzenia z gwiazdami i z morzem.

Starął się skupić na tym, co miał przed sobą. Wręcz fizycznie można było wyczuć obecność cierpienia, jak nieznośny odór. To, co robiło wrażenie, to grupa przytłoczonych smutkiem chłopaków i dziewczyn siedzących na ziemi przed pierwszym rzędem ławek. Lojacocono dojrzał w ładnej ciemnowłosej dziewczynie o delikatnych rysach epicentrum smutku. Musiała to być najlepsza przyjaciółka Giady, wszyscy ją obserwowali i na zmianę pocieszali. Przygnębiona rozglądała się rozpaczliwie, szukając kogoś, kto by ją wyrwał z koszmaru.

Jej życie, dobrze o tym wiedział, już nigdy nie będzie takie samo. Przebiegł wzrokiem po zgromadzonych, szukając kogoś, kogo dostrzegł po chwili. Stała sztywno w pierwszym rzędzie, ze starannie uczesanymi włosami, nienaganną ciemną sukienką, przyklejonym do twarzy uśmiechem. Tylko oczy, trochę zbyt szeroko otwarte, ją zdradzały.

Lojacocono w duchu liczył, że nie będzie obecny w chwili, kiedy to znieczulenie uczuciowe matki Giady ustąpi miejsca świadomości. Ale nie było mu to oszczędzone.

Zaczęła się msza, którą odprawiał bardzo młody ksiądz, może nawet jakiś znajomy albo nauczyciel dziewczyny. Jego głos parę razy się załamał, co wzmagało ogólne wzruszenie. Lojacocono wciąż obserwował tłum, oddzielając ciekawskich, mających tylko okolicznościowy poważny wyraz twarzy, od tych, którzy czuli się tam nieswojo, i tych, którzy naprawdę cierpieli.

Ta chwila nadeszła, gdy do mikrofonu zaczęli podchodzić kolejni znajomi i przyjaciele rodziny. Wszyscy przytłoczeni tragedią, jakby zawisła nad nimi noc, która nie zakończy się świtem.

Brunetka była ostatnia. Podeszła chwiejnym krokiem, podtrzymywana przez dwóch młodzieńców. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. W końcu wyszeptała czule:

– Gia', a co będzie ze mną? Kurwa, jak ja teraz będę żyć bez ciebie?

Przekleństwo zawisło w powietrzu. Potem się rozplynęło. Ksiądz przejął mikrofon, by dokończyć obrzędy, kiedy z pierwszego rzędu dobiegł ostry, wyrazisty głos:

– Nie chciała chodzić na te lekcje skrzypiec. Nie chciała. A ja do niej: nie, musisz. Bo jak się nie boisz wracać w sobotę o północy, to nie bój się wracać o dziewiątej we środę. Muszę zapewnić ci wykształcenie. To moja rola. Tak jej powiedziałam. Miałam rację, prawda? Powiedzcie jej to, bardzo was proszę: przecież mama musi zapewnić dziecku wykształcenie, bo jak nie, to co z niej za matka? Powiedzcie jej to. Bo może tego nie rozumie i dalej nie będzie rozumiała, jak sobie odejdzie. Błagam was.

Lojacono widział, jak osoby stojące obok matki Giady odsuwają się z mieszaniną niechęci i lęku, jak przed nieznanym dzikim zwierzęciem. Kobieta rozglądała się z tym swoim sztucznym uśmiechem i wytrzeszczonymi oczyma.

Policjant poczuł, że jeszcze nigdy dotąd nie widział czegoś równie przerażającego. I od razu przypomniał mu się syk wydobywający się z ust matki młodego Lorusa i jego własny koszmar, w którym Marinella pędziła z szaleńczą szybkością ku śmierci.

Zrozumiał z absolutną jasnością, co tak naprawdę robił Krokodyl.

XXVI

Kochana, Kochana moja,

znów się udało. Powiem ci, że dziś wieczorem czuję się naprawdę zmęczony. Położę się i porządnie się wyśpię. Ale wcześniej wszystko Ci opowiem, bo dzień był pełen wrażeń. Po pierwsze, stałem się sławny! Nie, nie ja osobiście, ale to, co zrobiłem. Nie staram się specjalnie ukrywać niczego, wiesz, że chcę zakończyć wszystko jak najszybciej, żeby móc Cię wreszcie znów zobaczyć. Ponieważ znaleźli chusteczki, którymi wycieram to nieszczęsne oko, w jednej z gazet napisano, że obie sprawy to dzieło tej samej ręki, i nazwano mnie Krokodylem. A to z powodu krokodylich łez. Bystrzaki, co? Krokodyl płacze, kiedy zjada swoje dzieci. Ale to, jak dobrze wiesz, nie były moje dzieci. W czym zresztą tkwi niezła ironia.

Krokodyl czy nie krokodyl, musiałem pójść do kościoła. Poprzednim razem, do chłopaka, zleciał się tłumek gapiów, w który mogłem się spokojnie wmieszać, żeby zobaczyć jej twarz. Ale w przypadku dziewczyny to było zbyt niebezpieczne, w parku pojawiło się tylko kilka osób z pobliskich domów i łatwo można byłoby mnie zauważyć. Dlatego załatwiłem sprawę i szybko się wycofałem.

Nie pisałem Ci jeszcze, że mało nie musiałem wszystkiego odłożyć na potem. Nie byłoby problemów, dzień w tę czy we w tę nie ma znaczenia. Ale byłoby to przykre. No więc zawsze za rogiem czai się jakaś nieprzewidziana okoliczność. Chłopak, co wiecznie chodzi ze słuchawkami na uszach, ten z jamnikiem, wyszedł z psem o godzinę wcześniej niż zwykle. Pamiętasz, to była jedna z moich obaw. Nie wiem, z jakiego powodu wyszedł godzinę wcześniej, zaledwie na dziesięć minut przed powrotem dziewczyny z lekcji. A pies, korzystając z okazji, przystanął za drzewkiem, za którym się ukrywałem, i podniósł tylną łapę... Śmieszne, nie? Śmieję się, Kochanie, taka jesteś piękna, gdy się śmiejesz.

Wszystko jednak poszło dobrze, chłopak się oddalił i mogłem dokończyć sprawę. Poszło nawet łatwiej, dziewczyna parę minut grzebała w torbie, bo nie mogła znaleźć kluczy. Mogłem wytrzeć to cholerne oko, żeby lepiej widzieć, wypuścić powietrze z płuc, tak jak robiłem na strzelnicy, i chwycić pistolet oburącz, chociaż dwudziestki dwójki prawie nie mają odrzutu, specjalnie taki wybrałem. Żałowałem tylko, że nie mogę zostać i patrzeć.

Dziś za to poszedłem do kościoła. I miałem swoją małą satysfakcję. To był

ciekawym spektaklu.

Potem się rozejrzałem i kogóż to ja widzę? Policjant z oczyma Chińczyka, pamiętasz, opowiadałem Ci o nim. Był tam. Zaczajony pod filarem. Wpatrywał się bez ruchu dokładnie tam, gdzie powinien. Jest inteligentny, już to zauważyłem.

Ale nie dość, w każdym razie nie dość, żeby mnie zatrzymać.

XXVII

Wróciwszy do biura, Lojacono napotkał podekscytowanego Giuffrègo.

– Nareszcie wróciłeś. Jezu, co za poranek. Muszę ci opowiedzieć mnóstwo rzeczy, wchodź.

Inspektor pokręcił głową. Zaaferowanie kolegi bawiło go. Widać, że przeżywa to wszystko, co się dzieje, jeszcze mocniej niż on.

– Wyluzuj, Giuffrè, bo zawału dostaniesz i będę cię miał na sumieniu. No więc, co zaszło?

– Kiedy cię nie było, zgadnij, kto wpadł do komisariatu? Piras. Właśnie ona, piękna i wkurwiona jak zawsze. I prosto do gabinetu Di Vincenza, weszła bez pukania, opowiadał mi Pontolillo. Zaczęła krzyczeć tak, że słychać ją było piętro niżej. On się tłumaczył, ale ona nie dała mu dojść do głosu.

Lojacono słuchał z zaciekawieniem.

– Czemu ją tak poniosło?

– Chciałbyś wiedzieć, co? Boś nie widział dzisiejszych gazet. Zbrodnie tego całego Krokodyla rozpały wyobraźnię dziennikarzy. Wszyscy snują hipotezy: nowy killer camorry, szaleniec, seks, pedofilia i tak dalej. I wszyscy powtarzają, że policja jak zwykle nic nie robi. W każdym artykule wymieniają Piras z nazwiska. Według mnie od tej sprawy będzie zależeć jej kariera.

Inspektor wzruszył ramionami.

– A co nas obchodzi kariera Piras? Mnie interesuje, jak zamierzają złapać zabójcę, który prawdopodobnie będzie działać dalej.

Giuffrè podrapał się w głowę.

– Nie chodzi o samą Piras, ale o presję, jaką wywiera na Di Vincenza, który potem naciska na nas. Mówi, że od czasu, gdy zabito dziewczynę, ma piekło. Prawie nie wraca do domu ze strachu, że coś się stanie, kiedy go nie będzie w pracy, a ten nieszczęsny Pontolillo biega dookoła niego jak nakręcony. Uruchomili wszystkich informatorów, przeczesują dzielnicę, żeby znaleźć cokolwiek, co mogło łączyć Lorusa z dziewczyną z Posillipo. Według mnie nic ich nie łączy. To są dwa odrębne miasta. Taki chłopak jak Lorusso mógł, co najwyżej, ukraść torebkę De Matteis, to

jedyna sytuacja, kiedy mogli się spotkać.

Lojacono przeglądał gazety leżące na biurku Giuffrègo.

– Pismaki zmasakrują nas, na pewno. Ale to są dość dziwne zbrodnie, powtarzam ci, że camorra nie ma z nimi nic wspólnego. U was camorra to taki wytrych, cokolwiek się stanie, od razu myślicie, że camorra, pośrednio albo bezpośrednio. Znam ten odruch, w moich stronach też tak było. Ale nie można dać się zmylić. Myślę, że te dzieciaki zginęły z innego powodu.

Giuffrè zaczął bujać się na czubkach palców.

– Wiem, masz swoją teorię. Czemu jej nie przedstawiś? Może masz rację, złapiesz cholernego Krokodyla i wyciągniesz nas z tego przytułku. Co to byłoby za cios dla tego skurwiela Di Vincenza!

Lojacono zaprzeczył ruchem głowy.

– Giuffrè, przez ciebie dostaję choroby morskiej nawet na lądzie, chociaż pochodzę z wyspy. Przestań się bujać, proszę. Nie mam żadnej teorii. Pojechałem na pogrzeb dziewczyny, żeby sprawdzić, czy nie pojawił się tam ktoś, kto był również na podwórku w noc zabójstwa Lorusa, ale nikogo takiego nie widziałem. Pojechałem, żeby się czymś zająć, nic więcej. Wiesz, że mam polecenie służbowe, by nie zajmować się dochodzeniami. Chciałem się rozerwać. Pomyśleć o czymś innym.

Starszy sierżant przestał się bujać.

– Nie wykiwasz mnie, Loja'. Jak ktoś chce się rozerwać, to idzie do kina albo na dziwki, a nie na pogrzeb zabitej dziewczyny. Wiem, że obudził się w tobie policjant. Chodzi mi tylko o to, żebyś obiecał, że jeśli znajdziesz zabójcę i cię zrehabilitują, zabierzesz mnie stąd. Już mam dosyć siedzenia w wydziale zgłoszeń, zresztą i tak wciąż słyszę, że dostałem posadę po znajomości, bo byłem kierowcą posła. Jestem psem, Lojacono, znam tu wszystkich, mogę się przydać. Obiecujesz?

Lojacono mimowolnie się roześmiał.

– Mówisz, jakbyśmy byli więźniami na wyspie Montechristo. Dobra, obiecuję, nie mam nic do stracenia. Na pewno to nie my znajdziemy tego Krokodyla. Ale tak dla zabicia czasu możemy śledzić postępy w śledztwie, trzeba mieć o czym gadać.

Giuffrè zaklaskał w dłonie.

– A ja liczę na ciebie, Loja'. Według mnie jesteś o wiele lepszy, podobnie jak ja, o wiele, wiele lepszy, niż uważają te ciule piętro wyżej. Trzeba znaleźć okazję, odpowiednią sytuację, żeby im udowodnić, co jesteśmy warci. Uważasz, że dobrze robią, chesząc dzielnicę w poszukiwaniu informacji?

Lojacono, nie podnosząc wzroku znad gazety, zaprzeczył ruchem głowy.

– Każda informacja może się przydać, a oni na razie nie mogą nic innego zrobić. Ale zobaczysz, że nic z tego nie będzie. Powtarzam ci, jednego jestem naprawdę pewien: w tych zabójstwach nie maczała palców camorra.

W tej właśnie chwili przed drzwiami ich pokoju przechodziła Piras. Stała niczym zamurowana.

XXVIII

Stary człowiek przygląda się chłopakowi.

Przestało mżyć, a to ma swoje dobre i złe strony. Nie zmoknie, na ulicach więcej ludzi. Można się wmieszać w tłum. Tak jest wygodniej, kiedy trzeba obserwować, poznać zwyczaje i czyjeś ruchy. Jednak kiedy nie pada, robi się tłoczno i jest zamieszanie, wzrasta więc prawdopodobieństwo nieprzewidzianych sytuacji.

Ale, myśli sobie, kluczowy jest czas. Jak się ma czas i nie goni się w pośpiechu, wszystko da się zrobić.

Siedząc z otwartą gazetą na ławce obok starszej pani karmiącej gołębie, obserwuje chłopca i myśli o czasie.

Miał dość czasu. Godziny spędzone przed monitorem, w ciemnościach, na poszukiwaniu nazwisk i adresów. Godziny spędzone w garażu przerobionym na warsztat, gdzie szlifował i napełniał watą szklaną rurkę. Godziny na strzelnicy, gdzie oswajał się z bronią i skąd zabrał trochę naboju, żeby nie musieć ich kupować, czym mógłby przyciągnąć czyjąś uwagę. Godziny spędzone na rozmyślaniu o tym, co ma zrobić, na ćwiczeniu każdego gestu, każdego ruchu. Godziny poszukiwań właściwych miejsc, właściwego hotelu.

Ociera oko pod szkłem, które od bladego światła słonecznego pociemniało. Lekarka podczas ostatniej wizyty powiedziała mu, że to zapalenie woreczka żółtego, które przeszło w stan chroniczny. Gdyby pojawiła się ropa, ma zastosować krople. Zapytał: „Czy to mnie może w krótkim czasie pozbawić wzroku?”. Ona się roześmiała i odpowiedziała: „Nie, żadnych obaw, nie znam zresztą nikogo w pana wieku, kto się tak dobrze trzyma jak pan”.

Dbiałem o siebie, myśli stary człowiek. Uważałem. To, co muszę zrobić, wymaga zdrowia. Nie mogłem pozwolić, żeby ciało mnie zawiodło w najważniejszej chwili. Trzymałem formę. Nie byłem taki jak ona, która gasła powoli, aż w końcu umarła.

W sumie, myśli w chwili, kiedy chłopak, oddalony o dwadzieścia metrów, zerka na zegarek, jestem tu też w jej imieniu. Pewnie by chciała tego samego. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, to było zbyt niebezpieczne. Im mniej ludzi wie pewne rzeczy, tym mniejsze ryzyko wycieku informacji.

Oglądałem przed wyjazdem wszystkie te miejsca, miliony razy. Schodziłem

z satelity na wysokość paru metrów. Sprawdzałem nawet rozkład pokoi. Niesamowite, co można zrobić przy pomocy komputera. Miałem czas. Poszukałem odpowiedniego ubrania – wygodnego i neutralnego, które nie zmienia koloru, kiedy się przemoczy. Potem buty, okulary. Bycie niewidzialnym to też sztuka.

Czas był mi potrzebny, żeby się zorganizować, ale nie żeby poczuć determinację.

Ta przyszła w ciągu minuty, dziesięć lat temu.

Ponad brzegiem otwartej gazety, w której pisali o nim, stary widzi nadchodzącą dziewczynę. Przysuwa się nieco bliżej.

XXIX

Piras stała w korytarzu przed drzwiami wydziału zgłoszeń z zaciekawionym wyrazem twarzy i lekko przechyloną głową, jakby chciała się upewnić, czy dobrze słyszała. Jej czarne oczy prześlizgnęły się po Giuffrè, jakby był meblem, i zatrzymały się na inspektorze.

Odwzajemnił spojrzenie. Musiał przyznać, że rzeczywiście to piękna kobieta. Widział ją wreszcie w pełnym świetle, rozpoznał idealne rysy twarzy i miękkie kształty ciała, których garsonka nie była w stanie całkiem zamaskować.

– A pan to kto? Znam pana?

– Nie wydaje mi się. Ja za to znam panią. Spotkaliśmy się w noc zabójstwa Mirka Lorusa. Zdaje się, że mam lepszą pamięć niż pani.

Giuffrè aż westchnął przerażony. Łatwość, z jaką Piras wpadała w szal, była legendarna. Zaraz zmasakruje Lojacono za bezczelną odpowiedź.

Ona tymczasem podeszła bliżej, a na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech.

– Teraz sobie przypominam. To pan zauważył chusteczki, a potem dostał kopa w tyłek.

Lojacono skulił ramiona, ręce wciąż miał w kieszeniach płaszcza.

– To prawda, zaraz nadjechała lepsza ekipa, która od razu ustaliła sprawcę.

Piras krótką chwilę ważyła w myślach odpowiedź. Przytaknęła i dodała:

– Proszę wyjść ze mną, chcę się napić kawy. Zna pan jakieś przyzwoite miejsce w pobliżu?

Zostawili Giuffrègo z rozdziawioną gębą, policjanci mijani w drzwiach robili wielkie oczy. Lojacono zaprowadził ją do baru na tyłach komisariatu. Usiadła bez wahania przy jedynym stoliku w rogu. Rozejrzała się.

– O matko, co za miejsce, nie powiem, że przytulne. Napijmy się kawy.

Lojacono ciągle stał z rękoma w kieszeniach, wbijając w nią skośne oczy.

– Ja podziękuję. Nie chciałbym sobie zepsuć popołudniowej drzemki.

Piras się roześmiała.

– Bardzo proszę, niech pan daruje sobie zabawę w twardziela. Jeśli nie chce pan

kawy, trudno. Ale proszę usiąść. Muszę zadać panu kilka pytań.

Usiadł.

– Co mogę dla pani zrobić? Nie sądzę, żebym miał przydatne informacje.

Prokurator pokręciła głową.

– Nigdy nie wiadomo, skąd nagle wyskoczy przydatna informacja. Proszę przypomnieć mi, jak się pan nazywa?

– Inspektor Giuseppe Lojaco.

– Już pamiętam, Sycyliczyk. Coś chyba czytałam parę miesięcy temu, lubię wiedzieć co nieco o obsadzie komisariatów, z którymi przychodzi mi współpracować. Co to była za historia? Świadek koronny, zdaje się, wymienił pana nazwisko...

Lojaco nagle wstał.

– Jeśli pani pozwoli, muszę już wracać. Nie mogę przeznaczać godzin służbowych na słuchanie bajek, które już znam.

Piras znów się uśmiechnęła, najwyraźniej zadowolona.

– Powoli, powoli, nikt pana nie chce obrażać. Proszę siadać. Nie będę grzebała w pańskim życiu, na litość boską. Każdemu może się zdarzyć coś przykrego, ale na wszystko jest jakaś rada. Czym się pan zajmuje tutaj w San Gaetano?

Lojaco w końcu postanowił dać jej jeszcze jedną szansę i usiadł.

– Pracuję w wydziale zgłoszeń. Ale to tylko przykrywka, w rzeczywistości toczę codziennie bezwzględna walkę z komputerem: gramy w pokera.

– Rozumiem. Racjonalne wykorzystanie zasobów ludzkich. Spożytkować wszystkich jak najlepiej, by nie dać szansy przestępczości.

Lojaco się skulił.

– Nie będę się kopał z koniem. To rodzaj czyśćca, trzeba to wytrzymać. Poza tym wcale mi aż tak bardzo nie zależy na powrocie tam, gdzie byłem.

Wypiła kawę.

– Nie da się ukryć, nawet w najpodlejszych norach w tym mieście kawa jest świetna. Proszę powiedzieć, tak między nami wyspiarzami, jaką ma pan teorię w sprawie tych dwóch zabójstw?

– A skądże miałbym wiedzieć, skąd czerpać dane, siedząc w jakże sprzyjającym temu miejscu, jakim jest wydział zgłoszeń? Musiałbym mieć dostęp do dokumentów, zobaczyć raporty, protokoły przesłuchań. Porozmawiać z szefami odnośnych komisariatów, dowiedzieć się, co ustaliła kryminalistyka...

Prychnęła i zniżyła głos.

– Niech mnie pan łaskawie nie robi w konia. Wiem, że ma pan jakiś pomysł, słyszałam, jak pan rozmawiał z kolegą. Proszę się podzielić.

– Naprawdę nie wiem. To tylko wrażenie, a my nie pracujemy na podstawie wrażeń, tylko opieramy się na faktach. Po prostu nie szukałbym w środowisku camorry. Ale to tylko wrażenie.

Długo mu się przypatrywała. Ten człowiek z dziwnymi migdałowymi oczyma budził jej ciekawość. Wyczuwała w nim siłę, nawet pewne niebezpieczeństwo, ale z pewnością był inteligentny. Rzadko spotykana rzecz, zwłaszcza w tym komisariacie, pomyślała.

– Istotnie, brakuje panu paru informacji, inspektorze Lojacono. Nie może pan ich znać, bo dochodzenie ma najwyższy priorytet i nieliczni mają do niego dostęp. Jestem zobowiązana do milczenia, więc nie powiem panu, że z paru przesłuchań wynika, iż Mirko Lorusso, czyli pierwsza ofiara, był od niedawna na usługach dealera narkotykowego, drobnej płotki w strukturach camorry, o nazwisku Antonio Ruggieri. Tenże Ruggieri zlecał mu rozprowadzanie torebek z koką przy bramie liceum w zamożnej dzielnicy. A przypadkiem było to liceum, do którego chodziła Giada De Matteis, druga ofiara. Ciekawy zbieg okoliczności, nie sądzi pan?

Lojacono obracał w dłoni szklanekę z wodą mineralną.

– Nie wiem, nie mam tych informacji. Ale gdybym je miał, nie poprzestawałbym na tym, co sugerują pozory. Chyba że wypłyną dalsze dowody na kontakty między ofiarami. Nie jest wcale powiedziane, że oba zabójstwa mają coś wspólnego z tym faktem. A poza tym, pani wybaczy, po co mieliby zabijać tę dwójkę, ściągając na siebie tyle uwagi? Przestępczość zorganizowana, dobrze pani o tym wie, przede wszystkim dba, żeby nic nie zaszkodziło jej biznesom. Mogli spokojnie sprzątnąć chłopaka, zostawiając dziewczynę w spokoju, i nikt by się nie zorientował, poza jego matką. Po co robić tyle hałasu?

Piras słuchała uważnie. Potrzęsnęła głową.

– Może młodzi zobaczyli coś, czego nie powinni widzieć? Może chcieli wyrolować dealera? Któż to teraz ustali? Musi pan przyznać, że to powiązanie to jedyne, co mamy.

Inspektor po chwili namysłu odparł:

– Tak, zgadza się. Kiedy pojawia się konkretny trop, trzeba za nim podążyć, nie można iść tylko za wrażeniami, ale wciąż jestem przekonany, że camorra nie ma z tym nic wspólnego.

Piras nie odpuszczała.

– Mamy wszystkie elementy zabójstwa wykonanego przez zawodowca: długa obserwacja i oczekiwanie na ofiarę, starannie wybrany moment i miejsce. Nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał. Prawdopodobnie zastosowano broń z tłumikiem. Jeden strzał z bardzo bliskiej odległości, co kompensowało niedokładność broni kalibru dwadzieścia dwa. Łatwej do przenoszenia i ukrycia.

Słuchał w milczeniu, wreszcie odpowiedział.

– Jasne, ale wie pani równie dobrze jak ja, że to nie jest w stylu tutejszych gangów. Są bardziej aroganccy, lubią robić raban, zwłaszcza kiedy chcą dać komuś nauczkę. A poza tym zabójca zostawił chusteczki i nie zabrał łusek. Nie do końca to takie wszystko profesjonalne. Wciąż nie jestem przekonany.

Westchnęła.

– I komu pan to mówi. Tamci idioci nie potrafią mi w żaden sposób pomóc. Co pan sądzi o Di Vincenzie?

Lojacono się zaśmiał.

– Nie znam go wcale. Widziałem go dwa razy: kiedy przyjechałem i w wieczór pierwszego zabójstwa. Może też minęliśmy się parę razy w drzwiach toalety, ale nawet się ze mną nie przywitał. Nie wydaje mi się jednak całkiem nieogarnięty.

– To prawda, ale nie wie, od czego zacząć. Uczepił się tego wątku camorry, bo nie ma nic lepszego. A drugi komisarz, z Posillipo, wykręca się od roboty. Ten Ruggieri, dealer wysługujący się dzieciakami, to jakaś płotka, przesłuchaliśmy go, ale zaprzecza wszystkiemu. Według mnie naprawdę nic nie wie. A ja nie wiem, od czego zacząć. Gazety, jak pan widział, nas masakrują.

Lojacono przytaknął.

– Tak, widziałem. Niestety, nie przestaną, zanim się nie dowiedzą, że mamy jakiś solidny trop.

Piras wstała.

– Właśnie dlatego zwołamy konferencję prasową i powiemy, że wyjaśniamy kwestię aktywności camorry w rozprowadzaniu narkotyków w szkole dziewczyny. Oczywiście zaraz się podniosą oburzone głosy z wyższych sfer, jakiś płomienny protest. Ale przynajmniej zablokujemy na chwilę dealerkę w tamtej okolicy.

Lojacono zrozumiał, że rozmowa dobiega końca. Trochę żałował, bo kobieta była naprawdę bystra, nie tylko piękna.

– Może to słuszny trop. Tylko jedno może temu zaprzeczyć.

– Co?

Lojacono szedł już do wyjścia. Zatrzymał się.

– Kolejne zabójstwo.

XXX

Siedzi na łóżku, bez ruchu, gapi się w sufit. Myśli, że chciałaby umrzeć. Modli się o to.

Najbardziej absurdalne w tym wszystkim jest to, że czuje się winna. Tak jakby to ona sama postanowiła, jakby ona sama stworzyła sytuację, jakby sama poczęła dziecko i chciała jemu narzucić jak karę, jak wyrok.

Myśli, że może wybrała niewłaściwą chwilę.

Że może lepiej było porozmawiać w łóżku tuż po kochaniu, kiedy wszystko wydaje się takie miękkie, tkliwe i odczuwamy wzajemną wdzięczność za daną sobie rozkosz. Może powinna była mu to wyszeptać w półcieniu, kiedy popołudniowe światło przenika paskami przez przymknięte żaluzje, ozłacając ciała i unosząc myśli ku niebu.

Może nie powinna była iść do niego na uczelnię, gdzie to wszystko się zaczęło. Powinna była obawiać się miejsca, które mogło uwięzić uczucia w kryształach, jak w jakiejś bajce o księciu. Bajki nie istnieją, Eleonora o tym wie. Mama jej to powiedziała jasno, kiedy rozmawiały przed odjazdem: tylko bez marzeń. Bez marzeń. Marzenia cię zabijają, jeśli nie będziesz uważać.

Ale niestety marzyłam, myśli Eleonora. Dałam się wciągnąć w cudze marzenie, byłam w nim biedną księżniczką, którą książe unosi do nieba. Ale przecież nie byłam księżniczką. A on nie był księciem.

Powiedziała mu w chwili, kiedy nagle przez chmury przedarł się promień słońca. Czekala na ten promień, miała nadzieję, że to dobry zwiastun. I nawet wybaczyła mu pierwsze przerażone spojrzenie, tak nim to wstrząsnęło, i tę niekończącą się chwilę ciszy, jaka potem nastąpiła.

Ale słów nie wybaczy. Były jednoznaczne i straszne. Jak wyrok.

– Nie mogę – powiedział. – Nie mogę.

– Co to znaczy? Czego nie możesz? – zapytała.

Kręcił głową, długo, w milczeniu. Potem nagle wstał i wyrzucił z siebie:

– Wybacz, teraz sobie pójdę, muszę pomyśleć.

Rozmawiała z nim wieczorem, o tej samej porze co zwykle. Jeden dzwonek, dwa,

trzy. Potem jego głos, tak inny niż zawsze, zimny, daleki.

– Muszę pomyśleć – powtórzył. – To jest coś, co wykracza poza wszystko, rozumiesz? Nie przewidziałem tego, muszę pomyśleć.

– A ja? Nie rozumiesz, że ja też w tym jestem? Myślisz, że ja nie mam marzeń, planów, perspektyw? Nie było cię ze mną, kiedy to się stało?

Cisza. Cisza po drugiej stronie słuchawki, cisza w sercu, cisza w duszy. A potem:

– Wyobrażasz sobie, co by powiedział mój ojciec? Zdajesz sobie sprawę? Musiałbym, musielibyśmy odejść. A on by tego nie przeżył. No i jeszcze dużo mi brakuje do dyplomu. Musiałbym poszukać pracy, przerwać studia. Jakoś przeżyć, radzić sobie, całe życie. Ja, ty i... ono.

Eleonora myśli, że wszystko jest zdolna mu wybaczyć, tylko nie to, że po raz pierwszy wspomniał o jej dziecku jak o przeszkodzie na swojej drodze do szczęścia. Milczała długi czas. Słyszała jego oddech w słuchawce, wydawał się jej kimś nieznanym.

Potem mu powiedziała:

– Nie chcę cię stracić, nie mogę cię stracić. Powiedz mi, co chcesz zrobić. – I rozłączyła się.

Minął cały dzień. Noc, ranek, popołudnie, wieczór. I znów noc teraz. Eleonora nic nie jadła, nie wychodziła, nie wstała z łóżka, nie pamięta, że spała, ale miała sny.

Śniła śmierć. Widziała siebie leżącą na łóżku pośrodku pokoju. Widziała matkę, jak się krząta – bladą, ale bez łez. Jej ojca, zrozpaczonego, złamanego cierpieniem. Koledzy z uczelni podchodzili jeden po drugim, mieli głupie wyrazy twarzy, żalowali straconej okazji, nie starczyło im czasu.

Nawet jego ojciec, ciągle nieznanemu, surowy, skupiony, na twarzy cień skrupułów, niejasne poczucie winy.

Ale jego nie było. We śnie się nie zjawiał.

Eleonora zastanawia się, czy kiedyś go jeszcze zobaczy.

A telefon dzwoni.

XXXI

Obserwowała go cały wieczór. Zamyślony, ze wzrokiem utkwionym gdzieś przed siebie. Pił kieliszek za kieliszkiem. Nie mogła się doczekać, aż sala opustoszeje, wtedy zostawi chłopaka, niech sam obsługuje ostatnich gości, a ona usiądzie przy nim.

Od dawna go takim nie widziała. Przypominał sobie z czasów tuż po tym, jak się sprowadził do miasta. Zagubiony, dezorientowany, cierpiący. Powoli, od słowa do słowa, od uśmiechu do uśmiechu otwierał się i dał się trochę poznać. Wyszła z niego łagodna, ironiczna natura. Oraz mnóstwo odłamków wspomnień dawnego życia. Letizia czuła, że Peppuccio – tylko ona tak go nazywała – wychodził powoli z samotności. Choć z trudem, z oporami, powoli zaczynał się rozglądać dookoła, jak ktoś, kto się otrząsa po strasznej stracie. W sumie zostawił za sobą nie tylko miłość, małżeństwo, ale i całe życie. No i córkę, z którą był związany w sposób nierozwalny.

Znała mężczyzn pozbawionych instynktu rodzicielskiego, którzy po rozstaniu traktowali dzieci tylko jako ciężar finansowy. Ale on taki nie był. Milczenie córki i bariera postawiona przez żonę głęboko go raniły. Tym bardziej że czuł się niezdolny do przełamania widocznego pragnienia Marinelli, by go wyrzucić ze swojego życia.

Podobał jej się ten facet. Zrozumiała, że musi być szczerą sama ze sobą. A fakt, że jego związek z przeszłością był największą przeszkodą w budowaniu nowej teraźniejszości, wzruszał Letizję i w jakiś dziwny sposób jeszcze bardziej przyciągał ją do niego.

W ostatnich miesiącach wieczór po wieczorze widziała, jak jego cierpienie powoli rozmywa się, staje się tylko dalekim posmakiem chwil, atmosferą jego duszy. Zdarzały się nagle napady melancholii, ale coraz rzadziej. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Coraz częściej na jego twarzy gościł uśmiech, dowcipkował na jej temat i na temat miasta, komplementował jedzenie. Peppuccio odtajał, myślała z radością.

Dziś wieczorem jednak ból i smutek powróciły, gęste jak zimowa mgła, szukając ujścia w kieliszku.

Kiedy mogła wreszcie zrobić sobie przerwę, podeszła do niego.

– Bijesz rekord picia czerwonego wina w jeden wieczór? Makaron ledwo tknąłeś. Chcesz nowy talerz? Co jest nie tak?

Podniósł na nią wzrok.

– Nie, nie, po prostu dziś nie jestem głodny.

Usiadła, wycierając ręce w fartuch, i udała, że się śmieje. Nauczyła się już, że zadawanie mu pytań do niczego nie prowadzi. Jeśli będzie chciał, sam powie.

– To zły znak. Czyżbyś się zakochał?

Lojacono milczał, obracając kieliszek w dłoni. Potem wreszcie przemówił.

– Wiesz, kiedy zginął tamten chłopak, gdy przyszło wezwanie, spałem. Zasnąłem na łóżku polowym, które się rozstawia na nocnym dyżurze. Rzadko śnię o Marinelli, chociaż ciągle o niej myślę. A tamtej nocy, właśnie wtedy, śniła mi się.

Letizia słuchała w skupieniu.

– Co ci się śniło? Jaka była?

– Taka jak ostatnim razem, gdy ją widziałem, kiedy odjeżdżałem, a ona nawet nie chciała mnie objąć. Była w jakiejś dyskotecie najpierw, a potem... No w każdym razie źle się kończyło, nie chcę tego sobie przypominać. I właśnie wtedy, kiedy samochód, którym jechała... Usłyszałem telefon i się obudziłem. Wciąż mam ten ciężar w piersiach.

– Rozumiem. Ale nie myśl o tym, to był zły sen i tyle. Wiesz, tutaj się mówi, że jak śnisz czyjąś śmierć, to mu to przedłuża życie.

Lojacono uśmiechnął się krzywo.

– Wiem. Wiem, że sen to tylko sen. Ale potem widziałem twarz matki tego zabitego chłopaka, obok niej stała inna kobieta, być może krewna, która ją podtrzymywała. Matka nic nie mówiła, ale twarz miała wykrzywioną rozpaczą.

Letizję przebiegł dreszcz.

– Mogę sobie wyobrazić, biedna Luisa. Miała tylko tego syna. Słyszałam, że od tamtej chwili nie wychodzi z domu, nawet na zakupy, sąsiedzi przynoszą jej czasami coś do jedzenia. Nie mam odwagi iść jej odwiedzić. Może któregoś dnia spróbuję.

– Rozumiem cię. Takie cierpienie jest nie do zniesienia, nawet jak oglądasz je z boku. Wyglądała, jakby krzyczała, ale nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. A raczej wydawała coś w rodzaju syku. Nie potrafię tego zapomnieć. A przecież widziałem sporo trupów. I krewnych ofiar, jak najbardziej. Ale czegoś takiego nigdy.

– Słuchaj, Peppu', wydaje mi się, że za bardzo się przejmujesz. Ten chłopak czy

tamta dziewczyna nie są twoimi dziećmi. To jest złe miasto. Takie rzeczy tutaj mamy na porządku dziennym.

Lojacono błędnym wzrokiem gdzieś ponad jej głową.

– Potem poszedłem na pogrzeb dziewczyny. Nie wiem po co... Chciałem zrozumieć. Pełno kolegów i koleżanek ze szkoły, straszne. No i matka. Matka w pewnej chwili odezwała się bardzo głośno, jak gdyby nigdy nic. I mówiła... wygadywała dziwne rzeczy. Jakby oszalała. Byłem na wprost niej i widziałem te oczy. Wydawało mi się, że zaglądam do piekła.

Letizia postanowiła położyć kres tej męce. Wzięła go za rękę.

– Posłuchaj mnie teraz. Nie podoba mi się cała ta historia. Bierzesz na siebie ciężar, który nie należy do ciebie. W twojej sytuacji nie możesz sobie na to pozwolić, bo zwariujesz i naprawdę nie pozwolą ci się zbliżyć do córki. Oba zabójstwa są straszne, wynaturzone, przerażające. Ale nie wiadomo, kto i dlaczego to zrobił. Pieniądze, narkotyki, szantaże, to miasto ma wiele twarzy. Ty nie masz z tym nic wspólnego, ani twoja córka. A siedząc tu i niszcząc sobie wątrobę, niczego nie rozwiążesz.

Lojacono spojrzał na nią uważnie. W jego oczach pojawił się błysk.

– Nawet nie wiesz. Nazwali go Krokodylem z powodu tych łez, ale to bzdura. Jest krokodylem, owszem, ale z powodu metody. Wiesz, jak polują krokodyle? Nie mogą pływać szybko, mają krótkie łapy i nie ścigają ofiar. A jednak należą do najstarszych zwierząt, ewolucja praktycznie ich nie zmieniła, a wiesz dlaczego? Bo są doskonałe. Krokodyl to doskonała maszyna do zabijania.

Pokręciła głową.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi z tym krokodylem? To jakiś wymysł dziennikarzy.

– Tak, ale dziennikarze przypadkiem mieli rację. Krokodyl wybiera sobie miejsce na bagnie, w mętnej wodzie. Wybiera je bardzo długo i starannie. Kryje się tam, gdzie wie, że ofiara prędzej czy później przyjdzie się napić. Chowa się tuż pod powierzchnią wody, co jakiś czas tylko wystawia nozdrza, żeby zaczerpnąć powietrza. I czeka. Czeka.

Letizia wstrzymała oddech. Lojacono mówił cicho, prawie szeptem.

– Wreszcie ofiara nadchodzi. Węszy, rozgląda się. Instykt podpowiada jej, że jest niebezpiecznie, ale musi się w końcu napić. W tym konkretnym miejscu nie widzi zagrożenia. Pochyla głowę ku wodzie.

Cisza. Ktoś roześmiał się przy stoliku obok i reszta jego towarzystwa

zawtórowała mu gromkim śmiechem.

Lojacono kontynuował.

– W ten sposób poluje. To metoda krokodyla. Morderca zna ruchy, zwyczaje, rytm dnia. Wie, dokąd chodzi dany chłopak czy dziewczyna, z kim i gdzie się spotyka. I kiedy już ma ją lub jego na muszce, strzela. Jeden strzał z małego, lekkiego, niedokładnego pistoletu. Ale nie ma takiej możliwości, żeby spudłował. Bo wszystko posprawdzał. Przygotowywał się, Bóg wie jak długo. I tak jak krokodyl, ma zimną krew.

Letizia po raz pierwszy rozumiała, jakie piekło w duszy miał jej przyjaciel. I że był na wskroś policjantem.

– Mówiłeś już komuś to wszystko? Rozmawiałeś o tym z kimś?

– Nie. Mówiłem tylko tej młodej prokurator, że według mnie to nie jest robota camorry. Ale to, co ci opowiadam, to tylko wrażenia, odczucia, idee. Nie pracuje się z wytworami wyobraźni, tylko z faktami. Co ja mam im powiedzieć: śniła mi się córka i widziałem twarze dwóch matek, wnioskuję, że zabójca nie był z camorry?

Letizia się namyśliła. Za oknem motocykl rozdarł wieczorną ciszę.

– Według mnie powinieneś o tym z kimś porozmawiać. Może z tą prokurator, która, o ile rozumiem, jako jedyna cię słucha.

Lojacono pokręcił głową.

– Daj spokój, oni myślą, że jestem łapownikiem. Nieudacznikiem, który dorabiał do pensji, biorąc kasę od drugorzędnego mafiosa w zamian za parę nieistotnych informacji. Oni dysponują wszystkimi danymi, protokołami, zapisami oględzin. A ja mam tylko swój sen.

– Więc nie myśl o tym, niech oni się tym zajmą, skoro są tacy dobrzy. Może chodzi o zazdrość, jakąś zakochaną dziewczynę. Może mieli się ku sobie, nie wiadomo. Może masz rację, że nie chodzi o camorrę, może chodzi o miłość.

Długo milczał, namyślając się. Potem odpowiedział:

– Może. W takich przypadkach prawda wychodzi na jaw prędzej czy później. W trakcie innego śledztwa albo czasami zabójca sam się odsłania. Ale nie wierzę w to. Ktoś, kto jest zdolny tak dobrze przygotować dwa zabójstwa jedno po drugim, nie działa pod wpływem impulsu. To ktoś, kto wszystko dobrze przemyślał. Sprawdzał miejsca mnóstwo razy. Robił wizje lokalne, badał teren, wszystko analizował.

Zaśmiała się nerwowo.

– Naprawdę? Chodził sobie wte i wewte na przykład po podwórku, na którym

zabił syna Luisy? Albo czatował na widoku pod domem tamtej dziewczyny? Czytałam, że zginęła przy własnej bramie sporo cofniętej od ulicy. I według ciebie nikt nie zauważył faceta z pistoletem w miejscach, gdzie nie kręcą się obcy ludzie?

Lojacono przeciągnął dłonią po włosach.

– Mieszkasz w tym mieście, pracujesz tutaj, urodziłaś się, znasz wszystkich w dzielnicy. A ja tu jestem od niedawna. Niecały rok. I powiem ci, że bardzo łatwo być tu niewidzialnym. Wszyscy boicie się wdepnąć w jakieś bagno, który was nie dotyczy, więc każdy pilnuje własnego nosa. Macie pewnie rację. Ale miasto jest pełne duchów, które poruszają się nieniepokozone między wami.

Zaśmiała się.

– Weź, bo mnie wystraszysz. Zobaczysz, że złapią tego twojego ducha i znów będziesz spał spokojnie.

– Miejmy nadzieję. Bo coś mi mówi, że Krokodyl jeszcze nie zakończył polowania.

XXXII

Donato zebrał się na odwagę i zadzwonił do niej. Mówił, słuchał. Szukał odbicia swoich marzeń, pragnień, fantazji w jej duszy i odnalazł je, nienaruszone po burzy.

Jasne, lepiej by było, gdyby tak się nie stało, ale na wszystko jest jakaś rada, jeśli się jest razem, jeśli się kocha. Jeśli pod koniec dnia, choćby był trudny, na twarzy pojawia się uśmiech.

Najpierw rozmawiał z ojcem, to było najtrudniejsze. Opowiedział o egzaminie, nie o niej. Nie z tchórzostwa, tylko dlatego że uważa, że o niej powinien mówić tylko przy niej. Że o przyszłości powinien rozmawiać tylko przy niej. Ufa, że ojciec, zawsze taki rzeczowy i opanowany, rozplynie się, kiedy zobaczy jej oczy i uśmiech. Donato sądzi, że nie ma w przyrodzie bytu odpornego na ten uśmiech.

Sam się teraz uśmiecha na myśl o jej zmartwieniu. Jest napięta, nerwowa, poruszona. Boi się tego spotkania, ale Donato wie, że to próżne lęki. Sam się zbyt przejmował z powodu nieudanego egzaminu. Ojciec przytomnie zauważył, że profesor, jego dobry kolega, na jego własną prośbę starał się, by ocena była jak najwyższa, i że dlatego go odesłał, by mógł się lepiej przygotować.

Oczekiwał reprimendy, wybuchu lodowatej złości, a następnie długiej ciszy, takiej samej jak wtedy, kiedy w dzieciństwie robił coś niewłaściwego. Tymczasem ojciec zareagował spokojnie i ze zrozumieniem. Był naprawdę wyjątkowym człowiekiem. No więc Donato zdobył się na odwagę i korzystając z dobrego nastroju, powiedział mu o niej. Nie wszystko, żeby nie wpływać na jego osąd, który zresztą na pewno byłby pozytywny. Ale to, co istotne, powiedział. I wyrwał ojcu obietnicę kolacji.

Donato wie, że wszystko idzie dobrze i że pójdzie dobrze. Spotkało go nieszczęście i stracił mamę, kiedy był mały, ale wie też, że ma szczęście, mając takiego ojca. I los odpłacił mu za tamtą stratę, bo spotkał najcudowniejszą kobietę na świecie.

Egzaminy przychodzą i odchodzą, mówi sobie Donato, schodząc do garażu po samochód, którym pojedzie do niej. Można do każdego podejść jeszcze raz. Życie zawsze daje jakąś drugą możliwość. Od jutra znów zaczyna się ostra nauka i nie będzie się spotykał z nikim.

Bo mam przed sobą całe życie, mówi sobie, i z pewnością paręset nudnych stron
mnie nie zatrzyma.

Całe życie, myśli Donato. I szuka pilota do bramy garażowej.

XXXIII

Zrozumiała, że już nie da rady więcej przeczytać. Kleją jej się oczy. Postanowiła zgasić światło i zasnąć. Noc na zewnątrz wreszcie przycichła, co oznaczało, że jest po drugiej. Zapomniała już, kiedy przestała zasypiać we wczesnej fazie nocy. To musiało być w innym życiu. Przebiegała myślami po swojej przeszłości, bez trudu dzieląc czas na przed i po.

Laura Piras była wesołą i bystrą dziewczyną. Lubiała się śmiać, czytać, uczyć się, uprawiać sport i tańczyć. Wszystko lubiała. Żyła pełną piersią, każda rzecz ją przyciągała i budziła ekscytację jak u dziecka. A cała ta ekscytacja miała konkretne imię: Carlo.

Spotkała go jeszcze w gimnazjum w Cagliari. Chudy, kościsty, całą zimę w tym samym golfie, z wiecznie zmierzwionymi włosami, które za każdym razem próbowała przygładzić. Carlo i jego namiętne zaangażowanie polityczne. Carlo i jego upór, by grać w piłkę, chociaż nie miał talentu. Potrafił za to ją rozśmieszyć, nawet na pogrzebie. Kochał ją od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, aż do chwili, kiedy zamknął oczy.

W ciemności, szukając snu, który by ją ukoił, Laura znów zaczęła wspominać swoją drogę u boku Carla.

Byli nierozłączni. Zawsze razem: uczyli się razem, uprawiali politykę razem, chodzili do kina, kochali się. Wszyscy w mieście się do nich przyzwyczaili, do tej kształtnej dziewczyny i chudziaka w okularach. Uśmiechnęła się na wspomnienie, jak chcieli zmienić świat, zaczynając od ich wyspy. Zdała sobie sprawę, jak bardzo fakt dorastania na wyspie czyni kogoś innym i determinuje resztę życia. Na wspomnienie o wyspie na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech. I znów miała przed oczyma Carla. Dostał maksimum punktów na maturze i tak jak ona wybrał prawo. Konkretniejsze od filozofii, mniej zawiłe od architektury.

A potem dyplom z wyróżnieniem i konkurs na aplikację prokuratorską. Ona się spóźniła nieco z powodu choroby ojca, który umierał na raka. On był za to bardzo zmieszany, kiedy komunikował jej, że w wieku dwudziestu czterech lat został prokuratorem. Uśmieła się jak zawsze i powiedziała mu: „Wiesz, że cię doścignę i prześcignę”. „Wiem, zawsze wygrywasz, nawet w bilard”.

Wspólnie przeglądali możliwe miejsca zatrudnienia, oboje odrzucili Lombardię,

którą akurat wkrótce potem wylosował. W pierwszym okresie dziwnie się czuła, kiedy musiała mu opowiadać przez telefon o słońcu, kiedy uczyła się sama i nie znajdowała go obok, gdy odwracała się, by coś skomentować. Ale na szczęście były weekendy. Na lotnisku wracała jej wesołość, kiedy widziała, jak się zjawia, wysoki, z bujną czupryną. Jak oni mogą cię traktować poważnie tam na północy, z tymi włosami? A on odpowiadał: A co jest nie tak z moimi włosami?

Nawet wtedy niejeden próbował ją podrywać; Laura była piękna, zawsze dumnie nosiła w sobie ogromny ładunek kobiecości. Ale mając kogoś takiego jak Carlo, nie potrzebowała nikogo innego.

To się stało w drodze na lotnisko Malpensa pod Mediolanem. Kto wie, może nagły atak senności, może jeszcze nie zdołał się przyzwycząić do wiecznej mgły? Może coś go rozproszyło? Faktem jest, że w piątek rano jeszcze był, dzwonił w pośpiechu, żeby potwierdzić przyjazd, a wieczorem bardzo zmieszany policjant z lotniska w Cagliari podszedł do niej, żeby powiedzieć, że Carlo nie wysiądzie z samolotu. Nigdy więcej.

W ciszy nocy, przełamanej tylko odległą syreną, starała się przypomnieć sobie cierpienie. Czuła się jak po amputacji – czujesz jeszcze fantomowo kończynę, której już nie ma, której ciało nie usunęło jeszcze ze swojej pamięci.

Laura się zmieniła. Uczyła się jeszcze intensywniej, wygrała konkurs i wyjechała z Sardynii, pragnąc, by morze już na zawsze oddzieliło ją od tamtej dziwnej pary młodych ludzi. Nie chciała nikogo widywać, ani krewnych, ani znajomych. Dzwoniła na krótko do matki, żeby dowiedzieć się o jej zdrowie, robiła to z poczucia obowiązku, i rozłączała się z ulgą, wolna aż do następnego weekendu.

Zgodziła się na przydział placówki trudnej i niebezpiecznej, której nikt normalny nie chciał. Mogła ją zamienić, pojechać w spokojniejsze miejsce, gdzie szybciej rozwinęłaby się jej kariera, ale zdecydowała inaczej. Chciała pracować, zanurzyć się całkowicie w marzeniu, jakie mieli tamci młodzi ludzie – ona i Carlo. Zmieniać świat, zaczynając od dołu. Wiedziała, że szorstkość, jaką okazywała wszystkim, jej cięte riposty odbierane były jako oznaka wywyższania się. Typowa kobieta na stanowisku, młoda i ładna, która udaje ostrą i nieprzystępną, żeby narzucić swoją władzę. Ale wcale tak nie było. Ostre słowa były jedynie wyrazem mroku, jaki zapanował w jej sercu w chwili, kiedy policjant na tamtym lotnisku, miętosząc czapkę w dłoni, oznajmił jej, że została na świecie sama.

Nie chciała już nikogo obok siebie. Już dość. Nie dlatego, że była wierna wspomnieniom, ale dlatego, że wydawało się jej niemożliwe, by mogła otworzyć się przed kimś w pełni, bo i tak nigdy by jej nie poznał tak, jak znał ją Carlo. Pokusy cielesne pojawiały się zaskakująco rzadko i zaspokajała je samotnie, co pozostawiało

w niej jeszcze większą melancholię. Czasami myślała, że się niepostrzeżenie starzeje. Uważała, że jest sztywna, oschła, brzydka, nie mogła zrozumieć, na czym polega jej urok, który tak oczarowuje napotkanych mężczyzn, zresztą odtrącanych przez nią bez wyjątku.

Noc płynęła dalej, sen powoli ją otulał jak mroczna mgła. Te zabójstwa, dwoje zabitych, jeszcze dzieciaki. Prasa i ten przekłety Krokodyl. Same zabójstwa nie zakłócały jej spokoju, ale pośpiech wymuszony zainteresowaniem mediów. Pośpiech, o czym dobrze wiedziała, prowadzi do głupot i błędów.

Może rację miał ten Sycylijczyk, Lojacono, że camorra to zły trop.

Lojacono. Przystojniak. Poczula na sobie jego wzrok, ale nie dała mu tego poznać, nawet wtedy, gdy pod wpływem nagłego impulsu zaprosiła go na kawę. Wydawał jej się inny niż wszyscy. Był inteligentny, z pewnością. Wykazał to już pierwszego wieczoru, zauważając chusteczki.

A jego rozumowanie, które przedstawił w barze, było spójne. Przypomniała sobie jego akta, zajrzała do nich po powrocie do biura. Paskudna historia, świadek koronny, któremu rozsznurowały się usta. Może tylko po to, by pozbyć się dobrego gliniarza. Przebiegł ją nagły dreszcz, podciągnęła na siebie prześcieradło. Tam gdzieś po mieście krążył Krokodyl. Zapewne jest sam i być może jeszcze ciągle odczuwa głód. I był też sycylijski policjant, który, jak widziała oczyma wyobraźni, jest równie samotny jak ona. Tylu ludzi chodzi samotnych po tym mieście pełnym zgiełku, pomyślała Laura Piras. Wreszcie zasnęła.

XXXIV

Kochana moja, niedługo będę.

Jak zwykle wszystko przygotowałem i byłem przygotowany na wszystko. Także na to, że akcja zakończy się niepowodzeniem.

Bo to jest klucz, Kochana moja. Nie spieszyć się. Nie narażać planu gorączkowym uporem, by doprowadzić wszystko do końca za wszelką cenę. Trzeba pozwolić sytuacji dopasować się do planu. Odczekać tyle, ile trzeba.

Te minione dziesięć lat to właśnie planowanie dzień po dniu: w głowie, na papierze, w komputerze, na strzelnicy, w garażu. Krok po kroku. Nie przygotowałem planu A, planu B i planu C. Opracowałem tylko jeden plan. Muszę zaczekać, aż wszystkie klocki będą na swoim miejscu, zanim się ruszę.

Krążę po mieście, by zrobić to, co mam do wykonania. Obserwuję z ukrycia, nie patrząc nigdy nikomu w oczy, poruszając się blisko ścian. A wszyscy ci ludzie, którzy pędzą, którzy klną, słuchają muzyki przez słuchawki i żują gumę ze zgaszonym wzrokiem, wszyscy ci ludzie są moją zasłoną. Są jak ruchoma ściana, za którą mogę się schować.

Myślę o Tobie, Kochana moja, i o czasie, który spędziłaś tutaj sama. Beze mnie. Myślę o Twoim cierpieniu. Już niedługo, naprawdę niedługo, wiesz o tym.

Tym razem będzie jeszcze prościej, tym razem nie ma ryzyka, że przejdzie ktoś z psem. Ciągle śmiać mi się chce, wiesz, że znalazłem ślady sików tamtego jamnika na nogawce?

Pisanie sprawia, że czuję Twoją obecność. Ciekawe, czy to lubisz? Grzeję sobie serce rozmową z Tobą, choć nie słyszę Twoich odpowiedzi. Ale niedługo siądziemy naprzeciwko siebie i będziemy rozmawiać do woli, opowiadać sobie wszystko, aż zaschnie nam w gardłach. Czasami słyszę Twój śmiech. Często mi się to zdarzało w tych latach. Chroniłem się w nim, żeby nie słyszeć jej jęków.

Zastanawiałem się nad tym, co czuję. Długo się szykowałem i o tym myślałem, o każdym szczególe, o każdej praktycznej sprawie, ale nigdy nie zastanawiałem się, co wtedy poczuję. Jakie emocje we mnie będą. A teraz chyba już znam odpowiedź.

Nie czuję niczego.

Kocham Cię, moja najdroższa i najśłodsza, i to jest jedyne, co czuję. Nie czuję

radości ani bólu. Widzę, jak umierają, widzę jak upadają. Widzę, jak gaśnie ich życie. I nic nie czuję.

Upewniam się, że wszystko dzieje się tak, jak chciałem, więc stoję i patrzę. Widzę, jak śmierć przechodzi z jednego trupa na drugiego. Widzę, jak na twarzach pojawia się grymas, który jest zwiastunem piekła na ziemi. Tego chciałem. Ale nie czuję satysfakcji ani cienia skruchy. Niczego nie czuję.

Czuję tylko bezbrzeżną miłość do Ciebie.

XXXV

Świt deszczowego dnia. Gdy mocno pada, właściwie nie widzisz, kiedy nadchodzi. Po prostu nagle jest, wisi nad tobą, gdy akurat myślałeś o czymś zupełnie innym.

Czujesz go w powietrzu, zauważasz, jak noc się cofa, przestaje przenikać strugi deszczu. I nagle zjawia się blade światło, szkliste i śliskie jak mokre jedwabne prześcieradło.

Świt wstaje powoli, jak choroba. Opiera się na szarych drzewach, wydobywa strugi łez na ścianach, sprawia, że błyszczące kamienie brukowe lekko matowieją. Świt deszczowego dnia przytłacza i wzmacnia jeszcze cierpienia tych, którzy wciąż nie usnęli.

Zakochana dziewczyna już tysiąc razy patrzyła na zegarek, tysiąc razy wybierała numer telefonu, aż w końcu poddała się przed oczywistością, że abonent był niedostępny, i zasnęła w ubraniu na fotelu. Świt przypląwa wraz z deszczem i głaszcze ją przez okno, nie budząc ze snu.

Pewien ojciec budzi się i idąc do łazienki, zauważa nietknięte łóżko w pokoju obok. Ogarnia go przestraszony i patrzy na mokry świt za oknem. Widzi otwartą bramę do garażu. Schodzi po schodach w piżamie, idzie na zewnątrz, nie czując zimna i deszczu. Wchodzi do garażu.

Krzyk rozdziera powietrze.

Mokry świt spowija ciszę, która zaraz powraca. Jak zimny całun.

Lojaco nie mógł nie zauważyć, że coś musiało się stać. W zaułku przed wejściem do komisariatu stały dwa wozy transmisyjne z wielkimi antenami na dachu należące do dwóch głównych sieci telewizyjnych. Pojazdy blokowały i tak już wąskie przejście. Policjant w mundurze kłócił się zawzięcie, ale bez powodzenia z kierowcami.

Na dziedzińcu było jeszcze gorzej. Zgraja dziennikarzy z mikrofonami przepychała się przy wejściu zagrodzonym przez dwóch policjantów, którzy usiłowali zachować obojętność i patrzyli gdzieś w dal. Musiał przyciągnąć uwagę jednego z nich, żeby go przepuścili. Jakaś reporterka, kiedy zorientowała się, że jest policjantem, usiłowała go złapać za rękaw, ale się wykręcił. W środku panował

względny spokój. Giuffrè bujał się na czubkach palców podenerwowany.

– Co się do jasnej cholery dzieje? Co to za burdel?

– No tak, zapomniałem, jako troglodyta nie masz ani radia, ani telewizora. Jak dajesz radę zasypiać w takiej ciszy? Ja bym oszalał.

– A kto mówi, że w ogóle śpię? Powiesz mi, co się dzieje?

Starszy sierżant nabrał powietrza w płuca i zaczął:

– Pierwsza wiadomość w telewizyjnych dziennikach. Kraj dowiedział się o naszym istnieniu. Krokodyl znów uderzył. Student z dzielnicy Vomero. Tym razem w garażu jego domu, reszta okoliczności taka sama. To się stało zapewne wczoraj wieczorem, o świcie znalazł go ojciec, lekarz znany w całym mieście, chyba ginekolog.

Lojacono opadł na krzesło.

– Są pewni, że... nie ma wątpliwości? To on?

Giuffrè ponuro przytaknął.

– Jasne, że on. Chyba że ma już jakiegoś naśladowcę, dziś wystarczy trafić na pierwsze strony gazet i ktoś natychmiast zaczyna cię małpować. Ale wszystko się zgadza: chusteczki, łuska kalibru dwadzieścia dwa, strzał w głowę z bliskiej odległości. Odczekał, aż chłopak siądzie za kierownicą, i strzelił, zanim ten zamknął drzwi. To on.

Inspektor gapił się przed siebie.

– Kolejny. Trzeci. Co wiadomo o chłopaku?

– Niewiele ci pomogę, wiem tyle co z telewizji, gazety jeszcze nie zdążyły o tym pisać. Nazywał się Donato Rinaldi, miał niecałe dwadzieścia trzy lata i studiował medycynę. Dobrze się uczył, mieszkał tylko z ojcem, który jest wdowcem i nie ma innych dzieci. Ojciec to jeden z najbardziej wziętych ginekologów w całym mieście, ma mnóstwo pieniędzy, pokazywali ich willę. Mieszkali tam a nie na Posillipo tak jak inni bogaci ludzie, bo dzięki temu ojciec miał blisko do szpitala, gdzie jest ordynatorem. Nic więcej nie wiem.

– Nie rozumiem, skoro to się stało w Vomero, to dlaczego dziennikarze są tutaj?

Giuffrè uśmiechnął się chytrze.

– Bo na nas trafiło jako pierwszych, więc mieliśmy najwięcej czasu na śledztwo, choć i tak gównie wiemy. No więc jesteśmy najbardziej winni, kumasz? Czekają na Di Vincenza, żeby go rozszarpać.

– A on o tym wie?

– No pewnie, że wie. Zabarykadował się tutaj o siódmej rano, nie pozwala nawet łączyć rozmów. Pontolillo mówił, że Piras dzwoniła już trzy razy. Ale nie oddzwonił i wyłączył komórkę.

Lojacono pokręcił głową.

– Samotny rodzic. Wdowiec. Matka Lorusa sama wychowywała syna, nie wiadomo, kto był ojcem chłopaka. Matka De Matteis jest rozwódką, ojca nie było nawet na pogrzebie, słyszałem, jak ktoś mówił, że nie zdążył na czas złapać samolotu z Ameryki. I wszyscy byli jedynakami.

Giuffrè gapił się w niego, oczyma powiększonymi przez grube szkła, jak zaczarowany.

– No popatrzcie, wielkiemu policjantowi główka zaczęła pracować. Myśl dalej, wiem, że jesteście naszą jedyną nadzieją, żeby nas stąd wyrwać.

– Daruj sobie. Rozumiem mniej od innych, po prostu łączę fakty.

W tej chwili obok ich pokoju przeszedł komisarz Di Vincenzo, zmierzając prosto do wyjścia. Błady, kroczył sztywno, patrząc prosto przed siebie.

Chwilę później sfera dziennikarzy wydała z siebie ryk.

XXXVI

Już wie, że więcej go nie zobaczy. Jej lęki zamieniły się w pewność.

Eleonora wstaje z łóżka zdrętwiała. Czuje się wypłukana z resztek energii. Walczy z nagłym zawrotem głowy i atakiem nudności.

Opiera się o ścianę, bierze głęboki wdech. Kiedy myje twarz lodowatą wodą, doznaje dziwnego uczucia: widzi się z zewnątrz. Właśnie tam, w łazience mieszkania, w którym żyje, jakby oglądała film, a ona była jedynym widzem. Patrzy na tę bladą, rozczochraną kobietę w pomiętym ubraniu, z makijażem rozmazanym przez łzy. Mogłaby być w dowolnym wieku, pochodzić z dowolnego stanu społecznego. Ucieleśnienie samotności i bólu.

Sama. Jest teraz sama. I wystraszona. Przeraza ją myśl, że musi się zmierzyć z wrogim światem. Będzie musiała sama decydować i wytrwać w tej decyzji. Nie będzie mogła liczyć na nikogo, kto zna jej sytuację.

Zdarza się to pierwszy raz w jej życiu. Zawsze ktoś się o nią troszczył, wskazywał właściwą drogę. Czasami coś robiła po swojemu, ale wiedziała, że w razie potrzeby może liczyć na wiele pomocnych dłoni.

Przypomina sobie o rodzinie, o swojej wsi. Orientuje się, że od dawna o nich nie myślała. Dom wydawał jej się więzieniem, siecią krępujących powiązań, pozorów i pustych formalności. Teraz jawią się jak bezpieczny port, jednak zbyt odległy, by dało się dopłynąć. Może zrobiła błąd, wyjeżdżając? Ale jest już za późno. Ubiera się powoli. Najchętniej rzuciłaby się znowu na łóżko i spała, żeby odnaleźć trochę spokoju pomiędzy burzliwymi, pełnymi napięcia snami.

Ale nie może. Musi rozwiązać sprawę, przynajmniej jej część. Najważniejszą i najpilniejszą. To paradoks: kiedy została bez niego, odnajduje siłę, by zrobić to, co on chciał, jako warunek pozostania z nią.

Zaczyna się cicho śmiać. Potem coraz głośniejsze, aż opada z sił i siada na krześle, po czym wybucha płaczem.

Wreszcie otrząsa się i wstaje. Sięga po torebkę, wygrzebuje z niej pogniecioną kartkę. Jest na niej nazwisko i numer. Pamięta, kiedy nagryzmoliła te dane.

To był słoneczny ranek na uczelni. Była z nią koleżanka, która studiowała eksternistycznie. Bogata, szczęśliwa, niefrasobliwa, jedna z tych, co traktują wydział

jak przechowałnię, w końcu i tak płaci tatuś, a przecież trzeba podać jakiś zawód do dowodu osobistego.

W przerwie między wykładami rozmawiały w grupie o życiu, o profesorach, o facetach. Eleonora niespecjalnie lubiła tracić czas na takie pogaduchy, a przy tym niektóre z jej koleżanek były naprawdę głupimi gęsiami. Ale tamtego ranka słońce grzało przyjemnie na bezchmurnym niebie. Miło było spędzać czas ze świadomością, że żadna z tragedii, o których opowiadały dziewczyny, nigdy jej nie dotknie. Kiedy teraz o tym myśli, siedząc na brzegu łóżka z kartką w garści, czuje, jak przeszywa ją żal za utraconą radością życia.

Tamta koleżanka była starsza od niej, wydawała się panią świata, doświadczona we wszystkim. Znała całe miasto i jego notabli, chwaliła się, że może zdobyć kontakt do każdego. I jako przykład swoich możliwości opowiedziała anegdotę, która dziś powraca w pamięci Eleonory jak policzek.

Miętosi kartkę w dłoni. Stara się sobie przypomnieć, jaka myśl, a może przeczucie, popchnęła ją do zapisania tego nazwiska i numeru. Parę razy spotykały się potem na korytarzach wydziału, wymieniały się przelotnym uśmiechem. Nic więcej.

A teraz, myśli Eleonora, muszę przyznać ci rację: każdy prędzej czy później czegoś od ciebie potrzebuje.

Wstaje i podchodzi do telefonu.

XXXVII

Stary człowiek wstaje od biurka.

Od kiedy przyjechał do miasta, nie robi nic innego: pisze, śpi, przebiera się, korzysta z łazienki. Kilka ściśle określonych tras i czynności w przerwach pomiędzy długimi okresami, kiedy dokonywał wizji lokalnych i rozpoznawał miejsca. Stoi nieruchomo, ocierając wieczną łzę z lewego oka. Jego umysł odtwarza to, co się zdarzyło. Powoli, metodycznie archiwizuje wszystko i skupia się na kolejnych ruchach.

Za każdym razem tak robi. Uwalnia umysł od wszystkich zbędnych już detali, rzeczy niepotrzebnych, robiąc miejsce dla następnych zadań. Porządek, przede wszystkim porządek.

Tamten student pod pewnymi względami był najłatwiejszy do załatwienia. Spokojnie rozpoznał jego zwyczaje, odkrywając z ulgą, że był bardzo metodyczny, nie wychodził poza ustalone rytuały, zwłaszcza jeden: piątkowe wieczory. Choćby się waliło i paliło, chłopak w każdy piątkowy wieczór jechał do domu narzeczonej i wracał bardzo późno.

Najpierw się uczył, a potem brał prysznic, ubierał się, schodził do garażu, wsiadał do samochodu i jechał na drugi koniec miasta do mieszkania dziewczyny. Stary podejrzewał, że ojciec chłopaka nie wiedział o jej istnieniu. Jak zwykle przyczajony w bezpiecznej odległości śledził ożywione rozmowy pary. Ona z uporem żądała, żeby coś zrobił, a on próbował wziąć ją na przeczekanie. Z uwagi na tryb życia studenta – krążył tylko między uniwersytetem a domem – i na fakt, że dziewczyna nie odwiedzała jego domu, musiało chodzić o oficjalne przedstawienie jej ojcu. Czasy się zmieniają, myślał stary, ale tylko do pewnego stopnia.

Prawdopodobnie chłopak kłamał ojcu, mówiąc, że jedzie się uczyć do kolegi. To bez znaczenia, ważne, że w piątek ojciec szedł spokojnie spać o północy, nie martwiąc się nieobecnością syna.

Stary wspomina, jak zdecydował, że to garaż będzie najlepszym miejscem, żeby załatwić sprawę. Drzwi zamykały się minutę i czterdzieści sekund po tym, jak samochód wyjechał za bramę, która z kolei pozostawała otwarta przez minutę. Krótko mówiąc, miał pięćdziesiąt sekund, żeby wejść do ogrodu, przejść szybko boczną alejką, gdzie kamery były zasłonięte przez niepodcięte gałęzie drzew,

sprawdzić, czy nikt nie patrzy z okna, i wślizgnąć się do garażu. Zrobił to co najmniej trzy razy: próby techniczne zabójstwa. Rozbawiło go to określenie.

Wnętrze garażu było doskonałe. Obszerne, wystarczało na dwa samochody, ale w środku stał zwykle tylko jeden, należący do chłopaka, bo ojciec trzymał swój na podjeździe przed willą. Mnóstwo rupieci, szafa, motocykl przykryty płachtą. Stary wybrał miejsce właśnie za motocyklem. Pół metra od drzwi kierowcy. Obiecywał sobie wiele razy nigdy nie strzelać z odległości większej niż metr, bo jego pistolet, w dodatku z tłumikiem, nie gwarantował absolutnej precyzji, której tak potrzebował.

Dodatkowo sprzyjał mu fakt, że pilot do bramy garażowej, może z powodu słabej baterii, działał tylko, gdy się go używało poza samochodem, na przykład wyciągając go przy otwartych drzwiach. Dlatego najlepszy moment to był ten, gdy chłopak już siedział w środku z zapiętymi pasami, ale jeszcze nie zamykał drzwi, bo musiał się wychylić, żeby uruchomić bramę.

Najtrudniejszą częścią zadania było czekanie na świt, żeby zobaczyć, jak ojciec schodzi w piżamie i tych śmiesznych kapciach i po wejściu do garażu widzi to wszystko.

Ale to było konieczne. Potem mógł, założywszy rękawiczki, spokojnie wrócić do hotelu, korzystając z bocznego wyjścia. Nie chciał ryzykować klęski całego projektu z powodu odcisku kciuka na guziku otwierającym furtkę. Chociaż dobrze wie, że jego odciski, tak jak i DNA, na nic by się policji nie przydały, bo nie ma ich w żadnej bazie.

Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, prawda? Nigdy nie wiadomo. Ostrożność w tej fazie była konieczna. Ostrożność to najskuteczniejszy środek, żeby doprowadzić wszystko do końca.

Stary człowiek musi przyznać przed sobą, że rezultat jego trudów jest zadowolający. Wszystko wykonane zgodnie z planem, bezbłędnie. Ale najciekawsze dopiero się zacznie.

Odwraca się, podchodzi do szafy i z namaszczeniem ją otwiera. Podnosi deskę na dnie i sięga do schowka, który zrobił samodzielnie, przytwierdzając od dołu plastikowy pojemnik. Wie, że sprzątaczkę są raczej niestaranne, ale nigdy nie wiadomo. Lepiej być przygotowanym na najgorsze.

Z pojemnika wyciąga pistolet, berettę 71, z wymienną lufą, odpowiednio przerobioną, żeby dopasować tłumik, który sam skonstruował, śledząc instrukcje po angielsku na jakiejś słowackiej stronie. Uśmiecha się na myśl, ile trudu zajęło mu przetłumaczenie wskazówek, co było znacznie trudniejsze od samego montażu tłumika. Rozkręca broń, czyści starannie, smaruje elementy rozłożone na płachcie na

blacie biurka. Nie może ryzykować, że broń się zatnie w kluczowym momencie. Skrupulatnie składa z powrotem, sprawdza działanie. Ładuje magazynek. Myśli, że użyje jej jeszcze dwa razy. W sumie niewiele. Odkłada do pojemnika i zamyka schowek, chroniąc go przed ewentualnym wścibstwem niechlujnej pokojówki, która sprząta mu pokój co drugi dzień.

Reguluje rachunek co cztery dni, żeby nie przyciągać zbytnio uwagi dziewczyny w recepcji. Oceniał, że cztery dni to idealny okres, żeby stworzyć wrażenie tymczasowości pobytu i uniknąć podejrzeń ze strony personelu. Stary facet z drugiego piętra, zaraz pewnie wyjedzie, ale dziś jeszcze odpoczywa.

Oddycha głęboko, stojąc przed szafą. Po oczyszczeniu pistoletu ze śladów ostatniego użycia oczyszcza także umysł i pamięć, kasując wszystko, co dotyczy śmierci studenta. Każdy szczegół ulega wymazaniu. Potem przypomina sobie dane, które powinien znać w związku z następnym krokiem i które uzupełni w kolejnych dniach śledzeniem najdrobniejszych szczegółów. Jeśli ktoś znalazł metodę, która okazała się skuteczna, nie powinien jej zmieniać.

Zresztą mówili nawet o tym w telewizji: Krokodyl.

Jestem krokodylem, więc moją podstawową cechą powinien być chłód. Odwraca się ku oknu. Przemierza dwa metry, jakie go od niego dzieli, i pierwszy raz, od kiedy tu zamieszkał, robi małą szparę w zasłonach.

Zaczyna obserwować drugą stronę ulicy.

XXXVIII

Di Vincenzo wrócił po kilku minutach. Harmider czyniony przez dziennikarzy był ogłuszający. Komisarz miał twarz bladą i bez wyrazu. Wyglądał, jakby nie wiedział, co ze sobą począć. Giuffrè dowiedział się od kumpla w sekretariacie, że Piras miała pojawić się lada moment i zażądała, żeby komisarz czekał na nią. Atmosfera robiła się ponura.

Lojacono odczekał chwilę, potem wyszedł i zaczepił dziennikarkę w okularach, która chciała wcześniej zadać mu jakieś pytanie, a teraz z wyrazem rezygnacji na twarzy odkładała dyktafon do torby. Z góry uprzedził, że nie wie nic o Krokodylu, czego ona by już nie wiedziała, i zapytał ją, jakie ma informacje o ostatnim zabójstwie. Była to freelancerka, Ornella Cresci. Chętnie zgodziła się wyjść z nim do baru.

– Co za fantastyczna historia – zaczęła. – W okresie, kiedy poza nielicznymi porachunkami camorry w tych samych dzielnicach co zawsze nie dzieje się nic nadzwyczajnego, nagle pojawia się seryjny zabójca nastolatków, który zostawia po sobie podpis, a do tego płacze. Rozumie pan? Materiał na nagrodę dziennikarską, epokowy reportaż. A policja, pan wybaczy, ale taka jest prawda, policja węszy w środowisku camorry, a tymczasem camorra jest jeszcze bardziej zaskoczona. Wspaniałe!

Lojacono naciskał.

– Ale to ostatnie zabójstwo? Co mi pani powie o tym chłopaku?

Cresci była drobna i chudziutka, wielkie okulary stanowiły pewnie jedną trzecią jej wagi, ale upewniwszy się, że to inspektor stawia, złapała kawałek pizzy i zaczęła pochłaniać ją wielkimi kęsami.

– Chłopak jakich wielu. Pilny student, wysoka średnia ocen, ale był synem sławnego lekarza, wiemy, jak oni się nawzajem wspierają, nie? Chodził na zajęcia, nie miał podejrzanych znajomości, kursował między domem, uczelnią a narzeczoną, fajną dziewczyną, przyjezdną, którą poznał parę miesięcy temu. Jedyne dziecko owdowiałego ojca. Mogę jeszcze kawałek? Wczoraj wieczorem nic nie jadłam.

– Ależ proszę. Tylko niech pani wolniej przełyka, bo się może udławić. A ojciec?

– Dziękuję, jeszcze wodę gazowaną poproszę. Ojciec? Bogaty, sławny ginekolog.

Ulubiony lekarz żon piłkarzy i biznesmenów. Wspaniały gabinet przy via dei Mille. Ale trzeba go było widzieć dziś rano. Wszedł, żeby poprosić, byśmy go zostawili w spokoju i nie obstawiali jego domu. Wyglądał jak wrak człowieka. Ma pięćdziesiąt lat, ale wydawało się, że ma sto. Żona mu zmarła kilkanaście lat temu, nigdy się ponownie nie ożenił. Miał tylko tego syna. Nie sądzę, żeby był w stanie się pozbierać. Jak się widzi takie sytuacje, to człowiek się zastanawia, jaki sens ma odkładanie pieniędzy i robienie kariery.

Lojacono przytaknął. Ten sam schemat.

– A samo zabójstwo? Skąd wiecie, że to Krokodyl?

Wybuchnęła śmiechem, okruchy pizzy poleciały we wszystkie strony. Pewien starszy klient baru spojrzął z niesmakiem.

– Pan żartuje? Było wszystko: chusteczki, łuska. A poza tym to, co nazywacie modus operandi. Zaciszne miejsce, czatowanie, szybkość wykonania, bezszelestne zniknięcie, późna godzina. Niczego nie brakowało. To on. Jestem tego pewna tak samo jak tego, że sobie teraz zamówię cappuccino. Mogę, prawda?

Inspektor dał znać kasjerowi, że ureguluje rachunek. Ten tylko uniósł brwi na znak, że podziwia apetyt kobiety.

– Jak wszedł do garażu?

– Czekał, aż chłopak otworzy drzwi pilotem. Z tego, co pamięta ojciec, musiało to być około drugiej po południu. Wtedy ostatni raz Donato odstawiał samochód. Musiał się wtedy wślizgnąć. Pański kolega z kryminalistyki mówił nam, że ukrył się za motocyklem przykrytym płachtą. Tam znaleźli chusteczki. Dobrze to cappuccino, może dodam więcej cukru. Ze śladów wynika, że czekał aż do dziewiątej, kiedy chłopak zjawił się w garażu, żeby wyjechać. I wtedy strzelił mu prosto w skroń.

– Jeden strzał?

– Oczywiście, tak jak poprzednio. Jeden strzał wystarczył, bo albo tak zaplanował, albo przez przypadek znów udało mu się być blisko głowy ofiary. Tym razem to było podobno trzydzieści centymetrów. Może mi pan dolać mleka? Niech pan zostawi dzbanek. I najśmieszniejsze jest, że odszedł przez nikogo nieniepokoiony. Na piechotę, bo nie znaleźli na podjeździe śladów kół obcych samochodów.

– A co wiadomo o chusteczkach?

Upiła duży łyk cappuccino i dolała jeszcze mleka.

– Normalne chusteczki, które się kupuje od Murzynów na światłach. Nic szczególnego. Z tego, co wiadomo, to nie płacze po oddaniu strzału, jak krokodyl.

To znaczy, krokodyle nie strzelają, to tylko takie porównanie. Po prostu łzawią mu oczy. Może ma zapalenie spojówek, jestem alergiczką i znam te klimaty. Ale niech pan powie o swoim szefie. Z tych paru słów, co nam mówił, wynika, że jest w czarnej dupie, prawda?

Lojaco wzruszył ramionami.

– Nie wiem, zajmuję się czymś innym. W każdym razie moim zdaniem niełatwo się połapać w tej historii. Trzeba zweryfikować, czy coś łączyło tę trójkę, ustalić jakieś związki między nimi. O ile takie były. Równie dobrze może chodzić o szaleńca, który łązi po mieście z bronią, wślizguje się w ciemne zakamarki i czeka, aż ktoś się nawinie, żeby przystawić mu lufę do skroni. Mamy dziwne czasy, wie pani.

Ornella dopiła cappuccino i zaczęła podskubywać przekąski, które barman wyłożył w związku z tym, że zbliżała się pora aperitif. Kasjer ostentacyjnie rozłożył ramiona.

– Tak, szalencie też może być. Niczego nie da się wykluczyć. Ale raczej wszyscy myślą, że ten cały Krokodyl realizuje jakiś swój plan. Nie wygląda na gościa, który działa z rozpędu, raczej jest dobrze zorganizowany, prawda?

– Powtarzam, nie mam zielonego pojęcia. Pytałem tak z ciekawości. Teraz przepraszam, muszę wracać do pracy. Czy coś jeszcze pani zje?

– Nie, dziękuję, dbam o linię. Gdyby pan chciał jakieś kolejne informacje, proszę mnie zaprosić na obiad albo kolację. To moja wizytówka.

Po powrocie do biura spotkał Giuffrègo, który niemalże skakał na czubkach palców.

– Gdzieżeś się, kurwa, podziewał? Di Vincenzo już trzy razy cię wzywał. Masz zaraz iść do jego gabinetu.

XXXIX

Orlando Masi pomyślał o swoim zmarłym prawie dziesięć lat temu ojcu. Był szacowną postacią, sztywnym, trudnym w obejściu człowiekiem, nieskorym do wylewnego okazywania uczuć. Jeden z tych, którzy wzbudzają u innych lęk.

Otóż stary inżynier Masi, który wymagał od syna perfekcji do tego stopnia, że ten prawie go znienawidził, który był surowy prawie do granic okrucieństwa, kiedy był już bliski śmierci, zżarty przez chorobę od środka tak, że przypominał larwę, wezwał do siebie Orlanda. Uniósł dłoń, oparł ją o jego twarz, jakby chciał raczej sprawdzić fakturę skóry niż pogłaskać syna.

Potem rzekł: „Synu. Podzieliłeś moje życie na dwie części. Po tym, jak się zjawiał, nic nie było takie jak wcześniej. Nic, rozumiesz? Nic”. Orlando czekał. Wydawało mu się, że to dopiero wstęp, jakby ojciec miał coś jeszcze do przekazania. Tymczasem starzec opuścił dłoń i zapadł w sen.

Orlando przez wiele lat sądził, że to były majaki umierającego. Jednak w chwili, gdy jego żona rodziła, a on ledwo stał na nogach, w przyciasnym fartuchu, i targały nim mdłości – nagle jasno pojął, co stary inżynier chciał mu przekazać.

Życie podzielone na dwie części. Nic tak jak wcześniej. Szedł w górę via Orazio, pchając wózek pod bladym słońcem i co chwila upewniając się, że wilgoć i ziąb nie przenikają przez osłonę, i obserwował nosek swojej córki Stelli. I myślał, że nie ma na świecie nic piękniejszego, nic cudowniejszego.

Tylko siedem miesięcy. A jego życie zmieniło się pod każdym względem.

Nieuważny obserwator mógłby uznać, że u Orlanda wszystko jest po staremu. Praca naczelnego inżyniera w dużej firmie budowlanej. Żona, ciągle ta sama, urocza Roberta, uwielbiana przez każdego, kto miał z nią do czynienia choćby minutę. Ładny dom z ogrodem, rzadkość w mieście. Sam go starannie pielęgnował. Wszystko ładne, sielankowe.

A tymczasem całe jego życie zmieniło się z chwilą, gdy włożono mu w ramiona tę małą wrzeszczącą istotkę owiniętą w pieluszkę. Jego córkę. Stellę. Wybrał jej to imię w tamtej chwili. Żeby nie zapeszyć, nie omawiali wyboru imienia wcześniej.

Podczas długich lat starań o to dziecko, które nie chciało się pojawić, ani razu nie snuli rozważań o imieniu. Żona twierdziła, że któremuś z nich przyjdzie ono na

pewno do głowy, jak tylko zobaczą maleństwo. I padło na niego. Stella. Gwiazda. Bo gwiazda pokazuje kierunek. W tej dokładnie chwili, gdy brał ją na ręce, zrozumiał, że każdy kolejny jego krok na ziemi będzie zawsze w kierunku tej małej wrzeszczącej istoty.

Wdychając radośnie wilgoć, przed którą chronił dziewczynkę, Orlando pomyślał, że życie potrafi być cudowne. I posłał czułą myśl w stronę wyniosłego ojca, którego surowość jednak uchroniła go przed zagubieniem się w życiu.

Oczywiście były chwile, kiedy wydawała mu się zbyt dużym ciężarem. Niektóre jego nakazy były całkiem niezrozumiałe. W pewnych chwilach świadomość ojcowskiej dezaprobaty odводziła go od wyborów, których, gdyby był pozostawiony sam sobie, na pewno by dokonał.

Kiedy chciał zostać zawodowym piłkarzem. Kiedy chciał wyruszyć w podróż dookoła świata. Kiedy chciał studiować filozofię. I oczywiście kiedy...

Ale teraz nie chciał o tym myśleć. Wszystko zajęło mu więcej czasu, to prawda. Parę rzeczy mogłoby mu pójść łatwiej dzięki znajomościom, których ojciec nie chciał uruchomić, przekonany, że wszystko w życiu trzeba osiągnąć wysiłkiem. Życie nie dało mu nic w prezencie, myślał Orlando, pokonując ostatnie podejście przed drzwiami hotelu.

Zaraz za wzniesieniem było najbezpieczniejsze miejsce na świecie: jego dom. A w nim Roberta z gorącą herbatą. A zwłaszcza cudowna Stella, która na pewno będzie się uśmiechać.

XLI

Blady Di Vincenzo siedział za biurkiem. Wciąż przekładał papiery, jakby od tego zależało jego życie. To, co mu spadło na głowę, przekraczało jego możliwości. Lojaco, który czekał na progu na zaproszenie, poczuł litość.

– Szefie, mogę? Wzywał mnie pan?

Di Vincenzo podniósł wzrok, spojrzał zimno.

– A, to pan, Lojaco, proszę siadać, ale najpierw niech pan zamknie za sobą drzwi.

Ciągle „pan”, żeby utrzymać dystans. Do reszty podwładnych mówił na ty. Ale Lojaco uznał, że tak mu pasuje.

– Przejdę od razu do rzeczy. Z jakiegoś powodu, którego nie jestem w stanie zrozumieć, pani prokurator Piras życzy sobie, aby włączyć pana do ekipy zajmującej się tym cholernym dochodzeniem, tymi trzema zabójstwami, w które zostaliśmy wciągnięci z powodu Mirka Lorusa, nieletniego zastrzelonego na naszym terenie. Zapewne chodzi o to, że pan, łamiąc moje polecenie, ale zostawmy to teraz, jako pierwszy pojawił się na miejscu zbrodni. Mamy się stawić na odprawę w komendzie miejskiej za pół godziny.

Widać było, jak bardzo komisarz był zirytowany faktem, że musiał się zwrócić do Lojaco. Miał zaciśnięte usta, unikał patrzenia na inspektora.

– Ma pan więc nieco ponad dziesięć minut, żeby przejąć materiały od Savaresa, który dotychczas prowadził tę sprawę. Niewiele tego, obawiam się. A większość, jak sądzę, jest panu znana, bo była szeroko omawiana w prasie i telewizji. Nie żeby w innych komisariatach poszli dalej do przodu, ale my ponoć jesteśmy najbardziej za to odpowiedzialni, bo pierwsze zabójstwo zdarzyło się tutaj. Absurd.

Lojaco zbierał się, żeby wstać.

– W takim razie, szefie, pójdę pogadać z Savaresem.

– Jeszcze chwilka. Proszę mi zdradzić, co panu mówiła Piras, kiedy poszliście do baru? A przede wszystkim, dlaczego ją pan zaprosił?

Lojaco rozważał to pytanie. Nie wątpił, że Di Vincenzo dowie się o ich rozmowie. Zaskakiwało go, że odważył się o to zapytać.

– Pańscy informatorzy byli niedokładni. Powinni byli donieść, że to pani Piras mnie zaprosiła, a nie ja ją. Chciała poznać kilka dodatkowych szczegółów z mojej pierwszej interwencji na miejscu zabójstwa, tylko tyle. Ale nie miałem nic do dodania poza tym, co było w raporcie. Ponadto chcę podkreślić, że tamtej nocy pełniłem dyżur zgodnie z grafikiem, który pan podpisał. Nie mam żadnego interesu w udziale w jakimikolwiek dochodzeniu, chyba że otrzymam odpowiednie polecenia. Takie, jakie pan przed chwilą wydał, na przykład. Mogę iść?

Szyja Di Vincenza stała się czerwona. Poza tym nie zdradzał żadnych emocji. Wskazał ręką na drzwi.

– Proszę iść. Widzimy się przy samochodzie za dwadzieścia minut.

Krótką jazda na komendę przebiegła w milczeniu. Dokumenty, które dostał od niezadowolonego Savaresa, nie dodały nic istotnego do tego, co i tak wiedział.

Badania balistyczne pocisku wyjętego w trakcie autopsji z czaszki Lorusa potwierdzały kaliber dwadzieścia dwa. Kopie raportów z równoległego dochodzenia w sprawie drugiego zabójstwa potwierdzały tę informację. Oba pociski wystrzelono z tej samej broni.

Chusteczki nie dostarczyły nowych informacji. Poza śladami płynu łzowego były komórki naskórka, pochodzące prawdopodobnie z powieki. Badanie DNA, przeprowadzone w trybie ekspresowym, w końcu chodziło tu o seryjnego zabójcę, potwierdziło zgodność śladów na wszystkich materiałach. Niestety nie znaleziono w bazie danych osoby, do której ten kod genetyczny by pasował.

Żadnych odcisków palców. Ubrania nastolatków i kask Lorusa miały na sobie tylko linie papilarne ofiar. Krokodyl albo niczego nie dotykał, albo nosił rękawiczki.

Brakowało jeszcze danych z miejsca trzeciego zabójstwa, zdarzyło się zbyt niedawno. Ale Lojacono wiedział, że na pewno śledczy ustalili już mniej więcej to samo co wcześniej, inaczej by go nie wezwano.

Jadąc na tylnym siedzeniu obok Savaresa, korpulentnego pięćdziesięciolatka z wiecznie zmarszczonym czołem, inspektor zastanawiał się, dlaczego Piras postanowiła włączyć go do sprawy. Nie wydawało mu się, żeby wykazał się przed nią szczególną przenikliwością czy jakimiś nadzwyczajnymi zdolnościami. Jedynym powodem mogło być to, że od samego początku, bardziej intuicyjnie niż w wyniku rozumowania, obstawał przy tezie, że za zabójstwami nie stoi camorra. Trzecie morderstwo musiało przekonać Piras do jego tezy.

Na komendzie Di Vincenzo, który widać, że znał dobrze ten budynek, zaprowadził ich do salki na drugim piętrze. Wokół stołu pełnego dokumentów

siedziało czterech mężczyzn po cywilnemu, kobieta z notatnikiem i długopisem oraz Piras. Prokurator pozdrowiła ich gestem dłoni.

– Jesteście. Dobra, poznajcie się wszyscy. Inspektor Lojacono jest z nami, bo go wezwałam, potem wam wyjaśnię powód. Lojacono, to są komisarze z komisariatów, gdzie doszło do zdarzeń, oraz osoby prowadzące tam dochodzenie. Żeby zaoszczędzić czas, proszę każdego, żeby się przedstawił, kiedy będzie miał coś do powiedzenia. Dzisiejsze zebranie stało się konieczne, bo ostatnia zbrodnia z dzielnicy Vomero rzuca, moim zdaniem, nowe światło na całą sytuację.

Człowiek w nienagannym garniturze, nie najmłodszy, zaczął z widoczną irytacją:

– Scognamiglio, komisarz z via Manzoni. Pani prokurator, nie jestem wcale przekonany, i chcę to zaznaczyć od razu, że dotychczasowy kierunek śledztwa nie był właściwy. Ustaliliśmy, dzięki przesłuchaniu Antonia Ruggieri, że pierwsza ofiara, Mirko Lorusso, sprzedawał narkotyki przed liceum, do którego uczęszczała Giada De Matteis, druga ofiara. Wydaje mi się, że to wystarczający łącznik, by dalej nad tym pracować.

Piras spojrzała na niego lodowato.

– Scognamiglio, jak pan zapewne pamięta, ten cały Ruggieri zeznał, że Lorusso był drobnym pionkiem, młodym, że tak powiem, stażystą dealerki, który zdążył ledwo trzy razy wypełnić swoje zadanie. I nie ma najmniejszych poszlak, że o dowodach nie wspomnę, że ofiary spotykały się ze sobą. Ani że De Matteis, dziewczyna opisywana przez matkę i koleżanki jako wzorowa, zażywała narkotyki. Wreszcie trzecie zabójstwo wydaje się całkowicie niezwiązane z poprzednimi, choć dokonane tą samą ręką. Czy nie tak, Palma?

Mężczyzna wywołany do odpowiedzi był trzecim komisarzem wśród obecnych. Miał ze czterdzieści lat, potargane włosy, wymiętą koszulę i sprawiał wrażenie, jakby nie spał od ponad doby.

– Raczej tak. Koledzy z kryminalistyki zdążyli już wykonać badanie balistyczne. Pocisk wydobyty z ciała i znaleziona w pobliżu łuska odpowiadają tamtym. Nieformalnie koleżanka z laboratorium potwierdziła, że badania pozostałych śladów, czyli chusteczek, dają efekt pozytywny. To ta sama osoba. Na razie nie wiemy nic więcej.

Piras przytaknęła.

– Dokładnie tak, jak przewidywałam. Wszystko teraz zależy od szybkości, z jaką zdołamy przestawić nasze myślenie i sformułować nowe hipotezy, w tym sensie...

Di Vincenzo zakasłał.

– Pani wybaczy, ale chcę zaznaczyć, że zgadzam się z kolegą Scognamigiem. Porzucenie hipotezy camorry tak szybko, zaraz po zabójstwie Rinaldiego, zanim ustalimy, czy istniały jakieś związki między studentem a pozostałymi ofiarami, wydaje mi się przedwczesne. Jestem zdania, że musimy poczekać, aż kolega Palma dokona niezbędnych ustaleń, i przenieść nasze spotkanie, które mogłoby się odbyć w węższym gronie, tak żeby nie odrywać kolegów od czynności.

Krótką wypowiedź Di Vincenza zawisła w pokoju jak kamień. Wszyscy patrzyli gdziekolwiek, byle nie na prokuratora. Lojacono nie miał wątpliwości, że komisarz myślał o nim, kiedy mówił o węższym gronie. Piras stuknęła długopisem w blat, kiwając głową. Inspektor znał już ją na tyle, żeby rozumieć, że to był jej sposób na skanalizowanie złości i zatrzymanie ataku furii.

– Di Vincenzo, pan miał akurat najwięcej czasu ze wszystkich, żeby zastanowić się nad tymi zabójstwami, więc należy pana słuchać z uwagą.

Jasna aluzja do niepowodzenia śledztwa była jak policzek. Komisarz nie odezwał się, przełknął ślinę. Piras mówiła dalej.

– Pewne fakty jednak skłaniają mnie do zmiany kierunku śledztwa. Po pierwsze, media nas, dosłownie, masakrują. Każda gazeta, stacja telewizyjna i portal internetowy czują się uprawnione, żeby nazywać nas nieudacznikami. Ludzie są zaniepokojeni, a każde zabójstwo to szok, tym bardziej, kiedy chodzi o dzieci czy młodych ludzi. Po drugie, tkwimy w martwym punkcie. Nikt nie mówi, żeby zaprzestać badania każdego aspektu życia Rinaldiego, ale musimy zacząć myśleć o czymś innym, w przeciwnym razie ryzykujemy, że przegapimy coś istotnego. Tak jak może już to się stało. Po trzecie i najważniejsze, ten przekłety Krokodyl, nawiasem mówiąc nie znoszę tego zwierzęcia, może jeszcze nie skończył. I raczej nie jesteśmy w stanie przewidzieć jego ruchów, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę.

Zrobiła wymowną pauzę, wpatrując się w Di Vincenza, który wytrzymał jednak jej spojrzenie.

– I wreszcie, mam nadzieję, że mówię to panu pierwszy i ostatni raz, to ja koordynuję dochodzenie. I kiedy sobie zażyczę czyjejś opinii albo rady, to o nią poproszę. Chyba że ktoś się czuje bardziej kompetentny ode mnie, w takim razie niech zgłosi to na piśmie do szefa mojej prokuratury. Czy ktoś ma taki zamiar? Proszę mnie łaskawie uprzedzić.

Cisza była taka, że można ją było kroić nożem.

– A teraz jestem panom winna wyjaśnienie, co robi z nami inspektor Lojacono. Jako pierwszy zjawił się, pełniąc wówczas dyżur, na miejscu zabójstwa Mirka

Lorussa. Wtedy właśnie zauważył chusteczki, o których ktoś uprzejmie poinformował prasę po zabójstwie De Matteis, przez co powołał do życia sławetnego Krokodyla. Spotkałam ponownie inspektora w komisariacie San Gaetano, gdzie pełni służbę, i miałam wrażenie, że nie jest skłonny przypisywać te zabójstwa camorrze. Dopóki zakładaliśmy jej działanie, nie widziałam potrzeby, żeby go angażować. Ale skoro obecnie nie mamy pojęcia, dokąd zmierzamy, wydaje mi się słuszne, by wysłuchać każdego, kto ma jakikolwiek pomysł.

Zirytowany Scognamiglio poruszył się na krześle.

– Pani prokurator, w ten sposób dezawuuje pani naszą pracę, proszę o cierpliwość. Trwają czynności śledcze, mój wicekomisarz Marotta przesłuchał setkę licealistów, żeby zrekonstruować proceder sprzedaży narkotyków pod szkołami w dzielnicy, kosztowało go to furę roboty, a pani teraz mówi, że błądzimy po omacku.

Tym razem Piras nawet nie próbowała ukryć złości. Trzepnęła dłonią o stół, aż podskoczyły leżące na nim długopisy.

– Do jasnej cholery, Scognamiglio! Kosztowało was to furę roboty i co żeście wskórali? Nic! Absolutnie nic! A młodzi ludzie dalej giną, w różnym wieku, w różnych dzielnicach, bez widocznego związku. Z powodu naszej opieszałości mamy już trzy trupy, a może będziemy mieli więcej. To wy, jako pierwsi, pan, Palma i Di Vincenzo powinniście z pokorą przyjąć pomoc z każdej strony. Jeśli panu nie pasuje, może pan wyjść, polecenia dotyczące dalszych czynności odbierze pan bezpośrednio od komendanta i ode mnie.

Nawałnica przeszła, można było policzyć ofiary. Scognamiglio miał czerwone uszy, wzrok wbity w ziemię. Di Vincenzo wyglądał jak kamienny słup. Marotta, ten który przesłuchiwał uczniów i odwalił furę roboty, mrugał z prędkością uderzeń skrzydeł kolibra. Lojaco bał się, że wicekomisarz zaraz wybuchnie płaczem. Palma nerwowo zapinał kołnierzyk, jakby poprawiał wygląd przed paradą.

Piras zakasłała i jak gdyby nigdy nic znów zabrała głos.

– Lojaco, jak mówiłam, nie podzielał naszego kierunku prac. Może nam pan streścić dlaczego?

Inspektor siedział rozparty na krześle, z rękoma w kieszeni płaszcza, którego w przeciwieństwie do innych nie zdjął, może żeby zaznaczyć, że jest tam tylko tymczasowo.

– W mojej opinii, pani prokurator, nie widać w tych przypadkach cech typowych dla zabójstw mafijnych. Chodzi mi o okoliczności. A zatem także i o motyw.

Di Vincenzo prychnął i wymamrotał złośliwie:

– No jasne, pan się zna na mafii, i to jak.

Inspektor udał, że nie usłyszał przytyku. Tymczasem Piras odwróciła się natychmiast do komisarza:

– Jeszcze jedno takie zdanie, i Bóg mi świadkiem, że każę pana zawiesić. Gorzko pan pożałuje. Lojacono, te wszystkie wątpliwości już mi pan przedstawił, zresztą my też odnotowaliśmy różnicę w sposobie wykonania egzekucji. Prawdą jest jednak, że przestępczość zorganizowana nieraz zwraca się do zawodowców z zewnątrz, że tak powiem, aby wykonali pewne zadania. Co jeszcze ma nam pan do powiedzenia?

Chwila ciszy. Wszyscy patrzyli na prokurator, która patrzyła na Lojacono, który patrzył w stół. Wreszcie podniósł wzrok i zapytał:

– Czy ktoś pomyślał, że ofiarami są rodzice, a nie ich dzieci?

XLI

Różową czapeczkę sama zrobiła na drutach. Tak jak śpioszki, które zapięła małej pod szyją, zanim wsunęła ją w pikowany kombinezon i położyła w wózku. Roberta tęskni trochę za tym czasem, który poświęcała na oczekiwanie. Niezliczone godziny spędzone na szukaniu wykrojów, robieniu na drutach, haftowaniu. I na uśmiechaniu się do własnych wyobrażeń. To naturalne, myśli, po tylu latach starań. Nieskończony szereg dni straconych na pogoni za jednym marzeniem: mieć dziecko. Trzymać w ramionach część siebie, która posiada własne życie, własny oddech. Cieszyła się i smakowała każdą chwilę ciąży. Każdy kopniak, każde gorsze samopoczucie wydawały się jej błogosławieństwem.

Istnieją kobiety nienadające się do macierzyństwa, Roberta poznała ich sporo. Profesjonalistki poświęcające się karierze, sportowi. Albo miłośniczki nocnego życia, kolekcjonerki przygód, które nigdy nie naraziłyby swojej wolności na rzecz słabej istoty potrzebującej nieustannej troski.

Ale istnieją też kobiety takie jak ona – coraz mniej ich na świecie opanowanym przez myślenie w kategoriach jednostki i egoizm. Kobiety urodzone po to, by zostać matkami.

Roberta zresztą nie traktowała swojej pracy i kariery jako czegoś drugorzędnego. Przeszła spory kawałek drogi zawodowej jako architekt, najpierw w pracowni, a potem samodzielnie. Miała swoje momenty satysfakcji i spełnienia, kilka relacji i jedną wielką miłość. Ale zawsze wydawało się, że wędruje wokół krateru, że w środku jej życia ziele pustką.

Rzut okiem za okno. Temperatura jest do przyjęcia, nie pada, ulicę przed bramą nawet rozświetlił promień słońca. Stella może wyjść na spacer i odetchnąć świeżym morskim powietrzem.

Stella. Taka mała i krucha. Stacja docelowa jej życia.

Roberta wspomina, jak dziesięć lat temu zdiagnozowano u niej niepłodność. Nie uwierzyła w nią ani na chwilę. Nie płakała, nie wpadła w depresję. Uśmiechnęła się i od razu przystąpiła do walki.

Stary człowiek wychodzi z cienia i kroczy ulicą. Musi być czujny, dziś nie ma tłumu, w który mógłby się wtopić.

Orlanda spotkała w pracy. Jeden uśmiech, trochę dłuższe spojrzenie i zadziałała magia.

Starszy od niej o piętnaście lat. Zrównoważony, silny, wrażliwy. Odpowiedni mężczyzna, odpowiedni mąż. Odpowiedni ojciec. Do idei rodziny, konkretnej rodziny, dochodzi się stopniowo. Najpierw pragnie się jej w sposób abstrakcyjny, ale kiedy chodzi o to, żeby ją zbudować, stworzyć od zera, to zaczyna się inna rozmowa. Orlando miał za sobą jakieś historie, mało o nich mówił, ale widać było, że zostawiły na nim blizny. Jeśli znajduje się takiego faceta wolnego w tym wieku, to przecież łatwo się domyślić trudnej przeszłości.

Naznaczyła go też długa choroba ojca, do którego był ogromnie przywiązany i którego nie zdążyła poznać.

A jednak ich związek był od razu bardzo silny. Może szukali się przez całe życie. Może cały ten czas był właśnie przeznaczony na czekanie.

Było więc jasne, że nie zrazili się po pierwszej diagnozie. Roberta od zawsze wiedziała, że zostanie matką. I to własnego dziecka, bez konieczności przechodzenia całej procedury adopcyjnej, jeżdżenia do krajów, gdzie kupuje się dzieci, co zawsze ją przerażało.

Własne dziecko.

Stary człowiek powłóczy nogami, ze spuszczonego wzrokiem, wzdłuż ścian domów. Nikt go nie zna. Nikt go nie widzi. Dziesięć metrów, ani jednego mniej czy więcej.

Roberta zawsze lubiła rysować, dlatego wybrała architekturę. Rysowała twarz swojej przyszłej córki, nie przestała nawet wtedy, kiedy drugi i trzeci lekarz potwierdził diagnozę pierwszego.

Słuchała ich, uśmiechała się i szła do innego lekarza. I dalej rysowała. Najpiękniejsze portrety, które z grubszą przypominały cudowne rysy jej córki, jak przecucie piękna i światła.

Orlando oprawił je, wisały dziś w różowym pokoiku, gdzie trzymali swój najcenniejszy skarb.

Stary człowiek zatrzymuje się, gdy widzi ją wchodzącą do sklepu. Cofa się w stronę ławki, wyciąga z kieszeni gazetę. Rozkłada ją, ale nie czyta. Patrzy i czeka.

Wreszcie znaleźli właściwego lekarza. Oczywiście i tak szukaliby dalej, ale ten się do nich uśmiechnął i wyjaśnił, jak można działać. Dzięki drobnemu zabiegowi i kuracji farmakologicznej miałoby wysokie szanse na sukces. Tak właśnie powiedział, Roberta pamięta jego głos, jakby to był chór anielski.

Stary człowiek łamie narzuconą sobie regułę i podchodzi. Kobieta weszła za załom bramy, żeby ochronić małą przed wiatrem, więc go nie zobaczy. Osiem metrów, pięć, trzy. Tak jest dobrze. Opiera się o ścianę, jakby łapał oddech po długim marszu. Wyciąga chusteczkę, ociera łzę z policzka i pociera oko. Przygląda się dokładnie.

Dziewczynka otwiera oczy i uśmiecha się do mamy. Stella. Najpiękniejszy widok we wszechświecie. Roberta od razu zgodziła się z decyzją Orlanda, nie mógł wymyślić lepszego imienia. Gwiazda. Świetlista, przepiękna. Światło w nocy, najjaśniejsze. Jej gwiazda polarna, wskazująca drogę na całe życie. Upagniona córka, wyczekana. Spełnione marzenie.

Nie umie oprzeć się pokusie i całuje ją przed odłożeniem do wózka. Dziewczynka kwili jak pisklę i znów się uśmiecha.

Stary człowiek patrzy na dziewczynkę. Pierwszy raz ma okazję z tak bliska. Gra warta świeczki. Jest urocza, mały nosek, puciołowate policzki. Szuka w sobie uczucia, tęsknoty, ale nie znajduje niczego. Jego oczy nie zmieniają wyrazu, ręka z chusteczką nie drży. Patrzy na uśmiech Roberty i myśli, że to musi być naprawdę dobra kobieta. Taka, która lubi cały świat. A więc jest ufna.

Stary człowiek cofa się na swoją pozycję. Co najmniej dziesięć metrów.

XLII

Słowa Lojacono spadły na stół jak bomba. Wszyscy na niego popatrzyli jak na wariata.

Pierwszy otrząsnął się Scognamiglio, komisarz z Posillipo.

– Co pan, do diabła, wygaduje, panie... no jak się tam pan nazywa? – warknął. – Po co w tym wszystkim rodzice?

Di Vincenzo prychnął, wznosząc oczy ku niebu. Palma, szef komisariatu z Vomero, wychylił się do Lojacono.

– To dlaczego, w takim razie, Krokodyl po prostu ich nie wykończył?

Scognamiglio poirytowany zauważył:

– Palma, ty też go tak nazywasz? Zaczynamy mówić jak pismaki?

Piras nie odrywała wzroku od twarzy Lojacono, który znów zaczął gapić się w blat jak uczeń wezwany do dyrektora.

– W jakim sensie ofiarami mogą być rodzice?

Lojacono spojrział na nią.

– Myślę, że jest tylko jedna rzecz gorsza od śmierci: śmierć własnego dziecka. To jest cios, po którym nie można się podnieść.

Di Vincenzo wymamrotał przez zaciśnięte zęby:

– No pięknie, zaczynamy filozofować.

Piras spojrzała na niego znacząco, komisarz natychmiast odwrócił wzrok. Lojacono nieoczekiwanie podjął wątek.

– Troje jedynaków. Troje samotnych rodziców. Lorusso urodziła jako młoda dziewczyna. De Matteis rozwiedziona, jej były mąż jest daleko. Ojciec tego chłopaka z wczoraj, jak mi donoszą, jest wdowcem.

Laura zwróciła się do Palmy:

– Potwierdza pan? Chodzi mi o ojca Rinaldiego.

Komisarz z Vomero przytaknął zamyślony.

– Tak mi się wydaje. Żyli sami we dwójkę, to pewne. Skupiliśmy się na okolicznościach zabójstwa. Skąd pan o tym wiedział, Lojacono?

Inspektor wzruszył ramionami.

– Od dziennikarki, jednej z tej grupy, która koczowała rano przed komisariatem. Postawiłem jej kawę.

Na twarzy Piras lekko drgnął mięsień.

– Widzę, że to pana stały zwyczaj, wyciągać informacje przy kawie. Będę o tym pamiętać. Co takiego jeszcze powiedziała pani redaktor?

Zebrany nie umknął ostry ton, z jakim wypowiedziała te słowa, popatrzyli na siebie skonsternowani. Lojacono mówił dalej, jakby tego nie zauważył.

– Że doktor Rinaldi był zdruzgotany, wyzuty z resztek woli życia, na granicy obłądu. Jak panie Lorusso i De Matteis.

Scognamiglio burknął:

– Pani prokurator, naprawdę musimy słuchać tego bajania? Zabito troje młodych ludzi, może wybranych przypadkowo, może dlatego, że łatwo było ich dopaść, może dlatego, że byli zamieszani w jakiś deal z narkotykami. Musimy mieć czas, żeby to wszystko wyjaśnić. Może ten Rinaldi miał jakieś kontakty, które nas doprowadzą do poprzedniej dwójki. Tracimy tutaj czas.

Lojacono odezwał się wprost do niego.

– To prawda, może to mylny trop. Nikt nie broni sprawdzania różnych hipotez, oczywiście trzeba prowadzić dotychczasowe dochodzenie. Jednak gdybym chciał zadać komuś ból gorszy od śmierci, zabiłbym mu dziecko.

Palma podrapał się po podbródku, który pokrywał już widoczny cień zarostu.

– To prawda, że trzecie zabójstwo nie wydaje się powiązane z poprzednimi. Moglibyśmy zacząć badać życiorysy rodziców, chociaż to sporo roboty. Nie mamy nic do stracenia.

Di Vincenzo odparował lodowato:

– Mów za siebie, kochany, skoro masz dość ludzi do pracy przy tej sprawie. W moim komisariacie już wszyscy się tym zajmują. Matka Lorusa była tylko pielęgniarzką domową, biedną kobietą, która na pewno nikogo nie skrzywdziła.

Piras uznała, że musi zabrać głos.

– Jest coś, co mnie niepokoi. Wszystkie trzy zabójstwa zostały dokonane w dziwny sposób. Przystudiowałam modus operandi, ruchy, zwyczaje. Również trzeci przypadek potwierdza to moje wrażenie. Z jednej strony widzimy staranne przygotowania, troskę o detal wynikającą z długiej pracy organizacyjnej. To nie może być tylko dziełem przypadku, że trzy razy nikt go nie widział i udało mu się

wymknąć po precyzyjnie oddanym strzale. Z drugiej strony są rzeczy absolutnie świadczące o braku profesjonalizmu, jak chusteczki czy wybór broni. Jest tu niespójność.

Lojacono wyprostował się na krześle.

– Dokładnie tak. Wyłania się obraz sprawcy, który miał dużo czasu na przygotowania, ale nie jest zawodowcem. Szantażysta na przykład. Albo ktoś, kto się mści. Ale nie zawodowy przestępca.

Wszyscy rozważali w duchu wymianę zdań pani prokurator z inspektorem, starając się przestawić swoje myślenie po tym, jak przez ileś dni skupiali się na wątku porachunków camorry. Odezwał się wreszcie Savarese naburmuszonym głosem:

– No dobra, załóżmy, że to nie camorra. Jak ktoś może być w stanie poruszać się w trzech niezbyt zatłoczonych okolicach, z niewielkim ruchem ulicznym, gdzie miejscowi się mniej więcej znają albo, jak w przypadku Rinaldiego, w ogóle ich nie ma w pobliżu? Jak jest w stanie zastrzelić trzy osoby i ulotnić się bez śladu? Wyjaśnijcie mi to.

Lojacono lekko się uśmiechnął.

– Wierz mi, stary, w tym mieście jest o wiele łatwiej chodzić jak w czapce niewidce, niż ci się wydaje. Ale to nam w sumie pomaga. Powinniśmy szukać człowieka o przeciętnym wyglądzie, przeciętnym pod każdym względem.

Piras przytaknęła.

– Według pana co powinniśmy teraz zrobić? Jaki powinien być nasz następny ruch?

Inspektor ledwo zauważył wyraźną irytację Scognamiglia i Di Vincenza. Wpatrywał się w twarz prokurator.

– Moim zdaniem trzeba zacząć od konfrontacji rodziców. Żeby zrozumieć, czy coś ich łączy albo łączyło w przeszłości.

Scognamiglio rozłożył ramiona.

– Absurd. Trzy osoby dotknięte taką tragedią! I co? Mamy je ściągać na przesłuchanie jak przestępców? Na konfrontację! Przesłuchajmy ich przynajmniej osobno, taktownie. De Matteis ma rozległe znajomości, profesor Rinaldi tak samo. Ryzykujemy poważne problemy, mówię wam.

Palma potwierdził.

– To prawda, już mieliśmy w komisariacie parę telefonów, jeden nawet stąd, z komendy. Osobne przesłuchanie profesora w sprawie jego przeszłości już będzie

trudne, co dopiero konfrontacja z innymi osobami. Poza wszystkim chyba nie byłby tego w stanie znieść, rano wydawał się takim samym trupem jak syn, trudno zapomnieć wyrazu jego twarzy.

Scognamiglio się rozpromienił, że ktoś go wspiera w wątpliwościach.

– A co dopiero matka De Matteis. Według mnie byłaby mało wiarygodna w tym stanie na granicy szaleństwa.

Lojacono przytaknął.

– Mogę sobie to wyobrazić, macie rację. Ale to konieczne i trzeba działać szybko.

– Dlaczego? – zapytał Di Vincenzo. – Przecież nie uciekną. Zaczekajmy, aż się pozbierają. Odrobinę szacunku dla ludzi.

– To proste. Bo Krokodyl, czy jak go chcemy nazywać, zapewne jeszcze nie skończył.

Tym razem cisza, jaka zapadła wokół stołu, była podszyta strachem. Wreszcie przemówiła Piras, cicho i powoli.

– Zrobimy tak: prowadzicie dalej dochodzenie, ale szeroko, bez lekceważenia nawet najmniejszego śladu, także poza kręgami camorry, co zresztą i tak byśmy uczynili po trzecim zabójstwie. Nie musicie przesłuchiwać rodziców, ja to zrobię, w ten sposób unikniecie nacisków. Zajmę się tym z inspektorem Lojacono, który od tej chwili zostaje przydzielony do śledztwa.

Di Vincenzo miał właśnie protestować, ale prokurator uciszyła go gestem dłoni.

– Na dziś to wszystko, możecie się rozejść.

XLIII

Nie wystarczy wiedzieć, co jest do zrobienia, podjąć decyzję. Nie wystarczy.

Eleonora przekonała się o tym na własnej skórze. Czekala do ostatniej chwili. Na krótką rozmowę. Spodziewala się, że zostanie zaprowadzona we właściwe miejsce, usłyszy kilka słów pocieszenia. Choćby to, że nie jest sama na stromej drodze pod górę, którą musi pokonać.

Tymczasem tylko cisza. Walczyła z pokusą, żeby ją przełamać. Żeby zadzwonić albo wręcz pojechać, stanąć na progu tego domu, którego nigdy nie odwiedziła, i się przedstawić. I powiedzieć: oto jestem. Jesteśmy. Chcę usłyszeć, co mam zrobić. I powiedz mi to jasno. Nie pozwól, bym sama to wnioskowała z twojej nieobecności.

To nie duma ją powstrzymała. Duma w niej umarła wiele dni temu, w chwili, gdy w jego oczach zobaczyła zagubienie i strach. Oraz nieufność. W tej dokładnie chwili, tak jak postanowiła już wcześniej część jej osoby, powinna była odwrócić się od niego i od marzeń. I uciec. Ale co miałyby zrobić potem?

Gdyby miała odwagę, której jej brak, zatrzymałaby dziecko. Powróciłyby do wioski, nie bacząc na potępienie oraz ciche wyrazy triumfu tych, którzy zazdrościli jej niezależności, talentu i chęci usamodzielnienia. Gdyby miała odwagę, poszukałaby w oczach matki i ojca źródła nowej pewności siebie. Dawną czułość i nowe uczucia, pogodzenie się z tym, że marzenia muszą dopasować się do życia.

Gdyby miała odwagę, potrafiłaby zapomnieć o miłości, stopniowo, i oczyściłaby swoją duszę z uczuć, ze strachu przed samotnością, który wciąż powleka ściany jej serca jak nieusuwalna skorupa.

Gdyby.

Ale nie ma odwagi. Tylko cierpienie i cisza.

Kiedy szuka numeru budynku na deszczowej ulicy, myśli o cierpieniu i ciszy. I o tym, jakie to paradoksalne, że zatrzymując dziecko, miałyby dość siły, by stawić czoło potępieniu rodziny i złym językom w rodzinnej wiosce, a nawet poczuciu opuszczenia i wstydlivej ucieczce kochanego mężczyzny. Ale nie zatrzymując go, skaże się na wieczne milczenie. Na brak najmniejszej pieśczoły i czułości.

Koleżanka, która wie wszystko, wiedziala również, dokąd i do kogo ją odesłać. Oddzwoniła w niecałe dziesięć minut z adresem i numerem telefonu.

W tym momencie brakowało już tylko pieniędzy.

Jedynym źródłem, jakie miała do dyspozycji, jedyną osobą, do której mogła zwrócić się o pomoc. Na pewno nie był to on, mężczyzna dość dorosły, by spłodzić dziecko, ale nie dość dorosły, żeby znieść myśl o jego narodzinach. Ten drugi. Mężczyzna, do którego zwykle się zwracała, by wyznać swoje krzywdy, udręki i najtajniejsze myśli. Choć wiedziała, że to go śmiertelnie rani. Choć była świadoma, że w ten sposób skazuje go na wiedzę o tym, czego nikt inny nigdy się nie dowie. To jemu powinna wszystko wyznać. Tylko jemu. I pieniądze od razu się znalazły.

Stoi przed zamkniętą bramą z domofonem bez nazwisk. W drobnym deszczu, który przenika serce jak igły. W ciszy i pustce własnej duszy. Teraz.

Teraz musi znaleźć dość siły, żeby pożegnać swoje marzenia i tamtą wesołą dziewczynę, którą była.

Teraz musi znaleźć dość siły, by pożegnać swoje dziecko.

XLIV

Lojacono wreszcie usnął.

Po spotkaniu z Piras resztę dnia spędził na czytaniu raportów i protokołów sporządzonych w trakcie prowadzonego śledztwa. Di Vincenzo zapytał go arogancko, czy potrzebuje osobnego pokoju, ale on wolał zostać przy swoim biurku. Potrafił się skupić, a poza tym nie było tam dużo ruchu. Giuffrè nie umiał opanować ciekawości, co jakiś czas pytał go o Krokodyla, ale Lojacono ani razu mu nie odpowiedział.

Bo i nie było o czym opowiadać. Z papierów wynikało dokładnie to, co już wiedział. Im więcej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że tych młodych ludzi nic nie łączyło.

Jutro miał być ważny dzień. Po raz pierwszy dojdzie do spotkania rodziców. Inspektor miał nadzieję, że się rozpoznają, że wyjdzie na jaw jakaś relacja i to popchnie śledztwo na właściwe tory.

Dobrze byłoby odpocząć, ale to wcale nie takie łatwe. Po roku mógł wreszcie wziąć się do pracy, do której czuł się powołany, którą chciał wykonywać od dzieciństwa. Musiał przyznać, że w środku czuł narastające podekscytowanie. Instynkt łowiecki.

Położył się na łóżku i zaczął bawić się telefonem. Przejrzał nieliczne numery w kontaktach i jak zwykle zatrzymał się przy jednym. Marinella. Wyobrażał ją sobie w pokoju, którego nigdy nie widział, w nowym mieszkaniu w Palermo, czytając swoje dziwne książki o miłości albo plotkującą na czacie z jakąś koleżanką. Uśmiechnął się w ciemności i chwilę potem zasnął.

Śnił, że leci, że telefon w jego ręku ciągnie go jak silnik odrzutowy czy unosi jak latający dywan. W ciszy przeleciał nad pogrążoną w mroku zatoką, nad wybrzeżem Kalabrii, nad cieśniną dzielącą Sycylię od kontynentu. Śnił, że leci nad uśpioną Mesyną i w parę chwil jest już nad Palermo. Nadleciał od strony portu. Przeciął via Crispi i poleciał wzdłuż via Notarbartolo, pamiętając we śnie o elegancji tamtejszych kamienic i wielkich sklepów z opuszczonymi roletami. Przemierzył via Leonardo da Vinci, gdzie, o ile było mu wiadomo, Sonia znalazła mieszkanie. We śnie znał numer domu i miękko wylądował na balkonie przy pokoju córki.

Wszedł. Marinella go nie widziała, siedziała tyłem do okna, pochylona nad biurkiem. Nie chciał jej wystraszyć, więc obserwował linię jej pleców. Serce mu się ścisnęło ze wzruszenia, zauważył, że pochyla głowę przy pisaniu dokładnie tak, jak robiła to jako dziewczynka. Rozejrzał się dookoła i jego uwagę przyciągnęły wpółotwarte drzwi garderoby.

Ze środka garderoby para żółtych oczu wgapiała się w dziewczynę.

To były gadzie oczy, z pionową źrenicą, bez powiek. Lojaco patrzył na tę scenę jak zahipnotyzowany, znieruchomiały. Nie był w stanie oderwać wzroku, ale nie mógł też zainterweniować. Tak jak to się zdarza w koszmarach, był niczym sparaliżowany. Córka dalej pisała, nieświadoma zagrożenia. Drzwi garderoby powoli zaczęły się otwierać. Lojaco chciał krzyknąć, ale we śnie żaden dźwięk nie wydobywał się z jego ust. Z rozpaczą stwierdził, że potwór zaraz wyjdzie, by pożreć jego córkę.

Nagle za plecami usłyszał dwa strzały, żółte oczy zgasły. Jak uwolniony od zaklęcia, odwrócił się i zobaczył Piras w pozycji strzeleckiej, z lekko rozstawionymi nogami, tułowiem pochylonym do przodu i pistoletem służbowym trzymanym oburącz.

Uśmiechnął się do niej. W tej chwili wydała mu się przepiękna.

Obudził się nagle zlany potem. Wstał, podszedł do okna i je otworzył.

Cztery piętra niżej ulica lśniła od deszczu. Pulsowały na żółto światła śmieciarki, dwóch pracowników przetaczało i podpinało kontenery z odpadami.

Podniósł wzrok ponad dachy, ku światłom górnej części miasta. Jesteś tam gdzieś, czuję to, wiem to. Chyba jeszcze nie skończyłeś swojego strasznego zadania... Muszę cię zatrzymać.

Od morza nadszedł dźwięk syreny wypływającego statku. Lojaco pomyślał o Sycylii, o Marinelli.

Obaj jesteśmy tutaj samotni. Ja i ty. W przeciwnym razie ktoś by cię rozpoznał. Ale jesteś niewidzialny, tak jak ja. To miasto jest jak cholerny mur, za którym się chronisz, a ja nie jestem w stanie go zburzyć.

Ale dopadnę cię. Przysięgam.

XLV

Wezwali wszystkich na dziesiątą. Laura, która dzwoniła z zaproszeniem osobiście, wolałaby dać profesorowi Rinaldiemu czas, żeby choć częściowo poradził sobie z traumą. Zwłoki jego syna wciąż były przetrzymywane w zakładzie medycyny sądowej, więc pogrzeb mógł się odbyć najwcześniej nazajutrz. Ale nie mogli tyle czekać z przesłuchaniem.

O dziwo, wbrew temu, co prorokował Scognamiglio, napotkała natychmiastową gotowość ze strony całej trójki rodziców ofiar. Wystarczyło powiedzieć, że jest to kluczowe dla powodzenia śledztwa.

Lojaco przyjechał do jej biura prosto z domu. Wyglądał jak ktoś, kto niewiele spał, albo nawet wcale. Przyjęła go od razu.

– No więc, jak postępujemy? Bierzemy od razu całą trójkę?

– Zależy nam na tym, żeby ustalić, czy się znają, czy istnieje jakaś relacja. To może być powodem wszystkiego. Nie jest powiedziane, że są tego świadomi, może nie przypomną sobie od razu, to może być coś nieistotnego z ich punktu widzenia, coś sprzed wielu lat. W tej fazie musimy ustalić, czy istnieje ewentualna znajomość. Tylko tyle. Jeśli tak, to drążymy sprawę.

Prokurator schowała twarz w dłoniach.

– Jestem zmęczona. Zmęczona i zmartwiona. Widział pan poranne gazety? Jedna ma nawet wywiad z amerykańskim profilerem, który doszedł do wniosku, że chusteczki to tylko taka maskarada, a zabójcą jest szaleniec i że na pewno znowu uderzy. Ton artykułów i wiadomości telewizyjnych jest groźny.

– Ale co nas to obchodzi? Ważne, żeby się dowiedzieć, czy zabójca ma zamiar jeszcze zabijać, i w porę go zatrzymać. A do tego musimy zrozumieć, dlaczego zabijał, wedle jakiego schematu.

Piras pokręciła głową.

– Nie, to nie tak. Zgiełk w mediach służy zabójcy. Paraliżuje i wpływa na nas. Dzięki niemu on ma święty spokój i może działać. Musimy się spieszyć, zanim to wejdzie na jeszcze wyższe obroty. Boję się, że mogą nam de facto odebrać śledztwo, przysyłając jakiegoś typa z Rzymu. W tych czasach, wie pan, ministrowie dbają o wizerunek.

Lojacono zaśmiał się sarkastycznie.

– Nie wątpię. Dlatego musimy działać. Zróbmy tak: będziemy ich wprowadzać do pokoju pojedynczo, przyglądać się wyrazowi ich twarzy. Potem zagramy w otwarte karty, powiemy, co naszym zdaniem może być powodem zabójstw. I zobaczymy, jak zareagują.

Laura nie była przekonana.

– Niech pan posłucha. Zamierzam zweryfikować pańską teorię, ale to nie jest jedyny kierunek. Słyszał pan wczoraj swoich kolegów? Jest zawsze jakaś możliwość, że macza w tym palce camorra albo, równie dobrze, że to wariat, który uderza na oślep za każdym razem w innej dzielnicy, żeby nie wpaść. Rodzice zabitych mają dostęp do prasy, do telewizji. Dwoje z nich ma wysoko postawionych znajomych we władzach. Nie dzieliłabym się z nimi pańską teorią i nie dopuszczałabym do tego, żeby pomyśleli, że działamy po omacku.

Lojacono się zamyślił.

– Dobrze, jak pani sobie życzy. Po prostu się im przyjrzymy, zadamy parę obojętnych pytań. Jeśli nie znajdziemy żadnego powiązania między nimi, nigdy nie zatrzymamy Krokodyla. Wie pani o tym równie dobrze jak ja.

Zanim zdążyła odparować, zapukała sekretarka, zapowiadając przybycie profesora Sebastiana Rinaldiego, ojca trzeciej ofiary.

Był to bardzo elegancki pan pod sześćdziesiątkę w szarym na miarę szarym garniturze, przez ramię miał przewieszony mokry płaszcz. Zaczesane gładko do tyłu szpakowate włosy dodawały mu autorytetu. Wizerunek się liczy, mówiła Laura. Lojacono pomyślał, że ma przed sobą potwierdzenie jej tezy.

Wszystko nieskazitelne, z wyjątkiem oczu. Były jak okno szeroko otwarte na otchłań rozpacz. Wobec uczuć, jakie wyrażały, dbałość o wygląd wydawała się groteskowa. To był człowiek w stanie całkowitego załamania, nie dało się go ukryć.

Piras, starając się unikać jego spojrzenia, poprosiła, by usiadł na jednym z czterech krzeseł przed jej biurkiem.

– Przede wszystkim proszę przyjąć moje kondolencje. Przepraszam, że wezwałam pana tak wcześnie, ale ścigamy się z czasem, żeby jak najszybciej doprowadzić zabójcę przed oblicze sprawiedliwości.

Usiadł sztywno, po czym odezwał się ostrym, zachrypniętym głosem:

– Muszę pani coś od razu na wstępie powiedzieć. Moje życie zakończyło się wczoraj. Mój syn Donato jest... to znaczy był jedynym powodem, dla którego po śmierci żony wstawałem co rano i szedłem do pracy. Minuta po minucie

szukowałem mu przyszłość. Znałem go bardzo dobrze, wiedziałem, co robi, co myśli, i mogę panią zapewnić, że nic z tego, kim był albo co myślał, nie mogło stanowić powodu do... O niczym innym nie myślałem przez ostatnie dwadzieścia sześć godzin. Odtworzyłem sobie krok po kroku całe jego życie. Nikt nie miał powodu, by mu je odebrać.

Brzmienie tych słów było jak nieprzyjemny smród, który zatrzał powietrze. Piras patrzyła na swoje ręce leżące na blacie, jakby zajęta swoimi myślami. Podniosła wzrok i Lojacono nagle usłyszał w jej głosie czułość, jakiej nigdy by się nie spodziewał.

– Proszę mi wierzyć, że rozumiem. Nie mam dzieci, ale rozumiem. Jak pan zapewne wie, pana syn zginął jako trzeci z rąk, tak przypuszczamy, tego samego sprawcy. Nie wiemy, czy zabójca już zakończył tę... tę sekwencję. Musimy liczyć się z najgorszym, dlatego prosimy pana o współpracę. To jest inspektor Lojacono, należy do zespołu dochodzeniowego, jeśli pan pozwoli, zada panu teraz kilka pytań.

Rinaldi skierował wzrok na inspektora, jakby dopiero w tym momencie zauważył jego obecność. W oczach miał cierpienie, ale też bezradność wobec czegoś, czego nie rozumiał, oraz gniew.

– Nie będę mógł odetchnąć aż do chwili, kiedy ten, kto to zrobił, zostanie ukarany. Za wszelką cenę. Słucham, inspektorze.

Lojacono nie tracił czasu na wstępy.

– Muszę zadać szczegółowe pytanie, mam nadzieję, że nie poczuje się pan urażony. Chodzi mi tylko o to, byśmy szybko osiągnęli nasz wspólny cel. Mówił pan, że długo zastanawiał się nad życiem syna i że nie znalazł pan żadnego powodu do tego, co zaszło. Czy tak?

Lekarz powoli przytaknął.

– Absolutnie tak. Od paru miesięcy miał dziewczynę. Mówił mi o niej tylko przelotnie, sądzę, że zamierzał do tego tematu powrócić, gdyby sprawa stała się bardziej poważna. Zasięgnąłem informacji o niej, dobra dziewczyna. Dziś rano przyszła do mnie do domu, była zdruzgotana. To ja musiałem ją pocieszać, wyobraża sobie pan?

– Przykro mi, rozumiem. Moje pytanie jest jednak inne i dotyczy pana. Proszę się dobrze zastanowić, zanim pan odpowie. Czy jest ktoś, kto tak pana nienawidzi z jakiegoś powodu, że mógłby posunąć się do czegoś takiego?

Cisza. Twarz lekarza ani drgnęła. Siedział dalej sztywno, z płaszczem na kolanach. Wreszcie się odezwał:

– Rozumiem. Zabieracie się za grzebanie w życiu innych, bo z życia zabitych dzieci nic dla was nie wynika.

Piras uznała, że musi pospieszyć na pomoc inspektorowi.

– Nie, to nie tylko tak. Po prostu nie możemy pominąć żadnego tropu. Jest pan znaną postacią, szeroko znaną, i zajmuje się zdrowiem ludzi. Gdyby ktoś miał powody, żeby czuć do pana złość, mógł posunąć się do tego rodzaju zemsty.

– I jeszcze zabić też dwoje innych młodych ludzi, którzy nie mieli ze mną nic wspólnego, żeby zamaskować prawdziwy cel?! Nie wydaje się to pani grubo przesadzone?

Prokurator nie zmieniła wyrazu twarzy, ale głos jej nabrał szorstkiego tonu.

– A ma pan jakąś lepszą hipotezę, profesorze? Może pan skierować nas na inny trop?

Lekarz przez chwilę milczał, potem zwrócił się w stronę Lojacono:

– Nie, inspektorze, nie przypominam sobie nikogo, kto by mnie tak nienawidził, żeby doprowadzić... żeby zabić mojego syna. Ma pani rację, pracuję w służbie zdrowia, zdarza się, że pewne zabiegi nie kończą się pożądanym skutkiem. Ale miałem szczęście, nigdy mi się nie przydarzyło, jak niektórym moim skądinąd znamienitym kolegom, żeby oskarżono mnie o błąd w sztuce. Z biegiem czasu krąg moich pacjentów się, że tak powiem, zacieśnił. Miało to tę zaletę, że rzadko zajmowałem się przypadkami ostrymi i pilnymi, zatem margines mojego błędu był wąski. Współpracuję ściśle ze szpitalem, więc moja praktyka raczej nie pociąga za sobą ryzyka.

– A jeśli chodzi o inne aspekty pana życia? Na przykład finanse, inwestycje. Albo życie uczuciowe?

Rinaldi wziął głęboki oddech i odpowiedział:

– Wystawia pan moją cierpliwość na dużą próbę, inspektorze. Odpowiem, bo obiecałem współpracować, ale zrobię to tylko ten jeden raz. Po śmierci mojej żony poświęciłem się całkowicie wychowaniu syna i pracy. Powierzyłem sprawy finansowe księgowemu, staremu przyjacielowi rodziny, który dostał polecenie, by unikać ryzyka i nie inwestować w prywatne przedsięwzięcia. Możecie sprawdzić, wszystko jest w moich deklaracjach podatkowych. Nie interesuję się tym, sprawdzam tylko bilans pod koniec roku, szczerze mówiąc, interesuje mnie tylko, czy suma końcowa jest wyższa od tej z poprzedniego roku. Teraz nawet i to przestanie mnie obchodzić. Co zaś do spraw uczuciowych, jak pan to nazywa, absolutnie nic. Nie miałbym serca podsuwać swojemu synowi nowej osoby w miejsce jego matki, która była cudowna pod każdym względem. W moim wieku

już nie czuję potrzeby bycia z kimkolwiek.

Lojacono pomyślał o Krokodylu i zebrał siły.

– Przykro mi, że tak z panem rozmawiam, ale przede wszystkim zależy mi na złapaniu tego sukinsyna. I jeśli przy okazji muszę okazać się niedyskretny, to trudno. Tak więc nie będę przepraszał, że pytam o te sprawy.

Nieoczekiwanie na twarzy Rinaldiego pojawił się grymas, który mógł przypominać uśmiech.

– To ja przepraszam, inspektorze. Duma i miłość własna to zła choroba, nie ma na nią lekarstwa. Zapewniam, że będę myślał o pana pytaniach. I gdybym znalazł w przeszłości coś, co mogłoby się wiązać z tym... Natychmiast się zgłoszę.

Piras go zatrzymała:

– Muszę pana poprosić o jeszcze chwilę cierpliwości. Wezwaliśmy matki pozostałych ofiar i chciałabym, aby się pan z nimi krótko spotkał. Mam wam wszystkim razem coś do przekazania. Zechce pan jeszcze z nami pozostać?

Rinaldi przytaknął.

– Nie mam nic pilnego i ważnego do roboty, jestem do waszej dyspozycji.

W tej chwili do pokoju zajrzała sekretarka, mówiąc:

– Obie panie właśnie dotarły.

XLVI

Kochana, Kochana moja,

już prawie koniec. Ostatni obrót karuzeli. Ładna metafora, musisz przyznać. A może nie, jak się chwilę zastanowię. Jest jeszcze za wcześnie na karuzelę. Wreszcie otworzyłem okno. Tylko trochę, powiedzmy, że odsunąłem zasłonę.

Panorama tego miasta robi na mnie marne wrażenie. Wydaje mi się scenografią z tektury, wiesz, taką jak w tandetnych serialach. Za którą nie ma nic.

Wszyscy chodzą przygarbieni, jeśli patrzą na siebie, to z nienawiścią albo strachem. Pasuje mi to bardzo – wiesz, co mam do zrobienia. Ale oni? Pamiętam Twoje słowa, kiedy mi opowiadałaś o tutejszych ludziach. I jak zwykle zgadzam się z Tobą. Masz rację.

Ale nie mam czasu na rozmyślanie. Zostało sporo do zrobienia, nie mogę zajmować się czymś innym.

Wczoraj opracowałem pierwszy plan, chyba będę musiał zrezygnować z pomysłu, żeby zrobić to, kiedy on jest w domu. Zbyt niebezpiecznie, za dużo zmiennych czynników. Nie tak jak za każdym poprzednim razem. Teraz będę miał tylko jedną możliwość i nie mogę się pomylić. Przyłożyłem się więc i zanotowałem rozkład dnia, każdy ruch. Nie było to proste, bo on ma nieregularną pracę, jeździ na budowy, nie ma stałych godzin. Czasami wręcz zostaje w domu całe popołudnie, widzę go stąd. Bawi się z małą.

Dziwne, nie sądzisz? Niemłody ojciec, a tak skupiony na córce i tak nią zajęty. Jeśli masz aż tak silny instynkt, jeśli to dla ciebie takie ważne, to... dbasz o to wcześniej, prawda? No dobra, dla nas to nieważne, Kochana. Ważne, że prawie skończyłem i niedługo znów wezmę Cię w ramiona.

Ona za to wydaje się taką niedzisiejszą kobietą, przypomina mi trochę twoją matkę. Jest całkowicie mamą, w środku i na zewnątrz. Trzeba było ją zobaczyć, kiedy spogląda na córkę, przemienia się, jakby z jej wnętrza biło światło.

Pomyślałem, że będę musiał trochę się przeorganizować w stosunku do tego, co przewidziałem. Ale nie powiem Ci jak, chcę, żebyś miała niespodziankę.

W każdym razie zostało niewiele do zrobienia. Kwestia dni.

Tylko parę dni.

Kochanie moje.

XLVII

Lojacono skupił się maksymalnie, świadom, że chwila, gdy cała trójka spotka się po raz pierwszy, będzie kluczowa. Poleciał, żeby obie kobiety w momencie, gdy się zjawia, zostały zaprowadzone do osobnych pokoi. Chciał sprawdzić, czy w chwili spotkania zauważy jakiś znak, że się rozpoznają albo przynajmniej na moment zawahają.

Wraz z Laurą przypuszczali, że istnieje możliwość, że Rinaldi i De Matteis mogą się znać. Należą do elity miasta, było to dość małe środowisko. Prawie niemożliwe, żeby się nigdy dotąd nie spotkali.

De Matteis weszła w towarzystwie policjanta. Podobnie jak na pogrzebie córki była ubrana starannie, włosy uczesane, lekki makijaż, elegancka garsonka, wokół szyi jedwabna chustka. Oczy chroniły się za ciemnymi okularami. Lojacono przypomniał sobie jej pełen obłędu wzrok, gdy widział ją poprzednio. Wchodząc, skłoniła się prokurator, która już ją raz przesłuchiwała, potem dostrzegła i poznała Rinaldiego, podała mu rękę.

– Panie doktorze, wszystko wiem, moje kondolencje.

Rinaldi uśmiechnął się ustami, ale nie oczyma, i lekko uścisnął jej dłoń.

– Jest mi przykro z powodu pani żałoby.

Zwyczajni znajomi, podsumował Lojacono. Nie łączyło ich nic poza wspólnymi znajomościami. Ale i tak zadał pytanie:

– Państwo się znają?

Rinaldi odwrócił się do niego.

– Spotkaliśmy się na paru imprezach dobroczynnych i jakichś świętach. Nie mam bogatego życia towarzyskiego, a pani De Matteis nie jest moją pacjentką.

Potwierdziła to ruchem głowy.

– Tak, chyba ostatni raz rok temu, na przyjęciu u Piromallich.

A więc z tej strony nic. De Matteis siadła na fotelu, Rinaldi też powrócił na miejsce i zasiadł sztywno. Oboje byli skonfundowani cierpieniem drugiej osoby. Przelotna znajomość nie stwarzała aż takiej więzi, by mogli dać upust cierpieniu. Wypracowany przez długie lata chłód nie pozwalał im na to. Sytuacja robiła się

trudna.

Piras jednak spróbowała pchnąć sprawę do przodu.

– Jak już wyjaśniałam panu doktorowi, staramy się znaleźć jakiś inny trop, żeby wyjaśnić tragedię, która was dotknęła. Sami rozumiecie, że związek między ofiarami, o ile taki zachodzi, zawęziłby nam pole poszukiwań winnego. Z tego powodu musimy zadać parę pytań, które mogą wydawać się, by tak rzec, niedyskretne. Prosimy o cierpliwość i zrozumienie.

Na twarzy kobiety pojawił się grymas.

– Cierpliwość, pani powiada? Mamy aż nadto cierpliwości, jesteśmy w głębokim dole, z którego już nie wyjdziemy. I niewiele się zmieni, proszę mi wierzyć, jeśli go dopadniecie i poćwiartujecie na naszych oczach. Dla nas na to... Na tę tragedię nie ma już żadnej rady.

Mówiła prawie szeptem, ale Lojacono poczuł dreszcz na plecach. Piras nie dawała się jednak zbić z pantałyku. Odpowiedziała łagodnym tonem:

– Widzi pani, to tym bardziej powód, żeby nam pomóc. Zapytam panią o to samo, o co pytaliśmy pana doktora. Czy jest coś w pani życiu, niedawnym lub w dalekiej przeszłości, co dałoby powód do zemsty lub szantażu? Jakieś animozje, żal, osoba, która może czuć nienawiść do pani? Aż do dziś badaliśmy tylko krąg znajomych pani córki, nic z tego nie wynika. Teraz chcę skupić się na pani.

De Matteis długo milczała. Odezwała się wreszcie:

– Nie mam, proszę pani, łatwego charakteru. Moja Giada też często się ze mną kłóciła. Ostatnio, bo jak była mała, to rzecz wyglądała inaczej. Ale nic, naprawdę nic nie pozwala wyobrazić sobie czegoś takiego. Parę lat temu wyrzuciłam z domu gosposię, bo kradła. Wróciła do swojej wioski i więcej o niej nie słyszeliśmy. Jest jedna osoba, która mnie nienawidzi, z wzajemnością: to ojciec Giady, ale raczej bym go wykluczyła. Przyjechał na krótko z Ameryki właśnie po to, żeby oskarżyć mnie o wszystko, o co mógł. Już wrócił do siebie.

Piras przytaknęła.

– Rozumiem. I nie ma pani takich relacji z doktorem Rinaldim, żeby móc snuć teorie o związkach między waszymi rodzinami. Jesteśmy w punkcie wyjścia. Poprośmy panią Lorusso, której żadne z was nie zna, jak przypuszczam.

Spojrzeni po sobie, Rinaldi zaprzeczył ruchem głowy, De Matteis usiadła głębiej na krześle. Lojacono miał wrażenie, że zaraz nie wytrzyma i wyjdzie. Na znak dany przez Piras sekretarka przyprowadziła Luisę Lorusso. Przygarbiona, z oznakami zmęczenia i rozpacz na twarzy. Tragiczna maska cierpienia, na które nie ma leku.

Siwe włosy były jak zaczesane, spracowane ręce, ani śladu makijażu czy zabiegów upiększających. Na szyi medalion ze zdjęciem Mirka jako małego chłopca. Oczy bez wyrazu leniwie i bez zaciekawienia przesuwały się po przedmiotach w pokoju.

Lojacono pamiętał tamten straszliwy, bezgłośny krzyk, który tak oszpecił tę twarz w noc, gdy zabito jej syna. Było mu tej kobiety teraz bardzo żal. Bo była to osoba, która w przeciwieństwie do pozostałej dwójki rodziców nie miała zamiaru zachować żadnych pozorów. Ta kobieta faktycznie już nie żyła. Fakt, iż oddychała, był zupełnie przypadkowy i na pewno nie miało to długo potrwać.

Tak był zatopiony we własnych myślach, że o mały włos przegapiłby jedyny przebłysk świadomości, jaki pojawił się w jej oczach. To trwało tylko chwilę, tak krótką, że nie miał pewności, czy dobrze zauważył. Matka Mirka rozpoznała kogoś, a tym kimś był doktor Rinaldi. Natychmiast Lojacono zaczął go obserwować: zorientował się, że lekko zarumieniły mu się policzki. Ale odwrócił wzrok od kobiety i tępo gapił się w płaszcz rozłożony na kolanach.

Bingo! – pomyślał Lojacono. Spojrzał na Laurę i zorientował się, że ona widziała to samo.

– Dziękuję za przybycie. Prowadzimy śledztwo i jak pani zapewne wie, pani syn zginął w ten sam sposób, co dzieci tu obecnych. Państwo się znają?

Lojacono docenił profesjonalizm tego zabiegu: rzuciła pytanie jakby przy okazji, żeby dokonać prezentacji. Lorusso przybrała znów beznamiętny wyraz twarzy i bezmyślnie popatrzyła na panią prokurator. Nie usiadła, choć podsunęli jej krzesło.

– Nie znam tych państwa. Nie rozumiem, po coście mnie tu sprowadzili. Wszystko, co wiedziałam, już zeznałam. Przesłuchaliście całą kamienicę i kolegów Mirka. Chyba już macie wszystko, czego wam trzeba.

Łatwo było wyczuć jej wrogość. Pochodziła ze świata, gdzie policjant jest wrogiem, a nie kimś, kto może udzielić wsparcia. Było równie oczywiste, że kłamała, mówiąc, iż nie zna nikogo. Lojacono postanowił ją wspomóc.

– Proszę pani, spotkaliśmy się tamtej nocy. Ma pani rację, już została pani przesłuchana, podobnie jak wszyscy inni. Staramy się zrozumieć to, co się wydarzyło, żeby znaleźć zabójcę pani syna. Potrzebujemy pomocy, zarówno pani, jak i tych państwa tutaj. Bo jest taka możliwość, powtarzam, tylko możliwość, że zabójca nie miał porachunków z waszymi dziećmi, ale... z kimś innym. Że tym razem nie chodzi o przestępczość zorganizowaną. Jeśli uda nam się ustalić, czy jest między wami jakaś relacja, może ustalimy motyw. A wraz z motywem, również sprawcę.

Milczała. Wbiła wzrok w inspektora, jakby chciała dojrzeć coś za nim.

– A wam się wydaje, że jak dopadniecie tego, co zabił mi syna, to ja jeszcze będę żyła? Wydaje się wam, że jak go wsadzicie do pudła, to ja będę miała powód, żeby co rano wstawać, ubierać się i iść do pracy?

To samo w sumie mówiła De Matteis, pomyślał Lojacono. Ujrzał z powrotem obraz pleców Marinelli ze snu, głowę pochyloną nad zeszytem. Lorusso znów się odezwała.

– Tak czy siak, powtarzam, ja tych państwa nie znam. A w moim życiu, tak samo jak w życiu syna, nie było niczego tak strasznego, żeby ktoś chciał go zabić. Jestem pielęgniarką, panie inspektorze. Spotykam cierpiących ludzi, zrozpaczonych, którzy co dzień chcą umrzeć. Mój syn chciał żyć, a ja żyłam dla niego. Nie było nikogo, kto by nam źle życzył. A jeśli on ostatnio robił jakieś głupstwa, to tylko żeby polepszyć nasz byt. Ale szybko by mi się do tego przyznał, a ja bym go zatrzymała. Mogę już sobie iść?

Rinaldi i De Matteis także powstali. Piras zniechęconym gestem dłoni wskazała im drzwi. Wyszli.

XLVIII

Stella oddycha. Czuje zapachy i pamięta smaki. Rozpoznaje matkę, jej ciepło. Kształt jest nieokreślony, ale skóra przy skórze, twarz na dłoni, to rozpoznaje, a jakże. Nie do pomylenia.

Ledwo czuje dotyk sutka i ten specjalny zapach, zaczyna ssać. Wie, że za chwilę napłynie lepka i ciepła substancja, która ją odżywia. Przepyszna. Ale jeśli od razu nie dostanie jeść, nie płacze. Stella to pogodna dziewczynka.

Rozpoznaje też zapach taty. Silną dłoń, długie ramiona. Z nim to coś innego. Czuje się otoczona opieką, bezpieczna. Chce jej się spać, uśmiechnięta usypia błogo na rękach taty.

Stella się bawi.

Chce jej się śmiać, kiedy przewiduje następną zwrotkę piosenki, którą już zna. I kiedy ją bujają w górę i w dół, w górę i w dół. Rozpoznaje kolor piłeczek, lubi tę czerwoną, najpierw się kręci, a potem się zatrzymuje, wtedy chwyta ją w rączkę. Chciałaby ją ugryźć, ale wtedy od razu ją odbierają. Ale Stella nie płacze, po prostu rezygnuje.

Stella rozpoznaje swoje imię.

Wymawiają je z bezgraniczną czułością, szepczą do ucha. Za każdym razem, kiedy je wypowiadają, ktoś ją głaszcze, jest więc zadowolona i znów się uśmiecha.

Stella rozpoznaje miłość.

Jej malutki nos czuje ją jak zapach.

Słyszy ją, jak bicie serca, które jej towarzyszyło przez dziewięć miesięcy. Zalewa ją falą ciepła płynącą od osoby, która jej śpiewała tę samą kołysankę jeszcze na długo, zanim się narodziła. Osoby, która tak bardzo jej pragnęła.

Stella też kocha.

Oczarowuje ją głos ojca. Jego ciepły, głęboki ton rezonuje w jej małym ciele.

I przytula twarz do policzka mamy, kiedy ta wyciąga ją z kąpieli w kłębach pary.

Stella zasypia szczęśliwa, szykując się do życia.

XLIX

Kiedy zostali sami, Laura odezwała się pierwsza:

– Też się zorientowałeś, prawda? Lorusso zna Rinaldiego. Kiedy go zobaczyła, miała błysk w oku, ale zaraz się ogarnęła.

Przeszła na ty, co nie umknęło jego uwagi. Postanowił się dostosować.

– Tak, widziałem. On też ją poznał, spuścił wzrok. Mówiłem ci, że musi być jakaś relacja. Teraz trzeba odkryć jaka.

– I trzeba się pospieszyć. Tempo rozwoju tej sytuacji zaczyna mnie niepokoić. Tydzień między pierwszym a drugim zabójstwem, tylko trzy dni między drugim a trzecim. Jeśli Krokodyl coś zamierza, nie będzie zwlekał. Dziwne to wszystko: zabójstwa pozornie tak trudne do przeprowadzenia, dokonane praktycznie w domach ofiar, i zawsze umiał się wywinąć. Musi mieć farta, że nikt go nie zauważył.

Lojacono wstał i zaczął chodzić po pokoju. Oczy zwęziły mu się do dwóch szparek, co podkreślało orientalny wygląd jego twarzy.

– Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. To kwestia metody. Po prostu przygotowuje wszystko, krok po kroku, etap po etapie. Metoda krokodyla: czai się, obserwuje, czeka i kiedy ofiara jest w jego zasięgu, uderza. Nie może sobie pozwolić na błąd, działa tylko wtedy, kiedy ma całkowitą pewność.

Piras kiwała głową ze zrozumieniem, ale nie wydawała się całkiem przekonana.

– Ale coś szybko mu idzie. Czy odstęp między zabójstwami nie jest za krótki, żeby miał czas się dobrze przygotować?

Lojacono stanął i popatrzył na nią.

– Nie, jeśli przygotowania zaczęły się znacznie wcześniej. Nie, jeśli wszystkie zbrodnie zaplanował razem.

Po namyśle odrzekła:

– W takim razie musimy szybko ogarnąć, skąd Lorusso zna Rinaldiego. To jedyny sposób, żeby dotrzeć do Krokodyla. Co proponujesz?

Lojacono sięgnął po płaszcz.

– Pójdę sam do Lorusso. Jeśli mi się nie uda, spróbujemy z doktorem. Gdybyśmy uderzyli do niego pierwszego, zaraz uruchomiłby jakieś znajomości i mógłby nas

zablokować.

– No to idź i melduj zaraz. Może już czas, żebyśmy też mieli farta.

Luisa Lorusso przed powrotem do domu zaszła na cmentarz. Chodziła tam co kilka dni, miała taką potrzebę. Tylko tam czuła się choć trochę żywa, kiedy mogła ułożyć kwiaty, sprawdzić, czy znicz się pali.

Żyła dla Mirka, i tylko dla niego, kiedy prasowała mu koszule, kiedy sprzątała w jego pokoju, który wyglądał jak po wybuchu bomby, taki panował w nim bałagan. Czuła, że żyje, kiedy czekała na niego do późna, żeby uświadomić mu, jak niebezpieczna jest noc, choć czuł się jej panem. Czuła, że żyje, kiedy marzyła o przyszłości tego wesołego, nieustraszonego chłopaka, dzień po dniu. Przyszłości, która miała nie nadejść, o czym żadne z nich nie wiedziało.

Wracając do domu, zastanawiała się, skąd weźmie siły, żeby przeżyć choćby jeden dzień więcej. Jaki znajdzie powód do życia? Zaskoczyło ją, gdy zobaczyła doktora, ale przygnieciona swoim cierpieniem poczuła tylko echo dalekich wyrzutów, od dawna wypartych. Przypadkowe spotkanie, nic więcej. Szaleniec, zabójca dopadł też inne osoby, ale co z tego? Co to dla niej zmieniało? Umarła wraz z Mirkiem i tyle. Równie dobrze mógł się skończyć cały świat, dla niej to bez różnicy.

Na szczycie schodów przy drzwiach stał policjant, ten sam, co był tu w nocy, i ten sam, co ją przesłuchiwał na komendzie.

– Czego jeszcze chcecie? Co mam zrobić, żebyście mi dali święty spokój?

Lojacono patrzył beznamiętnie.

– Muszę z panią porozmawiać, dobrze?

Luisa przekroczyła próg, nie odpowiadając, ale zostawiła otwarte drzwi. Inspektor wszedł i zamknął je za sobą.

– Proszę pani, dalej nie wierzę, że nic pani nie obchodzi, że po ulicach wciąż krąży zabójca pani syna, gotowy, żeby znów to zrobić. Mam córkę i gdybym pomyślał, że ktoś chce ją skrzywdzić, chciałbym go dopaść i zabić. Czy jest możliwe, że pani tego nie czuje?

Pozostała bez ruchu, gapiąc się na niego, z rękoma schowanymi pod czarną chustą. Wyglądała jak rzeźba. Potem powoli wysunęła spod stołu krzesło i mu je wskazała.

– Miałam tylko jednego mężczyznę. Był żonaty, miał swoją rodzinę. To był „facet z miasta”, jak się u nas mówi. Robił rzeczy, że tak powiem, niebezpieczne.

Ale kochaliśmy się. A kiedy już byłam w ciąży, został zabity. Nie mogłam nawet pójść na pogrzeb, była tam jego rodzina, zatłukliby mnie, wszyscy o nas wiedzieli. Miałam dyplom pielęgniarki, lubiłam się uczyć, nie tak jak moje siostry i bracia, którzy spędzali całe dnie na ulicy. Wzięłam się do roboty.

Lojacono czekał. Liczył, że dostanie jakąś informację, i wiedział, że ta opowieść to delikatna, cienka nić, jedyna, na której wisiała jego nadzieja.

– Syna zostawiałam u sąsiadki, tej samej, co ją pan widział, kiedy płakała ze mną tamtej nocy. Tu się tak robi, wie pan. Dzieci należą do całej kamienicy. Dopiero za bramą zaczyna się wojna. Ale po mojego syna przyszli prawie pod drzwi domu.

Mamrotała, a w sąsiednim mieszkaniu radio grało na cały regulator. Musiał się bardzo skupić, żeby ją zrozumieć.

– Pani prokurator mówiła, że być może to nie była camorra. Ja jestem pewna, że to nie była camorra. Oni załatwiają takie sprawy inaczej, robią to z przytupem, bo to ma być nauczka dla innych, żeby nie robili pewnych błędów. A ten czał się w cieniu, jak szczur.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Też jestem przekonany, że chodzi o coś innego, że wszystkie trzy zabójstwa to wynik jakiegoś innego planu. Jeśli zdołamy zrozumieć, o co chodzi, na pewno go dopadniemy.

Luisa wybuchła nagle śmiechem. Szaleńczym. Śmiały się tylko jej usta, nie oczy. Lojacono przeszedł dreszcz. Dopiero w tej chwili zobaczył, że jest młoda i do jakiego stopnia życie ją postarzyło.

– Chcecie go zatrzymać? A jak już zrobił wszystko, co miał do zrobienia?

Począł, aż minie jej histeria.

– Proszę pani, mam córkę, już mówiłem. Dziś w nocy śniłem, że ktoś w ciemności się jej przygląda, zagraża jej. I nie mogłem nic zrobić. W tym mieście właśnie tak jest: patrzą na ciebie z cienia, nikt ich nie widzi. Pani syn był pierwszy, nikt nie mógł tego przewidzieć, zapobiec. Potem zabito dziewczynę z Posillipo, też tego nie można było przewidzieć ani zrozumieć. Ale teraz zginął syn profesora Rinaldiego. Zorientowałem się, że znała pani Rinaldiego. Proszę nie zaprzeczać, widziałem to, prokurator Piras zresztą też. Po to żeśmy was zebrali razem, żeby sprawdzić, czy się znacie.

Gapiała się w pustkę. Po jej policzkach ciekły łzy wywołane przez konwulsyjny śmiech. A może to były całkiem nowe łzy. Lojacono ciągnął dalej:

– Aż do dziś, pani Lorusso, to, co się stało, nie było pani winą. Nie mogła pani

wiedzieć, nie mogła pani nam pomóc. Ale od dziś, od kiedy pani wie, że te niewinne ofiary mogą mieć związek z czymś, o czym pani wie, wina będzie także po pani stronie. Jeśli znowu ktoś zginie, to tak jakby pani syn, moja córka i reszta tych dzieciaków zginęła przez panią. Udźwignie pani taki ciężar?

Nastąpiła ciężka, śmiertelna cisza. Za ścianą piosenkarz śpiewał o zdradzie i hańbie przyjaciela. Ostry zapach cebuli wypełniał powietrze. Lorusso spojrzała w twarz inspektorowi.

– Znam go, a jakże. Dobrze znam profesora Sebastiana Rinaldiego. Znam go z czasów, kiedy nie był profesorem, ale za to potrzebował pieniędzy, i to dużo pieniędzy. Robił pokątne skrobanki w kamienicy przy via Foria. Byłam jego pielęgniarką.

L

Luisa Lorusso wypowiadała te słowa z przerwami, głosem złamanym obecnym cierpieniem i wspomnieniem dawnej krzywdy.

Wybrzmiały na tle odgłosów z radia sąsiadów. Pośród smrodu czosnku i cebuli z mieszkań, gdzie szykowano obiady. Na tle syren przecinających uliczny zgiełk, klaksonów i hałasów silników duszących miasto.

Wybrzmiały w ołowianym świetle kolejnego deszczowego popołudnia, pośród łez nieba, które bezustannie opłakiwało zmarłych.

A wraz z nimi powróciło wspomnienie czterech lat pracy pielęgniarki z biednej dzielnicy, która zarabiała, żeby móc utrzymać relację z członkiem camorry poza swoją i jego rodziną. Potrzebowała pieniędzy, żeby kupić mieszkanie, gdzie do tej pory przebywała i gdzie miał się potem urodzić jej syn. Pracowała z młodym, ambitnym ginekologiem, który chciał mieć wszystko i zaraz, który potrzebował pieniędzy, żeby otworzyć renomowany gabinet w dobrej dzielnicy.

Spotkali się przypadkowo w domu pewnej starszej, obłożnie chorej pani, której robiła kroplówki. Doktorowi wydała się idealną kandydatką: zero wspólnych znajomości, całkiem spoza środowiska, sprawna, szybka, zdeterminowana, nieprzejmująca się takimi sprawami jak prawo i przepisy. Poza tym mogła mu znajdować klientki ze swojego kręgu.

Proceder był bardzo prosty: wynajęte mieszkanie przy przelotowej ulicy, anonimowe i łatwo osiągalne. Umowa spisana na fikcyjną firmę, żadnej tabliczki przy domofonie. Numer telefonu przekazywany z zachowaniem dyskrecji. Szybka i cicha fabryka aniołków. Oboje umówili się, że przestaną, kiedy osiągną cel: mieszkanie na ostatnim piętrze starej kamienicy w biednej części miasta oraz gabinet przy via dei Mille. I tak też się stało.

Od dziewięćdziesiątego drugiego do dziewięćdziesiątego szóstego, kiedy urodził się Mirko. Potem Lorusso to rzuciła, miała już swoje dziecko i te zabiegi robiły na niej wrażenie. Zaczęła znów chodzić po domach chorych, znowu zastrzyki i kroplówki. Zarabiała znacznie mniej. Ale wieczorami brała na ręce Mirka, śmiała się do niego a on do niej. Tyle wystarczyło.

– Opowiedziałam to panu tylko dlatego, niech pan pamięta, bo już nie chciałam

pomagać w zabijaniu dzieci, od kiedy urodził się Mirko. A teraz jak go nie ma, nie chcę znowu zaczynać.

Lojacono namyślał się: cztery lata.

– Pamięta pani może coś, kogoś, jakiś nieudany zabieg, coś w tym rodzaju?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– To były proste sprawy. Zabieg trwał pół godziny, dawaliśmy na kartce nazwę antybiotyku, które pacjentki miały brać, i do widzenia. Nie wracały, więc nie wiedzieliśmy o nich nic. Zostawiały pieniądze w gotówce i wychodziły. Niektóre płakały, inne były zadowolone, bo się uwolniły od kłopotu. Kiedy się dowiedziałam, że będę miała dziecko, ani przez chwilę nie pomyślałam, że mogłabym to zrobić.

Wstał. Nagle poczuł, że musi bardzo szybko działać.

– Zrobiła pani dobrze, proszę mi wierzyć. Obiecuję, że nikt nie będzie pani niepokoił w związku z tym, co mi pani powiedziała.

Przez cały czas stała, dopiero teraz opadła na krzesło, jakby wypłukana z resztek energii.

Spojrzała na Lojacono i uśmiechnęła się łagodnie. Po raz pierwszy widział u niej taki wyraz twarzy.

– Niepokoić? Nic pan nie zrozumiał. Nikt mnie już nie może niepokoić. Jestem martwa, nic się dla mnie nie liczy. Nic.

LI

Laura Piras nie dała się zarazić entuzjazmem Lojacono.

– Jasne, rozumiem, Rinaldi i Lorusso praktykowali pokątne aborcje ponad piętnaście lat temu. To nam wyjaśnia, co ich łączyło, ale musimy jeszcze wiedzieć, co ma z tym wspólnego De Matteis, o ile w ogóle ma. A potem jeszcze musi nam to potwierdzić Rinaldi, który raczej nie będzie miał ochoty, żeby podważyć swoją nieposzlakowaną opinię. Jesteśmy ciągle w punkcie wyjścia.

Lojacono pokręcił głową.

– Laura, słuchaj. Zgadza się, od Rinaldiego nie wydusimy potwierdzenia. Ale nie potrzebujemy go. Interesuje nas rola De Matteis, tego brakuje do układanki. Nie prowadzimy śledztwa w sprawie przestępstw sprzed wielu lat, musimy tylko zrozumieć, co wyprawia Krokodyl. Potem będziemy mieli czas, żeby uporządkować sprawy z Rinaldim, o ile się uda. Na razie skupmy się na tym. Im dłużej w tym siedzę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że zabójca nie skończył.

Na dźwięk swojego imienia Piras odczuła skurcz w żołądku. Po raz pierwszy od wielu lat, zbyt wielu, zdarzyło jej się coś takiego. Postanowiła zastanowić się nad tym później, kiedy będzie spokojniej, i skupiła się na temacie rozmowy.

– Mogę się z tobą zgodzić, na razie wyciąganie zeznań od Rinaldiego zajęłoby zbyt dużo cennego czasu i wywołało przykre konsekwencje, żona prokuratora okręgowego jest jego pacjentką. Dlaczego sądzisz, że Krokodyl znowu zabije?

Lojacono zrobił nieokreślony gest ręką.

– To głównie kwestia tempa. Między drugim a trzecim zabójstwem, jak sama zauważyłaś, minęło mniej czasu niż między pierwszym a drugim. Z uwagi na jego metodę, bazującą na wiedzy czerpanej z dokładnej obserwacji, skrócenie czasu oznacza zwiększenie ryzyka. A dlaczego miałyby powiększać ryzyko, jeśli nie dlatego, że ma jeszcze coś do zrobienia? Jeśli dobrze rozumiałem jego sposób myślenia, musimy się spodziewać kolejnego ciosu. Jeśli trzecia ofiara nie była ostatnią z listy, to następna będzie jeszcze szybciej.

Patrzyli na siebie długo. Piras przeciągnęła dłońmi po włosach i zaczęła bawić się lokiem. Lojacono nie mógł nie zauważyć, jakie to na nim zrobiło wrażenie.

– Zrozumiałam. Trochę mnie strach ogarnia, kiedy słyszę, jak dobrze się

rozeznajesz w umyśle Krokodyla. Jakbyś miał z nim jakiś kontakt. Ale przyznaję ci rację. Teraz musimy zrozumieć rolę De Matteis. Chyba że to nie ona, a ojciec dziewczyny jest celem zabójcy. Albo dziadek, albo najlepsza przyjaciółka. Działamy po omacku, zresztą tak jest od pierwszego dnia. Nic się nie zmieniło.

Lojacono się uśmiechnął.

– No, zasłużyliśmy na mały łut szczęścia, czyż nie? Jadę porozmawiać z szanowną panią.

Laura wstała.

– Nie, to ja do niej pojadę. Mogłaby nie chcieć rozmawiać z policjantem i spowodować przez swoje kontakty interwencję z góry, nie możesz sobie na to pozwolić. Raz na jakiś czas chcę poczuć zapach pola bitwy. W sumie to oboje pracujemy nad potwierdzeniem tej teorii, prawda? Czy chcesz mieć całą zasługę dla siebie?

Letizia przekroczyła próg komisariatu San Gaetano. Nie było jej łatwo podjąć decyzję, żeby się tam wybrać. Ale w końcu jej się udało. Wieczór w wieczór czekała na Lojacono w knajpie. Stolik w rogu pozostawał zawsze wolny, nawet jeśli w strugach deszczu stała kolejka chętnych.

Czekała na niego, najpierw z zaciekawieniem, potem z irytacją, jakby podszyta lekką zazdrością, wreszcie z niepokojem. Podając do stołów i zbierając niezmiennie gorące pochwały pod adresem swoich dań, igrając z zalotnymi komentarzami gości, wciąż odczuwała troskę o zdrowie przyjaciela.

Mieszka sam, gdyby mu nagle coś się stało, to kto się zorientuje? Na pewno nie jego koledzy, którzy, z tego, co opowiadał, ledwo się z nim witają. Ani żona na odległość, ma z nią rzadkie i trudne relacje. Ani tym bardziej córka, z którą nie rozmawia prawie od roku. Nie ma nikogo. Poza mną.

Ta myśl doskwierała jej coraz bardziej, wreszcie postanowiła pójść i sprawdzić. Nie wiedziała, gdzie mieszka, Lojacono zawsze był oględny w opowiadaniu o swoich sprawach, a ona na pewno nie ośmieliłaby się zapytać. Gdzieś tam, wskazywał ręką przez szklane drzwi lokalu. Jedno z tysiąca światełek płonących w nocy. Wiedziała za mało, żeby szukać go w domu. I nie mogła zapytać o adres, nie wywołując plotek, których nie chciała. Został jej komisariat.

Przygotowała tacę ciastek, tak żeby nie przychodzić z pustymi rękoma. Pora roku była właściwa, przypominała sobie też pewien wieczór, kiedy go poczęstowała jakimś wypiekiem. Na początku był sceptyczny, bo upierał się, że nie ma na świecie lepszych ciast niż sycylijskie, ale zaraz potem miał zaskoczony i zachwycony wyraz

twarzy. Poprosił o dokładkę.

Przebiegła dziedziniec, czując na sobie wzrok policjanta z dyżurki. Weszła po schodach, szukała wzrokiem tabliczki wydziału, w którym pracował Lojaco. W pokoju stały dwa biurka, jedno puste. Przy drugim siedział człowieczek w okularach z grubymi szklami, który rozpromienił się na jej widok.

– Proszę, niech pani spocznie. Czego pani potrzebuje?

Weszła nieśmiało.

– Wie pan, szukam inspektora Lojaco. Nie ma go?

Rozczarowanie na twarzy policjanta było aż za oczywiste.

– Nie, nie ma. Jestem starszy sierżant Giuffrè, jego kolega. Jeśli mogę w czymś pomóc...

Letizia podeszła. Wydał jej się uprzejmy i może mógł jej udzielić jakichś informacji.

– Nazywam się Letizia, jestem właścicielką trattorii przy via San Giuseppe, niedaleko stąd. Pep... Inspektor Lojaco zawsze przychodził do nas na kolację. Ponieważ od paru dni się nie zjawiał, to my, znaczy się cały personel, zaczęliśmy się martwić. Chłopcy w kuchni zaczęli się obawiać, czy coś mu się nie stało. Albo może musiał wyjechać, do rodziny na przykład.

Giuffrè znał świat i na tyle, na ile to możliwe, kobiety. W ułamku sekundy zrozumiał, że obawy personelu restauracji były faktycznie obawami osoby, którą miał przed sobą.

– Proszę się nie martwić, Lojaco czuje się dobrze i nie wyjechał. Prowadzi śledztwo i jest całkiem pochłonięty sprawą. Pracuje i przez większość dnia nie pojawia się tutaj.

Przytaknęła, częściowo uspokojona, częściowo jeszcze bardziej zmartwiona. W końcu zebrała się na odwagę i spytała:

– Śledztwo? Na pewno? No bo mi mówił... Opowiadał nam, że nie ma prawa się zajmować... No, że nie wolno mu się włączać w dochodzenia. Mówił, że ma tylko pracę biurową.

Giuffrè był zaintrygowany. Taka ładna kobieta, właścicielka prosperującej knajpy, o której tyle słyszał, jednego z niewielu modnych lokali w okolicy, w sposób tak oczywisty zafascynowana postacią inspektora Lojaco, zaniedbanego, byle jak ubranego faceta o kolczastym jak kaktus charakterze. Nie ma rady, kobiety to tajemnicze istoty.

– Prawdę mówił, proszę pani. Ale potem zdarzyło się tak, że w tej konkretnej

sprawie on jeden miał pomysł, jak działać. Oczywiście rozmawialiśmy o tym we dwóch i myślę, że najważniejsze wskazówki usłyszał od mojej skromnej osoby. Ale tak to bywa, że prokurator prowadząca sprawę wybrała akurat jego i wzięła go do siebie. Praktycznie siedzi tam u niej cały czas.

Letizia powoli przyswajała wiadomość, znów ze sprzecznymi uczuciami. Peppuccio nareszcie miał pracę, do której był stworzony, której mu tak brakowało, o czym ona wiedziała, choć się do tego nigdy nie przyznał. Ale pracował w ścisłym kontakcie z tą prokuratorką, o której mówił, że jest nie tylko bystra, ale też piękna.

Nagle poczuła, że musi stamtąd wyjść i wrócić na swoje śmieci.

– Rozumiem. No więc niech pan mu łaskawie powtórzy, kiedy tu zajrzy, że byłam.

Odwróciła się, zrobiła kilka kroków, zatrzymała się i cofnęła.

– Nie, lepiej niech pan nic nie mówi. A to jest dla pana. Dziękuję i do widzenia.

Wyszła, zostawiając Giuffrègo na swoim miejscu, uradowanego podwójnie: tacą pełną pysznych ciastek i widokiem pięknej kobiecej sylwetki prędko oddalającej się z pokoju.

LII

Kamienica, w której mieszkała De Matteis, należała do najbardziej eleganckich w najlepszej dzielnicy miasta. Idąc alejami, zaprojektowanymi tak, żeby drzewa ocieniały okna domów, Piras myślała, że izolacja i dyskrecja wcale nie zapewniają bezpieczeństwa, co się niedawno potwierdziło.

Miała już podobne myśli, kiedy po raz pierwszy zjawiała się na miejscu zabójstwa Giady. Mnóstwo zieleni, latarnie oświetlające tylko część chodników, duża strefa cienia tam, gdzie był basen, czekający na letnie miesiące, żeby go uruchomiono. Mnóstwo miejsc, w których ktoś o złych zamiarach mógł się skryć.

Kiedy służbowy samochód podjeżdżał do bramy, przed którą zastrzelono dziewczynę, pomyślała o głosie De Matteis przez telefon, gdy zadzwoniła, żeby zapowiedzieć swoją wizytę. Był mechaniczny, obojętny. Wydawało jej się, że rozmawia z pocztą głosową. Tak jakby kobiety nie interesowało, co się dzieje dookoła, także w śledztwie w sprawie śmierci jej własnej córki.

Powiedziała swoje nazwisko przez domofon i weszła na pierwsze piętro. Otworzyła jej czarnoskóra dziewczyna w sukience w kratę i białym fartuszk. Zaprowadziła ją do obszernego salonu z wielkim oknem otwierającym się na spektakularny widok.

Nawet w tak szary dzień, podczas deszczu, morze, góry, półwysep i wyspa, której zarys przypominał twarz kobiety z rozwianym włosom, stanowiły obraz tak piękny, że aż zapierało dech. Piras pomyślała, jak przy wielu innych okazjach, że miasto patrzy na ten pejzaż z irytacją. Jak stara zeszpecona kobieta otwierająca szafę widzi poźółkłą sukienkę, w której jako dziewczyna tańczyła na balu debutantek.

De Matteis weszła, żegnając się z kimś przez telefon, ewidentnie rozdrażniona.

– Pani wybaczy, te tak zwane przyjaciółki, które wciąż mnie prześladują swoim niby pocieszaniem. W rzeczywistości chcą wydobyć informacje, którymi potem będą się między sobą wymieniać na niekończących się spotkaniach. Wiem, bo sama tak robiłam. Wypadki, rozwody, plajty, zdrady. Ciągłe ten sam repertuar rozmów, byleby było coś ciekawego do opowiedzenia. Proszę, niech pani usiądzie.

Piras zajęła miejsce na kanapie. De Matteis nie włożyła ciemnych okularów i prokurator wreszcie mogła popatrzeć kobiecie w oczy. Ale na niewiele się to zdało,

jej spojrzenie było całkowicie pozbawione wyrazu.

– Może się pani zastanawia, co jeszcze zostało do powiedzenia po naszym spotkaniu w biurze i dlatego prosiłam o spotkanie w domu. Powód jest prosty, przejdę od razu do rzeczy. Moja wizyta nie ma charakteru formalnego, nie jestem tu w ramach prac dochodzeniowych, ale po to, by poprosić o pomoc. Dysponujemy nowym faktem, który może nas przybliżyć do rozwiązania, ale kluczowe byłyby tu jakieś wskazówki uzyskane od pani.

De Matteis westchnęła.

– Jestem zmęczona, pani prokurator. A właściwie to nawet nie jest zmęczenie. Po prostu odechciało mi się wszystkiego. Nie mam już duszy. Budzę się, ubieram, utrzymuję porządek, nadzoruję służbę. Wypełniam czas, rozmawiam z księgowym, biorę udział w imprezach dobroczynnych fundacji noszącej imię mojego ojca. Staram się zagospodarować każdy kawałek dnia, staram się mieć tyle zajęć, żeby zapełnić miejsce po... Puste miejsce. Staram się mieć zawsze coś do roboty. Ale patrzę w głąb siebie i niczego nie widzę. Jeśli podnoszę wzrok ponad bieżące sprawy, ponad przyziemność, to nie ma nic. Muszę uważać, bo jak pytam siebie o powód, o rację tego wszystkiego, to pozostaje mi ze sobą skończyć, i to szybko.

Laura doskonale to rozumiała. Pamiętała dni, tygodnie po śmierci Carla jak sen zanurzony we mgle. Pamiętała, jak wydawało się jej nierealne załatwianie tysiąca codziennych spraw z tym koszmarnym ciężarem w sercu.

– Proszę mi wierzyć, potrafię to zrozumieć. Też doznałam kiedyś bolesnej, nagłej straty i pamiętam to uczucie. Ale teraz musimy odnaleźć zabójcę. Żeby tego dokonać, potrzebuję pani pomocy.

De Matteis skrzywiła usta w grymasie.

– Nie rozumiem, co mogłabym zrobić. W tych dniach dużo się nad sobą zastanawiałam i odkryłam coś straszego: znałam tylko dwa uczucia, faktycznie dwie twarze tego samego. Miłość do córki i nienawiść do jej ojca. Te dwie rzeczy trzymały mnie przy życiu, to były jedyne tematy rozmów, które mnie obchodziły. Wykształcenie Giady, odpowiedzialność za to, żeby ją samodzielnie wychować. Oraz wieczny żal do tego faceta, który tak mnie upokorzył, jako kobietę i jako matkę, zostawiając nas, by wyjechać za granicę z jakąś prostą kurwą. A teraz nagle straciłam wszystko. Swoją córkę, dumę z tego, jak rosła, coraz piękniejsza, wrażliwsza i mądrzejsza. A także paradoksalnie jej ojca, już nie mam powodów, żeby go nienawidzić. Nie straciłam tylko córki, ale też siebie, jaką byłam dotychczas. Z tego powodu niespecjalnie mnie interesuje, co ma mi pani teraz do powiedzenia.

Piras uśmiechnęła się smutno.

– Chciałam się spotkać z panią w domu z pewnego konkretnego powodu, poza samym faktem, że jest to nieformalna rozmowa. Powiedzmy, że to z mojej strony mały kobiecy fortel. Pani domu nie może wstać i wyjść, jak to było na komendzie. Tutaj, we własnym salonie, musi mnie pani wysłuchać. A ja chcę o czymś opowiedzieć.

Podczas gdy strugi deszczu przeciągane przez ospały wiatr znaczyły szyby, zniekształcając widok na zatokę, Piras opowiedziała historię o pielęgniarce, która miała związek z żonatym mężczyzną. O młodym ambitnym lekarzu, który za wszelką cenę chciał mieć gabinet w centrum. O anonimowym mieszkaniu przy przelotowej ulicy, o dziewczynach chcących uwolnić się od czegoś, co było dla nich ciężarem. Opowiedziała o czteroletniej współpracy zakończonej po narodzinach syna, niełatwego do wychowania, ale bardzo upragnionego, który urodził się pomimo trudnych warunków.

De Matteis słuchała, siedząc sztywno, nie dając po sobie niczego poznać. Kiedy Laura skończyła, milczała przez długą chwilę. Potem odezwała się.

– Co za ironia, dzisiaj Rinaldi jest znany z powodu leczenia niepłodności. Może wśród jego pacjentek jest jakaś dziewczyna, która była u niego dawniej z odwrotnego powodu.

– Tego właśnie szukaliśmy. Jeśli teoria inspektora Lojaco, że ofiarami jesteście wy, a nie wasze dzieci, jest prawdziwa, to pani stanowi brakujący element układanki. Proszę o wysiłek: niech pani przypomni sobie, czy w latach tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa – tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć miała styczność z tą działalnością Rinaldiego i Lorusso. Jakikolwiek związek, bezpośredni lub pośredni. Bardzo proszę.

Zapadła długa cisza. Laura nie była w stanie rozeznaczyć, czy De Matteis tak mocno wysila pamięć, czy też myśli o czymś innym. A może szukała słów, by zakończyć tę rozmowę. Wreszcie się odezwała:

– Nie zrobiłam dyplomu, w ogóle nie chciało mi się studiować. Mój ojciec jednak uzależniał pieniądze na życie od mojego studiowania, dlatego formalnie ciągle byłam zapisana na wydział, zdawałam jakiś egzamin raz na rok, aż wreszcie w dziewięćdziesiątym ósmym zaszłam w ciążę z Giadą. Wtedy ojciec machnął ręką na moje studia.

Piras poczuła ulgę, że De Matteis zaczęła wracać do wspomnień.

– W tamtych czasach nie bawiliśmy się aż tak wiele. Próbowano się wszystkiego stopniowo, powoli, inaczej niż teraz, kiedy niejedna czternastolatka mogłaby nas

sporo nauczyć. Znalazłam esemesy od przyjaciółki Giady, w których... Zostawmy to. Myśmy nie były takie doświadczone, więc niejedna z nas zaliczyła wpadkę. Zwłaszcza te z tak zwanych dobrych domów. Nie można było, oczywiście, iść do szpitala, rodzice by dostali zawału, rozumie pani? Pochodzili z pokolenia mniej skłonnego do wybaczenia i dialogu niż nasze.

Przerwała, by upić łyk herbaty, którą podała tymczasem pokojówka. Marta De Matteis wyglądała, jakby rozmawiała o pogodzie albo o wakacjach.

– Mnie się to nigdy nie przytrafiło przed Giadą. Wtedy już chciałam mieć swój dom, a ten On był piękny i bogaty, no więc czemu nie. Ale wiele moich koleżanek, które dziś urządzają kruczaty antyaborcyjne, zachodziły w ciążę, a jakże. Krążył wśród nas adres i numer telefonu, choć nikt nie znał nazwiska lekarza. Mówiło się, że jest dobry, szybki, a co najważniejsze, bardzo dyskretny.

Laura spijała jej z ust słowa z maksymalną uwagą. Bała się, że jeśli zacznie pytać, ona się znowu zamknie w sobie, ale musiała zawęzić pole poszukiwań.

– A w tamtym okresie mniej więcej, pamięta pani, czy miała pani styczność z dziewczyną, która skorzystała z usług tamtego lekarza?

– Nigdy u niego nie byłam, nawet żeby odprowadzić przyjaciółkę. Ale pamiętam mniej więcej, że ulica, jaką pani podała, się zgadza, bo była dość niedaleko uniwersytetu, ale nie tak blisko, żeby trafić tam przypadkiem. I wydawało mi się, że z premedytacją wybrano tę lokalizację. Ale to mogło być pod innym numerem i mówimy o dwóch odrębnych sprawach, nie wiem.

Piras podjęła ostatnią desperacką próbę.

– A nie pamięta pani, czy poradziła go pani jakiejś dziewczynie, może nawet spoza środowiska? Dziewczynie spotkanej przypadkiem parę razy na uczelni albo nad morzem...

De Matteis kończyła herbatę, zmarszczyła czoło. Odstawiła ostrożnie filiżankę, wytarła usta haftowaną serwetką. Popatrzyła na prokurator, jakby ją widziała pierwszy raz.

– Wie pani, jak sobie teraz o tym pomyślę... Nie wiem dokładnie kiedy, ale niedługo przed tym, jak rzuciłam w cholerę studia, więc w dziewięćdziesiątym szóstym jakoś, około ostatniego egzaminu... Była dziewczyna, milutka, przyjezdna. Młoda, o wiele młodsza ode mnie, maksymalnie dwadzieścia dwa lata. Pogadałyśmy sobie kiedyś w towarzystwie, polubiłyśmy się. Nigdy nie spotykałyśmy się na mieście. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie do domu, nie pamiętałam nawet, kto to taki, musiała mi się przypomnieć. I powiedziała, że... No więc, że potrzebuje tego adresu i numeru.

Piras wstrzymała oddech. Słysząc było deszcz bijący o szybę.

– Pamiętam, cienki głosik, delikatna buzia. Raczej nie stąd. Miała lekki akcent.

– Co pani jej powiedziała?

De Matteis wzruszyła ramionami.

– Postanowiłam pomóc, żal mi jej było, cholera wie, z jakim skurwielem się zadała. Dałam jej namiary.

Laura wzięła głęboki wdech i spytała:

– Pamięta pani jej nazwisko? Albo wieś, z której pochodziła, coś, co by nas na nią naprowadziło?

De Matteis pokręciła głową.

– Nie sądzę, żebym nawet wtedy je znała, byliśmy w różnych grupach, a ja rzadko zaglądałam na wydział. Tyle lat minęło, sama nie wiem, dlaczego sobie o niej przypomniałam.

Piras nie mogła ukryć głębokiego zawodu. Była tak blisko rozwiązania, które teraz znowu się oddaliło. Jak mogą odnaleźć tę dziewczynę i zamknąć krąg, skoro nie mają żadnej wskazówki?

Potem nagle De Matteis dodała:

– Ale pamiętam imię. Bo nazywała się jak główna bohaterka mojej ulubionej powieści *Il resto di niente*. Miała na imię Eleonora.

LIII

Eleonora kończy pisać i z trudem wstaje. Ma od paru dni coraz większą gorączkę. Granica między jawą a snem zrobiła się niewyraźna, nie odróżnia sennych wizji od myśli. Przeważnie leżała w łóżku. Ból, najpierw ostry, stał się tępy, jakby ulitował się wobec tego braku sił i woli walki. Powinna była wziąć lekarstwa, ale kartka z nazwą antybiotyku, napisana pod dyktando lekarza, została na dnie torebki. Rozgląda się, jej pokój przypomina wysypisko śmieci.

Resztki tego, co próbowała jeść, niedopite napoje, brudne ubrania. Widać, że nie ma woli życia.

To ciekawe, co jej się stało. Aż do momentu, kiedy pojechała pod adres otrzymany od koleżanki z uniwersytetu i weszła po schodach, w sumie nie myślała tak wiele o dziecku.

Myślała o nim, o tym, co jej dał i co jej odebrał. Myślała o ojcu i matce, jak by zareagowali, co by jej powiedzieli. Myślała o sobie, o tym, co się z nią stanie, o tym, co ma zrobić albo czego ma nie zrobić. Nawet o ludziach z wioski myślała, o ich złych językach i o tym, jak by to zaszkodziło reputacji jej rodziny.

Ale o dziecku raczej nie myślała.

Zlepek komórek w jej brzuchu, jak źle strawiony obiad, trzeba to szybko wyrzucić i zapomnieć. Kawalek utraconej miłości, a może miłości, która nie istniała poza fantazjami dziewczyny przybyłej po raz pierwszy ze wsi do miasta. Szalone marzenie, hipoteza szczęśliwego życia postawiona w niewłaściwej chwili.

Kłopot, przeszkoda do ominięcia między nią a spełnieniem jej marzeń. Od chwili, gdy zobaczyła dwie kreski na teście ciążowym, myślała o tym wszystkim, a nie o tym po prostu, że ma dziecko.

Dziecko. Jej dziecko. Jej ciało, kości, spojrzenie, głos, myśli. Ręka na twarzy, zapach oddechu, intensywność miłości. Jej dziecko.

W mglistych gorączkowych majakach, w bólu pustego brzucha Eleonora wreszcie je zobaczyła. Wyobraziła je sobie w szkole, poważne i odpowiedzialne, w czarnym fartuszkach, z tornistrem. Grające z zapalem w piłkę, może nie bardzo zdolne, ale z silną wolą i uparte.

Biegące na spotkanie dziadków, żeby ich wyściskać. I na jej rękach, śpiące

z uśmiechem na buzi. W zamglonych gorączkowych majakach i w bólu pustego brzucha Eleonora spotkała dziecko, które postanowiła uśmiercić. Widziała tysiąc razy, jak się rodzi, czuła dogłębne cierpienie z powodu straty. Czuła, jak odlatuje na skrzydłach jej własnej utraconej miłości, żeby stać się duchem przeszłości. Tak jak ten, który wraz z nią począł je na tym samym łóżku pewnego popołudnia pełnego marzeń i pieszczot.

Eleonora odczekała, aż gorączka trochę odpuści, i podeszła do stołu. Wzięła pióro i napisała do tego, kto ją zawsze rozumiał, zanim jeszcze cokolwiek powiedziała. Przedstawiając historię ziarna zasianego w łonie, opowiedziała o marzeniach i złudzeniach, i o tym, jak się rozplývają w powietrzu, którym już nie chce oddychać. Odtworzyła miejsca, twarze, uczucia. Wymieniła imiona i nazwiska, żeby pamięć po nich nie zaginęła.

Przede wszystkim opisała swoje dziecko, takie, jakim mogło być. Rysy twarzy, których nigdy miała nie ujrzeć, wyobrażone podobieństwa i prawdopodobne skłonności. Czytając raz jeszcze, pomyślała, że nigdy na świecie nie będzie bardziej rzeczywistego dziecka.

Pisząc, by zachować wszystko dla pamięci, Eleonora zrozumiała, że bez tego aniołka nie chce już więcej żyć. Bez miłości, bez honoru, bez dobroci swoich rodziców nigdy nie odnalazłaby znów siły. Każdą przeszkodę dałoby się pokonać, ale nie ten brak.

Pisząc, Eleonora rozumiała, że sama szukała swojej zguby, zapłaciła za nią i o nią prosiła.

Zalepiła kopertę. Napisała na niej imię i nazwisko. Ktoś ją doręczy.

Wstaje i z trudem otwiera okno. Powietrze wilgotne i śmierdzące smogiem wdziera się do pokoju. Wspina się resztką sił na parapet, w gorączce i bólu pustego brzucha.

I tak jak deszcz, jak łzy, opada.

De Matteis zamyślona podnosi wzrok ku sufitowi. Potem patrzy na Laurę i mówi:

– Jeszcze coś mi się przypomniało. Parę miesięcy później wróciłam na uniwersytet i spotkałam kolegę, który powiedział mi, że tamta dziewczyna się zabiła. Paskudna sprawa, nieprawdaż?

LIV

Stary człowiek siedzi przy zgaszonym świetle. Przyzwyczał oczy do ciemności, rozróżnia kontury mebli. Tyle wystarczy. Trzyma w ręku jedyny przedmiot, jakiego potrzebuje. Lornetkę.

Sporo czasu zajęło mu jej wybranie, prawie dwadzieścia dni poszukiwań przez internet. Ulica ma siedem metrów i siedemdziesiąt pięć centymetrów szerokości, mapa satelitarna jest dokładna, co do milimetra. Ściana jego hotelu i ściana willi mają w sumie metr dwadzieścia grubości. Sześć metrów dzieli willę od płotu. Wszystko mieści się w optymalnym zasięgu jego lornetki i ma jeszcze cztery metry zapasu. Wybrał model z pryzmatem dachowym, technologia już nie taka nowa, ale zdecydowanie można na niej polegać na małych i średnich odległościach.

Podchodzi do zasłony i bez ich rozsuwania, przez szparę pośrodku wcelowuje lornetkę w stronę willi. Świeci się w dwóch oknach, w trzecim niebieska poświata telewizora. Na górnym piętrze jest pokój dziewczynki.

Widzi baldachim nad kołyską z doczepionymi kolorowymi motylami. Od czasu do czasu pojawia się rączka, paluszki próbują dosięgnąć zabawki. Szybko się uczy ta mała.

Na parterze kobieta krząta się w kuchni. Obok mikrofalni stoi głośnik elektronicznej niańki. Trzeba to wziąć pod uwagę.

W saloniku dostrzega w półcieniu zarys stóp mężczyzny opartych na stoliku przy kanapie. Ciągle jest w domu. Stary człowiek patrzy na zegarek, fosforyzujące cyfry wskazują dwudziestą pierwszą pięć. Widzi zbliżający się do bramy mały czerwony samochód. Auto zatrzymuje się, dziewczyna pozdrawia chłopaka, ich głowy jeszcze na chwilę łączą się w cieniu. Piękny całus i do zobaczenia potem. Wysiada, posyła jeszcze jeden pocałunek. Pa, kochany.

Podchodzi do domofonu z tylko jednym guzikiem, dzwoni. Stary człowiek widzi, jak kobieta w kuchni szybko podchodzi do domofonu i otwiera furtkę. Zapamiętać: dolny guzik przy słuchawce.

Dziewczyna wchodzi, ostatni raz odwracając się w stronę czerwonego samochodu, który dopiero teraz odjeżdża. Porządny chłopak, myśli stary, nigdy nie zostawia dziewczyny samej, zanim nie otworzą jej furtki. Czasy dziś mamy

niebezpieczne.

Zapala się światło w przedpokoju, kobieta wita się z dziewczyną. Proszę, wejdź. Chodź do kuchni, pokażę ci, co przygotowałam, możesz to zjeść. Tu jest mleko dla małej, musisz tylko podgrzać. Stary śledzi ich ruchy i wyobraża sobie szczegóły rozmowy. Wydaje mu się prawie, jakby jego lorneta wyposażona była w podsłuch.

Ojciec wstał z kanapy i poszedł na górę, może po marynarke i płaszcz. Z tego punktu obserwacyjnego nie widać sypialni rodziców. Kobieta teraz też wchodzi na górę, podczas gdy dziewczyna kręci się po kuchni.

Wreszcie i ona wchodzi na górę, idzie do dziewczynki – na prawo od schodów. Siedem sekund normalnym krokiem. Pochyla się nad kołyską, zaczyna się droczyć z małą. Stary człowiek widzi małe rączki. Dziewczyna podnosi dziecko. Uśmiecha się.

Przychodzą rodzice, elegancko ubrani, teraz wszyscy są w pokoju dziecięcym. Machają córeczce, znikają i po piętnastu sekundach wychodzą przez drzwi wejściowe, kierując się do garażu. Stary liczy szeptem, jeden, dwa, trzy, aż do dwudziestu pięciu. Potem otwiera się garaż i wyjeżdża czarny mercedes. Otwiera się automatyczna brama, samochód skręca w uliczkę i podjeżdża do skrzyżowania. Stary dostrzega czerwone światła stopu, kiedy samochód hamuje, żeby włączyć się do ruchu na głównej ulicy.

Zapala lampkę przy biurku, zapisuje na kartce szereg liczb. Czas, czas ma kluczowe znaczenie. Kończy zapisywać, gasi światło i bierze z powrotem do ręki lornetkę. W kuchni dziewczyna prowadzi bardzo ożywioną rozmowę przez komórkę. W pokoju dziewczynki pali się lampa z błękitnym abażurem.

Stary przesuwa krzesło bliżej okna i szykuje się, by spędzić przy nim noc.

LV

Żeby od razu podzielić się wiadomością, Laura podjechała do Lojacono na komisariat. Kierowca jeszcze nie zdążył całkiem wyhamować, kiedy wyskoczyła na chodnik. Przebiegła po schodach do budynku. Inspektor siedział za biurkiem, czytając po raz setny, żeby zabić czas, raport balistyczny, i rozmyślał nad modelem broni użytej do zabójstw.

Giuffrè opowiedział mu o odwiedzinach Letizii w ich domu wariatów. Było mu przykro, że jedyna bratnia dusza, jaką miał w tym mieście, poczuła się tak zaniedbana, że aż bała się o jego zdrowie. Ale też trochę mu to schlebiało. Może jeszcze dziś wieczór pójdzie ją odwiedzić w knajpie.

Laura wpadła do pokoju jak cyklon.

– Lojacono, wspaniałe wieści. De Matteis przypomniała sobie coś, co wydaje mi się arcyważne.

Giuffrè, wybudzony przez nią z drzemki, stanął na baczność i wykonał komiczną parodię salutu, gorączkowo szukając okularów. Prokurator nawet nie zauważyła jego obecności.

– Co ci powiedziała?

– Że kiedy była na studiach, dała adres miejsca, gdzie Lorusso i...

W tym momencie dostrzegła Giuffrègo i zmieniła ton:

– Może lepiej porozmawiamy na zewnątrz, jak uważasz?

– Jasne – odpowiedział Lojacono, sięgając po płaszcz.

Kiedy wychodzili, Giuffrè szepnął do Lojacono:

– Jak to? Jesteś z Piras na ty? Czy przypadkiem... – I wykonał obsceniczny gest. Lojacono zrobił minę, która oznaczała „odpieprz się”, i dogonił Laurę na podwórzu.

– No więc, co mówiłaś?

Opowiedziała mu pokrótce, jak De Matteis przypomniała sobie o koleżance z uczelni, która chciała usunąć ciążę, a potem odebrała sobie życie.

Podrapał się w brodę zamyślony.

– Musimy od razu brać się do roboty. Trzeba przejrzeć archiwa

z dziewięćdziesiątego szóstego, żeby sprawdzić, czy dziewczyna o imieniu Eleonora, zamieszkała w Neapolu, ale urodzona gdzie indziej, naprawdę się zabiła. W ten sposób może dojdziemy do nazwiska i miejsca pochodzenia, dotrzemy do jakichś krewnych i z rozmowy z nimi ustalimy, czy nasze zabójstwa mogą mieć związek z tym zdarzeniem.

Przytaknęła.

– Już załatwione, po drodze zadzwoniłam do swoich ludzi w prokuraturze i kazałam im od razu zacząć kopać w archiwach. Jak myślisz, co się teraz zdarzy? Krokodyl zatrzyma się po zabiciu Rinaldiego?

Zmrużył oczy.

– To zależy, nie mamy jeszcze dość danych, żeby zrozumieć, czy chodzi o zemstę, czy o coś innego. Dla mnie zabijanie dzieci to coś zbyt mocnego, żeby wiązać z tym tylko szantaż. A jeśli się mści, to nie mamy pojęcia, ilu ludzi jest w to zamieszanych.

– No więc co teraz?

– Przede wszystkim, i jak najszybciej, potrzebujemy mieć dane dziewczyny, żeby zrobić to, co mówiłem, ustalić dane krewnych, zrozumieć, czy któryś z nich jest zamieszany w zabójstwo. Rozeznać się lepiej, bo to, co wiemy, zdecydowanie nie wystarcza.

Nie była całkiem przekonana.

– Jeśli się mści, po co czekał tak długo? Od dziewięćdziesiątego szóstego minęło, ile, poczekaj, policzę, szesnaście lat.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, powtarzam ci, nie mamy dość danych. Musimy iść do przodu i znowu liczyć na farta.

W tej chwili nadbiegł zaaferowany Di Vincenzo. Nie spojrzał nawet na Lojacono i zwrócił się do kobiety.

– Pani prokurator, mówiono mi, że jest pani tutaj. Co się stało? Czy mogę być w czymś pomocny?

Piras odrzekła lodowato:

– Nie, komisarzu, nie bardziej niż dotąd. Niech mi pan raczej powie, co nowego w pana dochodzeniu?

Di Vincenzo oblał się rumieńcem.

– Weryfikujemy alibi Ruggiera i jego ludzi. Zeznali, że o tamtej porze balowali

w restauracji w Piedigrotta, a kelnerzy to potwierdzili. Oczywiście nie zatrzymujemy się na tym, więc...

Przerwała mu szybkim gestem dłoni.

– Dobra, proszę przygotować szczegółowy raport w trzech egzemplarzach i mi go przysłać do biura. Ale oczywiście dopiero po dokonaniu niezbędnej weryfikacji. Lojacono, idziemy, mamy mnóstwo roboty.

Odjechali z piskiem opon, podczas gdy Di Vincenzo został bez słowa.

LVI

– Halo?

– Profesor Rinaldi?

– Tak, kto mówi?

– Dzień dobry, profesorze, tu Marta De Matteis, widzieliśmy się wczoraj w... wie pan.

– Ach, to pani, słucham, co mogę dla pani zrobić?

– Przede wszystkim przepraszam, jeśli przeszkadzam. Dostałam pana numer od wspólnej znajomej, może jedynej, na której dyskrecję można liczyć, Rosy Stammati.

– Jestem do dyspozycji, chce się pani umówić na wizytę?

– Nie, profesorze, nie o to chodzi. Tak naprawdę chcę panu coś opowiedzieć.

– Wie pani, nie mam wiele czasu. Zajmuję się organizacją... Domyśla się pani czego. Muszę podjąć szereg decyzji, jest wiele spraw... Może umówmy się za parę tygodni.

– Profesorze, proszę o chwilkę. To pierwszy i ostatni raz, kiedy mnie pan słyszy. Niech pan zechce łaskawie dać mi to powiedzieć, potrzebuję minutę.

– W takim razie słucham.

– Wczoraj odwiedziła mnie Piras, wie pan, ta prokurator, co zajmuje się... naszą sprawą. Była nieformalnie, poza protokołem. Powiedziała mi, że zakładają, że istnieje między nami jakiś związek. Że nasze dzieci... Że to wszystko zdarzyło się, bo ten, kto to robi, ma jakiś motyw, a ten motyw ma związek z nami.

– Ale proszę pani, to absurd, doprawdy nie wiem...

– Panie profesorze... Powiedziała mi, że jedyną nadzieją na rozwiązanie sprawy jest ustalenie, co łączy naszą trójkę. Mnie, pana i Lorusso, matkę tego chłopaka z dolnej części miasta.

– Muszę teraz pani przerwać, tracimy czas. Jak pani wie, nie ma między nami żadnej relacji. Niestety krążą po omacku, a ta teoria jest tylko tego kolejnym dowodem. Jak tylko się pozbieram i znajdę chwilę, zadbam, by ktoś z wyższego szczebla... Zapewniam panią.

– Mają rację i dobrze pan o tym wie.

– Co pani wygaduje? Nic nie wiem. To jakieś bzdury, które...

– Proszę mnie posłuchać. Opowiem historię, założmy, że mówimy o innych ludziach, w innych czasach i w innym mieście. Pewna dziewczyna ze wsi, może z Irpinii, a może z okolic Foggii, studiuje w mieście. Spotyka chłopaka, zakochuje się, idą do łóżka. Zachodzi w ciążę. Nie wiemy dlaczego, może boi się powiedzieć rodzinie, może chłopak nie chce dziecka, może ona nie chce, w każdym razie postanawia usunąć. Nie wie, jak to zrobić, i...

– Proszę, wygaduje pani jakieś brednie. W każdym razie jak pani wie, to całkowicie legalne i można zwrócić się odpowiedniej placówki szpitalnej, by dokonać przerwania ciąży...

– Wiem, profesorze. I tak było też w czasach, o których teraz mówię. Ale proszę dać mi skończyć, już niewiele czasu zajmę. Dziewczyna z jakichś swoich powodów nie chce zgłosić się do żadnej placówki. Pyta kogoś o radę. Ten ktoś załatwia jej numer telefonu i adres. Dziewczyna idzie tam i spotyka lekarza z pielęgniarką.

– Teraz już dość. Nie będę dalej wysłuchiwał...

– Po usunięciu ciąży, nie wiem kiedy dokładnie, dziewczyna się zabija. Koniec historii.

– Muszę przerwać tę rozmowę. Nawet jeśli zabrzmiałoby to nieuprzejmie, nie życzę sobie, żeby pani do mnie więcej dzwoniła. Nie wiem, co pani insynuuje...

– Widzi pan, profesorze, ja jestem tym kimś, kto załatwił dziewczynie kontakt, ona nazywała się Eleonora i była moją koleżanką z uczelni. To było w dziewięćdziesiątym szóstym roku.

– Co to ma znaczyć? Próba wymuszenia? Nie przyjmuję insynuacji, jest mi przykro z powodu tego, co panią spotkało, ale...

– Nie, chodzi mi o coś innego. Lorusso pana rozpoznała i wyjaśniła prokurator swojej rolę. Ja odtworzyłam sobie, jaka była moja w tej sprawie, i to jest jedyna więź, jaka nas wszystkich łączy.

– Pytam po raz ostatni, czego pani chce?

– Podczas spotkania na komendzie, kiedy Piras i ten sycylijski policjant, którego nazwiska nie pamiętam, powiedzieli nam o tym, mówiłam, że mnie nie obchodzi, czy złapią zabójcę. Bo moje życie zakończyło się wraz ze śmiercią Giady. I tak jest, nic tego nie zmieni. Nie znajdę nowego powodu, żeby co rano wstawać, ubrać się, wyjść. Nie znajdę powodu, by jeść, czytać, spać. Podobnie jak pan i Lorusso. Ale jeśli zdołam zrozumieć, dlaczego to się stało, jeśli będę wiedziała, że pomogłam nie

dopuścić, żeby kolejny chłopak czy dziewczyna, którego teraz ten... ten facet obserwuje, jak moją córkę, by zabić w odpowiedniej chwili... Sądzę, profesorze, że jeśli nasze dzieci zginęły w pewnym sensie przez nas, to musimy dowiedzieć się dlaczego.

– Droga pani, cierpienie odbiera rozum. Wiem, też tego teraz doświadczam. Radzę pani zwrócić się do kogoś o fachową pomoc. Widzi pani duchy. Nic z tego, co pani mówi, nie jest prawdą, uległa pani wpływom niekompetentnej prokurator i oszalałego policjanta.

– Ja swoje już zrobiłam. Przypomniałam sobie twarz i imię tamtej dziewczyny. Przypomniałam sobie, jaka byłam głupia i płytką, z jaką lekkomyślnością załatwiłam jej adres, nie dbając o to, co może się wydarzyć potem, czy ta biedna dziewczyna nie potrzebuje pomocy, pieniędzy albo kogoś, by porozmawiać. Przygotowałam śmierć swojej córki na wiele lat, zanim się urodziła. Swoje zrobiłam, a teraz, kiedy już panu to wszystko powiedziałam, mogę dalej w spokoju umierać, przez tyle czasu, ile mi to zajmie.

– Doprawdy nie wiem, co...

– Tak, niech pan nic już nie mówi. Do widzenia, profesorze. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.

LVII

Pojawił się krótko po jedenastej, kiedy już pogodziła się z tym, że tego wieczoru też go nie zobaczy. Ale miał taką minę, jakby przychodził stale przez ostatnie dni, zatopiony, jak zwykle, w swoich myślach, wyraz twarzy trudny do odgadnięcia, potargane włosy, płaszcz niezmiennie wymięty.

Akurat patrzyła w stronę drzwi, więc dostrzegła, że szuka jej wzrokiem, zanim podszedł do swojego stolika pod telewizorem.

Letizia natychmiast odwróciła się do klienta, którego akurat obsługiwała, udając wesołość i serdeczność, której wcale nie czuła. Nie chciała, by Lojacono pomyślał, że się gniewa. Ale nie chciała też od razu podbiec, żeby nie wyglądało, jakby tylko czekała na niego przez te wszystkie dni. Najbardziej pragnęła, żeby się poczuł u niej dobrze. Jeśli zrozumiała coś w tych dniach, to że w żadnym wypadku nie chciała stać się dla niego ciężarem.

Udała, że go dostrzega, dopiero kiedy już się na dobre rozsiadł.

– No popatrz, kogo ja tu widzę. Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

Wysilił się na nikły uśmiech.

– Jasne, wszystko w porządku. Dużo pracy, zniknąłem na jakiś czas. Ale przysięgam, że nie zdradziłem cię ani razu, tylko kanapki i piwo, a i to nie zawsze.

Zaśmiała się.

– Wiem, wiem, w całym mieście tylko u mnie jada się dobrze, nie myśl sobie. Poczekaj, zaraz ci coś przyniosę.

Pozwoliła mu spokojnie zjeść, słuchając jednym uchem wiadomości telewizyjnych. Znów głównie mówili o nieuchwytnym Krokodylu, zabójcy młodych ludzi, który płacze, zanim strzeli. I o tym, jak policja nie jest w stanie doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości.

Jak zwykle, kiedy sala już prawie całkiem opustoszała, usiadła przy nim.

– Opowiesz mi?

Dopijał ostatni łyk wina.

– Nie mamy wiele. Posuwamy się do przodu, ale nie dość szybko. Jestem coraz bardziej przekonany do tego, co ci mówiłem, pamiętasz? Uwziął się na ich rodziców.

To ich chce ukarać. Nie sądzę, żeby to był jakiś szantaż, jak przypuszczałem na początku. Chyba że te wszystkie ofiary to jest sygnał dla kogoś innego: widzisz, jak zabijam cudze dzieci? Mogę zabić zaraz także twoje, więc pospiesz się z płaceniem.

Słuchała go uważnie.

– Też mi się nie wydaje. Wystarczyłby list, komunikat, prawda? Według mnie się mści.

Zatrzymał kieliszek w drodze do ust.

– Skąd masz taką pewność?

– Z tego, co mówią w telewizji, wnioskuję, że nie obchodzi go, czy go złapiecie. Zostawia chusteczki, używa ciągle tej samej broni, tej samej metody, tej, co mi opisałeś. Idzie swoją drogą, nie zbacza z niej. Musi zaliczyć kolejne etapy. A ktoś, kto się tak zachowuje, w ogóle nie myśli o swojej przyszłości, prawda? Nie stosuje taktyki, wybiegów. Podobnie jak ktoś, kto idzie do biura, żeby sprawdzić, czy jego przyjaciel dobrze się czuje i jaki jest powód, że przestał się pojawiać. Bez podtekstu.

Lojacono się zaśmiał.

– Masz rację, Giuffrè mi wszystko opowiedział. Zabrał wszystkie ciastka do domu, żadnego mi nie zostawił. Przykro mi, zniknąłem bez wieści, ale ta sprawa mnie całkiem wciągnęła.

Też się uśmiechnęła.

– Nie przejmuj się, chciałam tylko wiedzieć, czy dobrze się czujesz. Jestem bardzo zadowolona, że praca cię pochłonięła, wiem, jak ci tego brakowało przez ostatni rok. A poza tym ten Giuffrè jest w sumie sympatyczny. Warto było go poznać.

– Wiesz, jak się go ma pod bokiem cały dzień, to wcale sympatyczny nie jest. Nigdy nie zamyka gęby. Ale przynajmniej jest taki, jaki się wydaje, co nie jest wcale powszechne w tym mieście.

– Wiesz, zamykanie się przed całym światem, tak jak ty to robisz, nie jest także najlepszym sposobem na normalne życie. Wolę, żebyś miał jakiś cel. Tak jak teraz. Jesteś zmęczony i zmartwiony, ale masz o czym myśleć. To o wiele lepiej niż kiedyś.

Popatrzył jej prosto w oczy.

– Masz rację, jak zwykle. Może też masz rację w sprawie Krokodyla. Trzeba zrozumieć, czy już skończył, czy nie. Pozwól, że o coś zapytam. Może widzisz sytuację z dobrego dystansu, my siedzimy w tym po uszy i nie zachowujemy już proporcji. Gdybyś miała kogoś bliskiego, kochanego, narzeczoną, przyjaciółkę, która

została zmuszona przerwać ciążę, a potem wskutek tego się zabiła, i chciałybyś się zemścić, to na kim?

Letizia była skupiona.

– A więc to się zdarzyło? Aborcja, a potem samobójstwo? Kto to był?

Inspektor pokręcił głową.

– Jeszcze nie wiemy. Nawet nie mamy potwierdzenia, że to właściwy trop, że to jednak nie jest jakiś pieprzony szaleniak albo camorra, jak powtarza reszta moich kolegów.

– Czyli tym tropem idziecie tylko ty i ona. Ta prokurator, co jest nie tylko bystra, ale i piękna?

Wreszcie odzyskała wesoły ton.

– Tak, tylko ona chciała wysłuchać mojej zwariowanej teorii. Ale nie masz co kpić, praca to praca, tylko praca. Nie myśl sobie, że przy tych wszystkich dramatach co innego chodzi nam po głowie. Lepiej odpowiedz na pytanie. Gdyby coś takiego ci się przydarzyło, na kim byś się mściła?

Letizia spróbowała się wczuć. Potem powiedziała:

– Na wszystkich. Na wszystkich, którzy do tego doprowadzili. Ale przede wszystkim na tym, z którym zaszła w ciążę, a który potem ją zostawił. Bo jeśli postanowiła się zabić, to znaczy, że została sama. Nie mam wątpliwości. Gdyby chociaż zachowała swoją miłość, miałaby powód, żeby żyć.

Lojacono milczał długo, myślał o pierwotności tego impulsu i o tym, jak silne jest najbardziej ludzkie uczucie, jakie istnieje: żądza zemsty.

– Masz rację. Masz naprawdę rację. Przeczuwałem, że on jeszcze nie skończył. Że się nie zatrzymał. Ostatnim celem jest on, ten mężczyzna.

Wstał, jakby go coś zaczęło gnać. Wyciągnął dłoń i pogłaskał ją. Letizia poczuła ciepło, szorstkość i zapach jego skóry. Pierwszy jego dotyk.

Przymknęła oczy i kiedy je otworzyła, drzwi właśnie powoli się za nim zamykały.

LVIII

Kochana moja,

myślę o tych dziesięciu latach, których potrzebowałem, żeby to wszystko przygotować. Muszę Ci powiedzieć, że całkiem jestem dumny, że przewidziałem wszystko, a nawet jeszcze więcej.

Wiele rzeczy na szczęście okazało się niepotrzebnych. Od tego myślenia o różnych wariantach i przypadkowych zdarzeniach w pewnym momencie poczułem, że staję się śmieszny w swoich oczach. Brakowało tylko inwazji wojskowej i lądowania kosmitów, poza tym na wszystko byłem przygotowany. Ale wiesz, Kochanie, kiedy ktoś nie ma nic do roboty przez długi czas, ani nie ma o czym myśleć, a jedyne, co mu towarzyszy, to jęki z pokoju obok, planowanie staje się przyjemną rozrywką.

Mogłabyś zapytać, dlaczego tyle czasu to zajęło? Wiesz, konkretna decyzja, żeby naprawdę to zrobić, przyszła po paru latach. Często nad tym myślałem. Może nie czułem się na siłach. To było coś poza moim zasięgiem, niezgodne z moimi ówczesnymi zasadami, z moją mentalnością. Może byłem zbyt słaby fizycznie, zgnębiony, bezwładny. Może po prostu czekałem, aż ona, która w naszym związku zawsze była tą od podejmowania decyzji, wskaże mi wreszcie drogę.

Ale tymczasem zachorowała i było z nią coraz gorzej. Już nic nie mówiła, siedziała godzinami przy oknie, gapiła się. Jakby na coś albo na kogoś czekała.

To dziwne, Kochana, jak działa ludzki umysł. A może serce. Przez wiele lat byłem jakby zwinięty w kłębek, trzymałem się kurczowo wspomnień i tego, czego już miało nigdy nie być. Potem stałaś się racją mojego życia. Chciałem Cię znów zobaczyć, wziąć w ramiona.

Może iskrą, a raczej zapalnikiem, był pistolet. Pamiętasz mojego wujka Nico? Nie, pewnie nie. Brat mojej mamy, wielki łeb, legenda rodziny. Nigdy nie uległ sennemu klimatowi wioski, mawiał, że on jedyny w całej dolinie jest żywy, podczas gdy inni tylko oddychają. Nie było inicjatywy, w której by nie uczestniczył jako pierwszy. Klub filmowy, sala taneczna, towarzystwo kulturalne, jak coś się działo, on tam był. Pewnego paskudnego dnia miał udar i umarł we śnie.

Parę dni po pogrzebie dzwoni jego żona i mówi, żebym szybko przyjeżdżał, bo ma problem. Nie wiadomo jak i skąd na dnie szuflady w biurku, pod stertą papierów,

było pudełko, a w nim właśnie pistolet. Idealnie naoliwiony, w pełni sprawny. Ciotka mówi: „Co mam z tym zrobić? Boję się wyrzucić, wyjść z tym pudełkiem na dwór i gdzieś je zakopać. Możesz się tym zająć?”. „No jasne”, odpowiedziałem. I zabrałem pudełko.

Któregoś dnia w domu, kiedy ona już się całkiem źle czuła i prawie cały czas spała, postawiłem pudełko na stole i usiadłem naprzeciw. Siedziałem tak ponad godzinę. Kiedy wstałem, miałem już podjętą decyzję.

Jasne, to był dopiero początek, nie miałem planów, do tego, żeby je stworzyć, potrzebny był czas, dużo czasu. Ale to był ten pomysł, który teraz wcielam w życie. I jeśli mam być szczery, to właśnie on, oprócz pragnienia, by Cię znów ujrzeć, dawał mi siłę przez te lata.

Kupiłem komputer, podłączyłem się do internetu, zacząłem szukać.

Potrzeba było sporo czasu, starań i wysiłku. Urządziłem warsztat, żeby zmontować tłumik. Zdobyłem informacje o ludziach, którzy mnie interesowali. Rozpoznałem miejsca, sytuacje, nawet możliwe warunki pogodowe. Przygotowałem ubrania, wybrałem te najbardziej neutralne, jeśli czegoś nie miałem, kupowałem po trochu.

Kiedy szedłem na zakupy, ludzie mnie pytali, co porabiam. Takie zwyczajowe pytanie, przez grzeczność. Odpowiadałem, że się nią zajmuję, i to była prawda. Myłem ją, karmiłem, dawałem lekarstwa, robiłem zastrzyki. Kiedy zaczęła mieć odleżyny, przewracałem ją, żeby nie cierpiała za bardzo.

Czasami patrzyła na mnie tymi oczyma pełnymi rozpacz, jak patrzy więzień na zewnątrz zza krat. Nic nie mówiła, o nic nie pytała.

Myślę, że wiedziała, co robię, i że nie mogła mnie prosić, bym zrezygnował. Może nawet by o to prosiła, gdyby mogła mówić?

No więc już jesteśmy prawie gotowi, prawda? Wszyscy teraz zobaczymy, jak to się skończy.

Wszyscy zobaczymy.

LIX

Tym razem Piras posłała po niego samochód. Gdy kierowca stanął w progu wydziału zgłoszeń, akurat był w toalecie. Kiedy wracał, jeszcze dopinając rozporek, Giuffrè zaanonsował:

– Ekscelencjo, jako wasz majordomus mam zaszczyt powiadomić, iż pojazd jest gotów i czeka na dziedzińcu. Jaki strój mam przygotować na dziś rano? Smoking czy frak?

Lojacono potrząsnął głową i zgarnął papiery z biurka.

– Gdybym miał dość czasu, powiedziałbym, co masz sobie wsadzić i gdzie. Ale nie mam, więc musisz się domyślić.

– Na rozkaz, ekscelencjo. Natychmiast to robię, proszę uznać to za załatwione.

Podczas krótkiej jazdy inspektor rozważał powody tak pilnego wezwania. Musiały się pojawić jakieś ważne informacje, inaczej Laura by do niego zadzwoniła. Zaistniała potrzeba błyskawicznej rozmowy twarzą w twarz, inaczej nie posłałaby kierowcy, bo przecież na piechotę to było najwyżej dziesięć minut. Co się stało?

Wszedł do saloniku obok jej pokoju, który stał się jej centrum dowodzenia, z mieszaniną euforii i niepokoju. Jej oczy błyszczały, ale były nieprzeniknione.

– No więc, co się dzieje?

– Mam dobrą i złą wiadomość. Zła to taka, że w archiwach tego miasta za rok dziewięćdziesiąty szósty nie ma żadnego samobójstwa kobiety o imieniu Eleonora. W każdym razie nie pojawia się w żadnym protokole interwencji policyjnej.

Poczuł, jak w środku mu się coś zaważyło, ale zaraz zaczął rozważać alternatywy.

– To nic nie znaczy. Może niczego nie zgłosili, bo na przykład dziewczyna podcięła sobie żyły albo połknęła prochy, zwłaszcza jeśli rodzina nie chciała, żeby się rozniosło, i...

Laura podniosła dłoń, żeby zatrzymać potok jego słów.

– Poczekaj, nie chcesz usłyszeć dobrej wiadomości?

Spojrzał na nią z napięciem.

– Dobra wiadomość, inspektorze Lojacono, jest taka, że o ile w dziewięćdziesiątym szóstym nie było zgłoszeń, to w dziewięćdziesiątym siódmym

było jedno. Konkretnie dwunastego stycznia, niedziela. Tego dnia Eleonora De Falco, lat dwadzieścia dwa, zakończyła swój żywot, skacząc z czwartego piętra swojego mieszkania przy via dei Cristallini szesnaście.

Mówiąc to, pukała palcem w teczkę, która leżała przed nią. Lojacono pokręcił głową.

– Szanowna pani prokurator, jeszcze jeden taki dowcip i zostawiam cię z całym tym kramem bez mojej kluczowej pomocy. Niedziela, co? Najgorszy dzień dla samobójców. Na całym świecie ludzie zabijają się w niedzielę po południu. Konstans.

– Prawda, prawda. W każdym razie nie kpij z siebie, twoja pomoc ma fundamentalne znaczenie. Kiedy się skończy cała ta historia, porozmawiamy poważnie o tym, jak możesz zostać lepiej wykorzystany.

– Lepiej wykorzystany? Co ja jestem, koń? Pokaż mi te papiery.

Teczka zawierała w sumie niewiele, tylko trzy dokumenty. Protokół patrolu policji, który przyjechał na wezwanie dozorca kamienicy. Protokół oględzin lekarza sądowego, obecnego na miejscu zdarzenia, wreszcie protokół sekcji zwłok.

W pierwszym było napisane, że De Eleonora Falco, urodzona w San Gerardo Valle Caudina w powiecie Benevento 24 września 1974 roku, zamieszkała i tak dalej, została rozpoznana przez zgłaszającego, który oświadcza, iż około godziny dziesiątej, gdy zamiatał bramę, usłyszał głuchy dźwięk z ulicy, po czym natychmiast powiadomił policję, korzystając z telefonu we własnym mieszkaniu.

Protokół lekarza sądowego, spisany zimnym biurokratycznym językiem, przeniósł myśli Lojacono na tamten chodnik w zimny styczniowy poranek.

PROTOKÓŁ OGLEDZIN ZWŁOK

Po usunięciu prześcieradła stwierdzono, że zwłoki są ubrane w piżamę koloru błękitnego, złożoną z koszuli z długim rękawem i spodni, oraz wełniane skarpetki koloru białego.

Zwłoki znajdują się w pozycji leżącej, głowa przy chodniku, zwrócona w lewą stronę, dookoła rozległa plama krwi. Kończyna lewa górna wygięta, przedramię leży na brzegu chodnika. Kończyna górna prawa leży wzdłuż tułowia. Kończyny dolne lekko ugięte i rozstawione.

Zwłoki płci żeńskiej, tożsamość ustalona, wiek z oględzin odpowiada danym z dokumentu tożsamości – 22 lata. Skóra i ukształtowanie mięśni w normie. Tkanka tłuszczowa w normie. Budowa szkieletowa prawidłowa, zgodna z wiekiem i płcią.

Plamy pośmiertne barwy jasnoczerwonej, nieliczne, w fazie początkowego kształtowania,

w przedniej części ciała, powstałe, jak wskazuje ułożenie zwłok, w wyniku urazu mechanicznego w kontakcie z podłożem. Stężenie pośmiertne w fazie początkowej. Rogówka przejrzysta. Temperatura w odbycie 35,5 stopnia o godzinie 11:05. Temperatura powietrza na miejscu o tej samej godzinie 10 stopni, lekki wiatr.

Na zwłokach stwierdza się następujące zmiany pourazowe: – Wybroczyna podskórna na prawej części twarzy, widoczne ślady kurzu i drobnego żwiru. – W badaniu dotykowym wyraźnie wyczuwalne uszkodzenia kostne pochodzące z urazu czaszki w okolicy ciemieniowej i skroniowej prawej. – W badaniu dotykowym klatki piersiowej wyczuwalna nienaturalna ruchomość żeber i mostka, powstałe wskutek urazu.

Wziąwszy pod uwagę zmiany stwierdzone podczas oględzin zwłok oraz okoliczności zewnętrzne, w jakich doszło do zdarzenia, można stwierdzić, że śmierć spowodował poważny wstrząs urazowy (wstrząs czaszkowo-mózgowy i w okolicach klatki piersiowej) wraz z towarzyszącym prawie natychmiastowym wstrzymaniem funkcji życiowych, wynikły na skutek upadku z dużej wysokości (powyżej 10 m). Brak innych widocznych zmian urazowych na skórze poza tymi związanymi z upadkiem skłania do wniosku o zachowaniu natury samobójczej.

Godzinę śmierci, z uwagi na obdukcyjne objawy tanatologiczne, ustala się na ok. 2–3 godziny przed obecnymi oględzinami zwłok.

Lojacono podniósł wzrok znad raportu i napotkał oczy Laury, która mu się uważnie przyglądała. Pomimo tylu lat w tej pracy odczuwał żal, wyobrażając sobie ten biedny, zakrwawiony kłębek na chodniku w obcym mieście. „Zachowanie natury samobójczej”, głosił raport.

Wskazała mu drugą kartkę, z wynikami sekcji zwłok. Zaczął czytać.

PROTOKÓŁ SEKCJI ZWŁOK

Głowa: po usunięciu tkanek miękkich okołoczaszkowych stwierdza się intensywne wylewy między okostną a czepcem ścięgnistym. Po usunięciu okostnej stwierdza się wiele równoległych zakrzywionych pęknięć w okolicy potylicznej i skroniowej prawej.

Klatka piersiowa: po usunięciu tkanek skórnych stwierdza się znaczne wybroczyny na obszarze całej klatki piersiowej, szczególnie po stronie prawej. Po usunięciu mostka, który nosi ślady pęknięć po stronie rękojeści i trzonu, stwierdza się znaczne krwiaki w jamie opłucnej.

Brzuch: po otwarciu brzucha widać fartuch otrzewnej pokryty krwią. Stwierdzono ślady płynu surowiczego we wnęce śledziony i na jej powierzchni przeponowej. Po dokładnym zbadaniu zatoki Douglasa stwierdzono obecność płynu surowiczego zawierającego drobiny koloru żółtego, mętnego. Po wyjęciu jelit, które nie noszą śladów zmian

makroskopowych, stwierdza się obecność poszerzonych niedrożnych jajowodów. Po ich rozcięciu wydostaje się na zewnątrz materiał ropny.

Macica powiększona, o prawidłowym kształcie, po sekcji stwierdza się nieregularnie wzniesione endometrium, z obszarami zregenerowanej błony śluzowej. Szyjka macicy lekko rozwarta, z miejscowo uszkodzoną śluzówką.

Ustalenie przyczyn śmierci: zespół urazów wskutek upadku z dużej wysokości (pęknięcia kości czaszkowych i klatki piersiowej, krwiaki i wylew do otrzewnej wraz z ostrym wstrząsem pourazowym) u kobiety ze stwierdzonym zapaleniem narządów miednicy mniejszej i obustronnym zapaleniem jajowodów świeżej daty, z błoną śluzową macicy w trakcie odbudowy. Obraz anatomopatologiczny narządów miednicy nie wiąże się z sytuacją urazową i można go z dużym prawdopodobieństwem przypisać do powikłań zapalnych, które wystąpiły po zabiegu łyżeczkowania macicy związanym z przerwaniem ciąży.

Przeczytał dwa razy. Przedzierając się przez trudno zrozumiałą żargon medyczny, zrozumiał to, co najważniejsze. Dziewczyna zginęła z własnej ręki, w chwili śmierci miała stan zapalny powstały w wyniku aborcji, której się poddała.

Zwrócił się do Laury:

– Trzeba natychmiast zadzwonić na posterunek karabinierów w... – sprawdził w protokole – San Gerardo Valle Caudina.

Uśmiechnęła się.

– Czekałam na ciebie, żeby to zrobić. Dlatego tak szybko chciałam cię tu ściągnąć.

LX

Moja dziewczynka. Moja piękna dziewczynka.

Dla Orlanda powroty do domu, kiedy udawało mu się wyrwać na obiad i wchodził po schodach, żeby wyciągnąć ją na moment z łóżeczka, stały się cudownym rytuałem. I kto by pomyślał?

Łaskocząc nosem brzuszek Stelli, myśli o sobie jeszcze sprzed paru lat. Cieszył się życiem, albo raczej myślał, że się cieszy. Nie znał jeszcze Roberty, nie czuł braku rodziny, domu, a tym bardziej dziecka.

Lubił kobiety, szybkie samochody, jachty. Jego kumple byli tacy jak on albo jeszcze gorsi, paru rozwodników widujących dzieci raz na pięć weekendów. Były one tylko obciążeniem w ich życiowym bilansie. Jedyne zmartwienie to jak zorganizować wakacje, a tylko praca, pięcie się po drabinie. Kto by się przejmował całą resztą. Na resztę przyjdzie czas.

Bierze swoją cudowną córeczkę na barana i zaczyna skakać w kółko jak słoń i nie rozumie, jak mógł stracić tyle czasu. A może, tak sobie myśli, przez tę pogoń za bzdetami nie rozumiał, jak ważne jest, by zostawić po sobie potomstwo. Stać się w pewnym sensie nieśmiertelnym.

Stella piszczy jak zwykle, trochę przestraszona, trochę rozbawiona. Jej rączki chwytają go za uszy, czuje jej małe paznokcie. Boże, jak ją uwielbia. Każdą jej cząsteczkę – te, w których rozpoznaje jej matkę, i te, w których rozpoznaje siebie. To jego bilet do przyszłości, list miłosny do czasu, który ma jeszcze nadejść.

Refleks z szyby miga mu w oczach i Orlando instynktownie patrzy na zewnątrz, w stronę hotelu po drugiej stronie ulicy. Rząd okien, niektóre ze spuszczonej żaluzjami, niektóre z zasuniętymi zasłonami. W jednym z okien na wyższym piętrze widzi kobietę ospale robiącą porządki. Musiała otworzyć okno i w szybie odbiło się słońce.

Podnosi dziewczynkę i woła: „Mamo, ależ smród. Zrobiliśmy kupkę, prawda? Zaraz tatuś zmieni pieluchę swojej cudownej Stelli”.

Niecałe czternaście metrów dalej stary człowiek odkłada ostrożnie lornetkę. Wie, że musi bardzo uważać, bo o tej porze słońce odbija się od szkieł i przyciąga uwagę. Ledwo zdążył cofnąć się za zasłonę, tamten o mało go nie zobaczył.

Po raz pierwszy okazuje emocje, zagryza wargi i wali pięścią w stół. Głupota, zrobił głupotę. Nigdy by nie dotarł tak daleko, gdyby już na początku popełniał podobne błędy. Co za dureń. Jedna jedyna chwila w ciągu dnia, kiedy słońce świeci prosto w okno, a jemu akurat wtedy zachciało się gapić przez lornetkę.

Z najwyższą ostrożnością, wytarłszy oko pod okularami, podchodzi do zasłony. Wie, że słońce już nie świeci, ale niedawne zagrożenie czyni go czujniejszym. Palcami robi małą szparę w zasłonach i patrzy na wprost.

W pokoju dziecięcym ojciec pochyła się nad przewijakiem w kącie przeciwległym do łóżeczka. Stary człowiek już parę dni temu zakończył rysowanie w głowie rozkładu pomieszczeń. Dzięki szafie z lustrzanymi drzwiami, którą niania otwierała parę razy, wie nawet, że na ścianie, na której jest okno, wiszą tylko zdjęcia i obrazki, nie ma żadnego mebla. Ojciec podnosi dziewczynkę z przewijaka. Z pieluchy wystają dwie chude, wesoło wierzgające nóżki. Ojciec odwraca się profilem, widać jego oczarowany wyraz twarzy.

Dziewczynka ewidentnie się śmieje. Ciągłe się śmieje, myśli sobie stary. To wesoła, pogodna istota. Otoczona miłością.

Ojciec śmieje się wraz z nią, udaje, że tańczy, z policzkiem przytulonym do jej policzka. Stary domyśla się, że śpiewa na głos.

Pozostają tak przez chwilę zatopieni w wyobrażonym walcu, kołysząc się do melodii, którą słycać tylko w jego głowie.

Stary człowiek zasuwą szparę w zasłonach i wyrzuca mokrą chusteczkę do kosza.

LXI

Posterunek karabinierów w San Gerardo Valle Caudina był mały, ale dobrze zorganizowany. Piras się przedstawiła i natychmiast połączono ją z dowódcą, sierżantem Giaquinto.

Poinformowała go krótko o tym, że potrzebuje natychmiast jak najwięcej informacji o rodzinie De Falco, której adresu ani imion należących do niej osób nie potrafiła podać. Jedyne szczegóły, jakie знаła, to samobójcza śmierć Eleonory, która nastąpiła w dziewięćdziesiątym siódmym w Neapolu.

Sierżant wyjaśnił, że pełni tam służbę od niedawna i że wkrótce oddzwoni. Istotnie, oddzwonił po pięciu minutach i przekazał słuchawkę brygadierowi Marianiemu, który pracował tam od ponad dwudziestu lat i znał praktycznie całą wioskę. Miał głęboki, niski głos.

– Dzień dobry, pani prokurator. Sierżant mi mówił, że szuka pani informacji o rodzinie De Falco, tej, z której pochodziła Eleonora. Bardzo nieszczęśliwa rodzina.

Piras przełączyła na tryb głośnomówiący, żeby Lojacono mógł też notować informacje.

– Tak, wiemy o śmierci dziewczyny. Kto jeszcze należy do rodziny?

– Muszę pani przede wszystkim powiedzieć, że w wiosce nie wiadomo o... o tym, dlaczego umarła dziewczyna. Wiedzieliśmy, że studiuje w mieście i że miała wypadek. Ojciec i matka, to było ich jedyne dziecko, pojechali po nią i tu zrobili pogrzeb. Dopiero potem, wraz z przekazaniem dokumentów, w tym raporcie policyjnego, dowiedzieliśmy się, że się zabiła. Ale ponieważ rodzice to byli porządni ludzie, dość zamknięci, nikt o tym więcej nie mówił.

– Jak to „byli”? Rodzice nie żyją?

– Parę lat po śmierci córki matka zapadła na ciężką chorobę, coś z płucami. Biedaczka, nigdy się po tym nie podniosła, stała się praktycznie rośliną.

Lojacono i Laura spojrzeli po sobie. Karabinier lubił gadać, a te jego uwagi mogły być przydatne, więc Laura postanowiła go zachęcić.

– Znał ich pan osobiście?

– Jasne. Wioska jest nieduża, tylko w lecie jest więcej ludzi, kiedy na wakacje

wracają emigranci. De Falco to porządni ludzie. On był księgowym w firmie w Benevento, ale kiedy zdarzyło się to z córką, przeszedł na emeryturę, żeby być blisko żony. Byli dość zamożni, mieli parę nieruchomości, parę lokali handlowych na wynajem, więc nie musieli pracować.

Lojacono wtrącił się do rozmowy.

– Dzień dobry, mówi inspektor Lojacono. Jak się nazywali rodzice Eleonory?

– Dzień dobry, inspektorze. Felice to ojciec, a matka świętej pamięci nazywała się Gemma.

– Kiedy umarła matka?

Głos Marianiego posmutniał.

– Jakieś półtora miesiąca temu. Była naprawdę w złym stanie, biedaczka. On jej towarzyszył do końca.

Lojacono pochylił się nad telefonem.

– A ojciec, Felice, mieszka jeszcze we wsi?

Mariani odrzekł niepewnie:

– Wydaje mi się, że tak. On się raczej często nie pokazywał, zajmował się swoimi sprawami, skryty człowiek, jak to mówią.

Odezwała się Laura:

– Musimy z nim porozmawiać, tak czy owak. Będzie pan łaskaw podjechać po niego i przywieźć go na posterunek. Powiadomi nas pan, kiedy już będzie u was.

Lojacono znów się wtrącił:

– Jeszcze jedna rzecz, brygadierze. Są jacyś inni krewni?

– Z tego co wiem, panie inspektorze, w takiej wiosce wszyscy są jakoś ze sobą spokrewnieni. Moja żona, która jest stąd, ma mnóstwo wujków i kuzynów. Na pewno De Falco mieli dwie grupy krewnych, ale o ile wiem, raczej nie utrzymywali z nimi kontaktów.

– A był ktoś szczególnie związany z dziewczyną? Jakiś dawny narzeczony na przykład, bliski przyjaciel?

Mariani zamilkł na moment, usiłując sobie przypomnieć.

– Wydaje mi się, że był jakiś chłopak, daleki krewny, który się z nią zadawał. Ale wyjechał na północ do pracy. A może źle sobie przypominam, tyle lat minęło.

Laura ucięła ten wątek:

– Na razie wystarczy, może ojciec dziewczyny będzie pamiętał. Proszę do mnie

natychmiast zadzwonić, jak pan już wróci na posterunek z tym De Falco, porozmawiamy z nim przez telefon i w razie czego przyjedziemy, dobrze?

– Tak jest, zaraz tam podjadę, do usłyszenia.

LXII

Roberta kończy ubierać Stellę i szykuje się do wyjścia. Na szczęście dzisiaj wydaje się, że deszcz odpuścił, dziewczynka była na świeżym powietrzu tylko parę razy w zeszłym tygodniu, a pediatra nalega, żeby przebywała na dworze jak najczęściej.

Nowa zdobycz medycyny – powrót do natury, myśli sobie Roberta. Wierzy w to tylko do pewnego stopnia, natura jest w porządku, kiedy mieszkasz w górach albo w Polinezji, a nie w takim mieście, gdzie się wdycha tylko czarny dym, jeździ pełno ciężarówek, które ładują i rozładowują cały okrągły dzień, czyniąc niemożliwym pchanie wózka po chodniku.

Ale pediatra mówiła jasno: dziewczynka musi wychodzić. W tej fazie rozwoju pozostawanie zbyt długo w zamkniętym pomieszczeniu może zmniejszyć odporność na wirusy i zarazki.

Przypuszczalnie pani doktor obawia się, że Roberta jest nadopiekuńcza. Ale Roberta mogłaby jej powiedzieć: łatwo mówić, już ja bym chciała zobaczyć, co by pani zrobiła, gdyby musiała walczyć dziesięć lat i gdyby ten anioł spadł z nieba w chwili, kiedy już nadchodziło zniechęcenie. Stella jest moim największym skarbem.

Zapina kombinezonik pod szyję i nakłada czapkę. Stella patrzy na nią, rozpoznaje i się uśmiecha. Wyciąga rączkę, mama udaje, że ją połyka. Stella piszczy, uwielbia tę zabawę. Na ścianie nad łóżkiem rysunek z wyobrażoną twarzą dziecka, który narysowała w czasie ciąży. Roberta jest zadowolona: chciała ją, marzyła o niej i ją w końcu ma. Ta twarz na rysunku jest taka sama, jaką będzie miała Stella za parę miesięcy.

Roberta schodzi uważnie po schodach, trzymając małą na ręku. Chodzi po nich tysiąc razy dziennie, między kuchnią a piętrem, nie ufa za bardzo elektronicznej niani, nawet jeśli nastawi ją na taką czułość, że słyszy w głośniku najcichszy oddech Stelli. Czytała straszne rzeczy o dzieciach umierających we śnie, niewytłumaczalnych przypadkach, uduszeniu w pościeli. Zdaje sobie sprawę, że nie może spędzić życia, pilnując małej z wiecznie otwartymi oczyma, ale w sercu ma ciągle strach, że ją straci.

Myśli o Orlandzie, który ją wyśmiewa z powodu jej fobii. Ale wie, że w duchu

podziela wiele z nich. Orlando, świetny z niego ojciec. Kiedy go poznała, od razu pomyślała, że nadaje się na ojca. Chociaż na oko mógł wcale się taki nie wydawać, z tą kawalerską manierą, zamiłowaniem do drogich ciuchów, sportowych samochodów i pozorną płytkością. Ale umiała dostrzec, co się kryje pod powierzchnią. I została za to nagrodzona cudowną rodziną, jaką ma teraz.

Układa dziewczynkę w wózku, otwiera drzwi i wychodzi. Tak, dzień jest znośny, przynajmniej o tej porze. Opóźniała wyjście, żeby słońce zdążyło trochę ogrzać powietrze, zostało już niewiele czasu na zakupy przed zamknięciem sklepów. Przyspiesza kroku, naśladowując ku uciesze dziecka dźwięk silnika. Mała śmieje się i klaszcze.

Wychodzi przez furtkę, rozgląda się czujnie, zanim przejdzie przez ulicę, ale o tej porze nie ma nikogo.

Tylko jakiś staruszek na ławce czyta gazetę.

LXIII

Nie minęła godzina, jak telefon na biurku w prokuraturze zadzwonił. Brygadier Mariani miał zmartwiony głos.

– Pani prokurator, przykro mi, ale De Falco jest nieosiągalny.

Oboje spojrzeli na siebie zdumieni.

– Jak to nieosiągalny? Wyszedł?

– Nie ma go. Już wyjaśniam: rodzina De Falco mieszka w przysiółku Spicchio, trochę z dala od centrum wsi, w szeregowcu z lat osiemdziesiątych. Dom jest zamknięty, wygląda na niezamieszkały od jakiegoś czasu. Pytałem sąsiadów, nie widzieli De Falco od paru tygodni, a może i dłużej.

– Nie pożegnał się z nikim? Nikomu nie powiedział, dokąd jedzie?

– Nie, i to jest dziwne. Nie zostawił żadnych dyspozycji w sprawie domu, po prostu pewnego wieczoru jeszcze był, a rano już go nie było, nic nikomu nie powiedział. Pani, która mieszka obok, mówiła mi, że nawet się trochę martwiła, pukała do drzwi, ale nikt nie odpowiadał.

Laura nerwowo nawijała lok na palec.

– Brygadierze, proszę mnie posłuchać: zaraz wyślę faksem nakaz przeszukania domu, muszę tylko dostać adres. Zróbcie to natychmiast i oczekuję na raport telefoniczny, szkoda czasu na pisanie. Tymczasem gdyby doszła jakaś informacja o De Falco albo kimkolwiek związanym z rodziną, coś dziwnego, proszę natychmiast dzwonić. Jasne?

– Tak jest, pani prokurator. Zaraz prześlę dane adresowe domu.

Przerwała połączenie i zwróciła się do Lojacono.

– Co o tym myślisz? Może już go mamy?

Pokręcił głową.

– Wcale nie jest powiedziane. Może po śmierci żony postanowił pojechać w podróż. Albo sam się zabił i zaraz znajdą w domu zwłoki. W każdym razie musimy teraz dowiedzieć się jednej rzeczy: kto był ojcem dziecka Eleonory. Jeśli się nad tym zastanowisz, to jest jedyny brakujący klocek w naszej układance. Moja przyjaciółka wczoraj wieczorem otworzyła mi oczy: gdybym miał się zemścić za

śmierć bliskiej mi kobiety, która zrobiła to, co zrobiła Eleonora, w pierwszej kolejności zająłbym się tym, z kim zaszła w ciążę, a kto potem rzucił ją na pastwę losu.

Laura wytrzeszczyła oczy.

– Przyjaciółka, powiedziałaś? Jaka przyjaciółka? Jakim cudem rozmawiasz z kimś o poufnym śledztwie?

Lojaco podniósł obie ręce, jakby się chciał poddać.

– Powoli, powoli! Nie wymieniałem nazwisk, a moja przyjaciółka to tylko właścicielka restauracji, gdzie chodzę na kolacje, nie wie nic szczególnego. Ale musisz przyznać, że jej sugestia jest słuszna. Tylko jego nam brakuje. Laura rozważyła całą sprawę chłodniejszym umysłem.

– Faktycznie. Koleżanka, która podsunęła jej adres gabinetu, pielęgniarka, lekarz. Wszyscy troje w istocie są drugorzędni. Brakuje głównego winnego, od którego to się zaczęło. Ale jak się dowiemy, kto to taki, jeśli nie odnajdziemy ojca Eleonory?

W tej chwili zapukał policjant i oznajmił:

– Przepraszam, jest tu ktoś, kto chce z panią rozmawiać. Niejaki profesor Rinaldi.

Mężczyzna, który wszedł do pokoju, wyglądał zupełnie inaczej niż ten, z którym spotkali się parę dni wcześniej. Cierpienie widoczne w zaczerwienionych oczach było może to samo, ale tym razem sprawiał wrażenie zahukanego i zmieszanego.

Twarz naznaczona brakiem snu, lekki zarost, potargane włosy. Nie miał krawata, koszula rozpięta pod szyją odsłaniała siwe włosy na klatce piersiowej. Nagle się mocno postarzał.

W ręku trzymał duży zielony zeszyt przypominający szkolny dziennik.

Stał w miejscu, aż Piras wskazała mu krzesło. Zrobił głęboki wdech i zaczął mówić:

– Dużo myślałem o naszej ostatniej rozmowie. Poza tym dzwoniła do mnie pani De Matteis, o ile wiem, miałyście panie spotkanie. I to skłoniło mnie, żeby przemyśleć pewne rzeczy. W pewnym sensie otworzyło mi to oczy. Pomyślałem, że mój syn był dla mnie wszystkim. Wszystkim. Bez niego nic już nie ma sensu, kariera, gabinet, praca. Nic. Jeśli z jakiegoś powodu to ja byłem przyczyną... Boże, co za obłąd... to muszę coś zaradzić. Tyle, ile mogę. Chciał zostać lekarzem, nie dlatego, żeby iść moją drogą, ale dlatego, że chciał pomagać ludziom. Mówił mi o Afryce, o wolontariacie... Nie mogę pozwolić, żeby odszedł tak po prostu.

Lojaco i Laura wymienili ukradkowe spojrzenia. Rozumieli, że profesor czuje potrzebę, by się przed nimi otworzyć. Mówił dalej, do nich obojga:

– Znałem Lorusso, ale to już wiecie. Jak się jest młodym, to się dąży do celu i tylko to się liczy. Chciałem mieć swój gabinet, a poza tym to było zgodne z prawem, a ja tylko dbałem o to, żeby każdy, kto chciał większej dyskrecji, bez rejestrowania i dokumentów... Na szczęście nigdy nie stało się nic złego.

Lojacono wycodził przez zęby:

– W gabinecie zabiegowym może nie, ale poza nim tak.

Rinaldi przeciągnął ręką po rozczochranych włosach.

– Tak, poza nim tak. Ale skąd miałem wiedzieć? Co ja mogłem wiedzieć, co robią pacjentki, kiedy już wychodzą? Dowiedziałem się o De Falco z gazety i przez pewien czas oczekiwałem, że zostanę wezwany na przesłuchanie. Obawiałem się, że znajdą ślad prowadzący do mnie, adres, numer telefonu. Ale w miarę, jak czas upływał, zapomniałem. Aż do momentu, gdy Marta De Matteis przez telefon wymieniła to imię.

Piras wtrąciła się łagodnym tonem. Lojacono docenił jej podejście, chodziło o to, żeby Rinaldi znów nie przeszedł do obrony.

– Panie profesorze, nikt tu pana nie chce sadzać na ławie oskarżonych. To stare historie i nie chcemy ich teraz odgrzebywać. Potrzebujemy tylko wiedzieć jak najwięcej o De Falco. Co pan pamięta?

Rinaldi trzymał cały czas zielony zeszyt. Położył go na stole, otwierając mniej więcej w połowie.

– Nie pamiętam jej. Wie pani, z powodu dyskrecji robiłem tylko wywiad kliniczny, objawy, wyniki badań, jeśli był konieczny. Ale jeśli nic nie wykroczało poza fizjologiczną normę, właściwie wcale nie rozmawiałem z pacjentkami. Na wszelki wypadek zapisywałem w tym rejestrze podstawowe informacje. Nic nadzwyczajnego: imię, nazwisko, adres, rodzaj zabiegu. O tutaj: De Falco Eleonora, via dei Cristallini szesnaście. Łyżeczkowanie jamy macicy, nazywa się to skrobanką. Osiem tygodni. Z artykułu w gazecie dowiedziałem się, że miała stan zapalny, czyli nie brała antybiotyków, które jej przepisałem. Nic dziwnego, biedaczka, jeśli decydujesz się umrzeć, to nie bierzesz lekarstw.

Lojacono naciskał:

– Nie widział jej pan potem, nie było wizyty kontrolnej? Nie wróciła do pana?

Rinaldi zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– Nigdy nie wróciła. Zresztą rzadko która wracała.

Laura przytaknęła zrezygnowana. Wyznanie profesora nie wносиło istotnych dla nich informacji.

Ale i tak zapytała:

– Pamięta pan, czy kiedy przyszła, wymieniła jakieś nazwisko, jakiś kontakt do rodziny albo coś w tym rodzaju?

Rinaldi potwierdził.

– No jasne. Zawsze prosiłem o kontakt, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. To były zabiegi w znieczuleniu ogólnym, nigdy bym nie zaryzykował, że nie mam kogo powiadomić.

Lojacono wychylił się ku niemu, oczy miał jak dwie wąskie szparki.

– Jaki kontakt zostawiła?

Rinaldi zajrzał do zeszytu.

– Orlando Masi, kontakt przez dziekanat wydziału inżynierii lądowej politechniki.

LXIV

Stary człowiek staje się Krokodylem.

Starannie się przygotowuje, za zaciągniętymi zasłonami pokój oświetla słaba lampka na stoliku nocnym. Jest zimny, opanowany, skupiony. Co jakiś czas spod okularów spływa łza, wyciera ją szybkim ruchem dłoni.

Wie, że oczekiwanie dobiega końca. Czuje pod taflą wody, pod którą się czai, że jego wielki głód zaraz zostanie zaspokojony.

Przygotowuje buty, czyści je dokładnie. Potem spodnie, sprawdza ich kant. Koszula, krawat, marynarka. Wie, że nie będzie powtórek. Tym razem wszystko potoczy się inaczej od początku aż do końca.

Zrozumiał, że nie może czekać jak poprzednio. Że nie wystarczy zaciąć się w mokradłach, mieszając swój zapach z wyziewami bagna, upodabniając się do pnia drzewa pośród innych pni, zamaskować się wśród roślinności. Tym razem będzie musiał wykonać skok, zacisnąć paszczę na gardle ofiary jeden jedyny, śmiertelny raz. Jego szczęki nie będą mogły spokojnie przeżuwać, rozgniatać kości, żeby się nasycić.

Będzie musiał zaciągnąć ofiarę w głąb otchłani, to będzie podróż ku śmierci, podróż bez powrotu, w poszukiwaniu spokoju, o którym już zapomniał w nieprzeniknionym mroku swojego wiecznego głodu.

Jego głód rósł przez lata, w towarzystwie niekończących się jęków, we wspomnieniu dawnej czułości. Jego głód zamazał wspomnienie przyjaźni, uczuć, radości, miłości. Jego głód jest niezaspokojony i pożarł wszelkie uczucia w sercu, a w końcu i samo serce.

Wyciąga z dna szafy pudełko, rozpościera szmatę na łóżku. Rozbiera broń, sprawdza, czyści, smaruje. Stary człowiek i jego niezmordowane szczęki, bezlitosne kły, potężny uścisk. To trucizna, na którą nie ma antidotum.

Stary człowiek jest Krokodylem.

W jego zlodowaciałej duszy nie ma śladu najmniejszego tchnienia litości.

Jest Krokodylem. Urodził się, by zabijać.

LXV

Nowe nazwisko zadziało jak wstrząs elektryczny. Mieli wreszcie kogo odszukać, i to natychmiast. Popołudnie ustąpiło miejsca wieczorowi i nagle zegar zaczął pędzić z ponaddźwiękową szybkością.

Orlando Masi, dziekanat na politechnice: wiadomość z przeszłości. Lojaco zdawało się, jakby Eleonora chciała przyczynić się do ocalenia niewinnej istoty spośród innych, zabitych z jej powodu. Tak jakby po piętnastu latach oddzielała się od swojego mściciela, który wymierzał na lewo i prawo karę śmierci z jej powodu.

Ale to nie byłoby łatwe. Senny urzędnik, wściekły, że kazano mu podjąć poszukiwania właśnie wtedy, gdy wychodził, poinformował ich po długim poszukiwaniu, że w sekretariacie politechniki nie było żadnego pracownika, ani obecnie, ani emerytowanego, z takim nazwiskiem.

Laura schowała twarz w dłoniach.

– Myślisz, że podała byle jakie nazwisko?

Lojaco energicznie pokręcił głową.

– Nie, wykluczone. Gabinet Rinaldiego nie był publiczną placówką, wystarczyłoby, jakby powiedziała, że nie ma kogo powiadomić. Nie, to on jest naszym człowiekiem, ostatnią ofiarą Krokodyla. Problem w tym, że po tylu latach może być gdziekolwiek, może nawet za granicą. Cholera wie.

Laura wystarała się o nakaz rewizji domu De Falco. Hipoteza, że odebrał sobie życie albo zostawił jakiś ślad przed wyjazdem, wydawała się jej najsensowniejszym tropem do podjęcia.

Krótko przed dwudziestą pierwszą zadzwonił sierżant Giaquinto z San Gerardo. Do domu weszli łatwo, wszystko zastali w pełnym porządku, jakby De Falco dopiero co wyszedł. Żadnego śladu przygotowań do podróży i długiej nieobecności. I żadnych wskazówek, w jakim kierunku wyjechał. Z garderoby nie ubyło wiele ubrań. Tylko parę pustych wieszaków.

Ale ze wzmocnionymi drzwiami do garażu musieli się namęczyć. Wewnątrz zastali coś, co wyglądało jak warsztat ślusarski z precyzyjną obrabiarką i komputerem z szybkim łączem internetowym. Żadnego śladu działań niedozwolonych, zakończył sierżant.

Wcale nie, pomyślał Lojacono. To były właśnie ślady aktywności Krokodyła. Długich, wyczerpujących przygotowań. I starannego usuwania czegokolwiek, co mogło pozwolić go potem odnaleźć. Był przekonany, powiedział to Laurze, że z komputera usunięto twardy dysk. Sierżant potwierdził, że nie dało się go odpalić.

Lojacono wyjął z segregatora raport balistyczny dotyczący ostatniego zabójstwa.

PROTOKÓŁ OGLEDZIN DOWODU RZECZOWEGO I JEGO PORÓWNANIE Z POPRZEDNIMI

Pocisk kalibru 22 LR o wadze 2,4 g średnicy 5,6 mm z sześcioma prawoskrętnymi wyżłobieniami, którego cechy są zgodne z amunicją do pistoletu półautomatycznego Beretta serii 70. Stwierdzono obecność klasycznych odkształceń wynikłych wskutek przejścia pocisku przez urządzenie tłumiące, w tym także ślady zapiecenia.

Porównanie pocisku z analizowanymi poprzednio prowadzi do wniosku, że w ostatnim przypadku użyto tej samej broni co w przypadku zabójstw Lorusso Mirka i De Matteis Giady.

Oto do czego był potrzebny profesjonalny warsztat ślusarski. Pistolet można sobie jakoś załatwić, podobnie jak pudełko naboji. Ale tłumika na rynku nie znajdziesz, rozumował Lojacono. Trzeba go sobie skonstruować.

Zegar pędził. Była już prawie dwudziesta druga. Wtedy Laurę olśniło. Potarła oczy i powiedziała:

– Noż kurczę, że też nie wpadłam na to wcześniej. Skoro ona musiała to załatwić sama, to znaczy, że nie miała z nim kontaktu, że się rozstali. I rzeczywiście potem zrobiła to, co zrobiła. Nie mogła więc już chcieć mieć styczności z nim, a tym bardziej z jego rodziną, jasne?

Lojacono nie rozumiał.

– No i co z tego?

– Więc nie mogła zostawić jego telefonu domowego, a ponieważ w tamtych czasach komórki nie były tak rozpowszechnione, to on mógł jej nie mieć. A wiesz czemu? Bo był studentem. Zwykłym studentem, do którego można było dotrzeć, zostawiając wiadomość w biurze uczelni.

Lojacono się rozpromienił.

– Student politechniki, który pilnie chodził na zajęcia i bywał tam codziennie. Z tego powodu.

Piras klasnęła w dłonie.

– Dawaj mi stowarzyszenie inżynierów, i to już!

Ale tym razem nie poszło łatwo. W stowarzyszeniu inżynierów z powodu późnej godziny nikt nie odpowiadał. A na jego stronie widniała tylko nazwa firmy, w której był zatrudniony Orlando Masi.

– Jedno przynajmniej wiemy, nasz inżynier nie wyjechał do pracy za granicę, został w mieście i pracuje w Gallardo Costruzioni, jednej z największych firm wykonujących zlecenia publiczne w regionie. W każdym razie pracował tam, kiedy ostatni raz odnawiano ten spis, czyli rok temu. Mamy numer firmy, sekretarka automatyczna informuje, że biuro jest otwarte od dziewiątej do trzynastej i od piętnastej do siedemnastej. W spisie abonentów prywatnych nie ma nikogo o tym nazwisku. W tej chwili nie posuniemy się dalej.

Lojaco przytaknął. Byli wykończeni.

– Co mam ci powiedzieć? Miejmy nadzieję, że zdążymy. Jutro odnajdziemy naszego inżyniera i zadamy mu parę pytań o przeszłość.

Ustalili, że się spotkają wcześniej rano. Mieli zacząć wydzwaniać do firmy od ósmej.

Żadne z nich tej nocy pomimo zmęczenia nie zmrużyło oka.\

LXVI

Kochana, Kochana moja,

wiesz, że bywają noce, które nie są stworzone do spania. Nie chodzi o napięcie, lęk, że się nie sprostą zadaniu, próbie. Po prostu pragnienia, które zaczynają się spełniać, trzymają cię na jawie.

Trochę jak z dziećmi w noc przed Wigilią. Mieszanina niepokoju i oczekiwania.

Milion razy powtarzałem sobie, co mam zrobić. Tym razem będzie inaczej, bo nie będę mógł czekać, aż oni sami przyjdą do mnie pokornie jak baranki. Tym razem sam muszę zadbać o czas i miejsce, muszę coś zrobić, żeby stworzyć sobie okazję.

Jasne, mógłbym trochę poczekać. Gdybym kontrolował, obserwował, to prędzej czy później pojawiłaby się okazja, żeby działać bezpieczniej i wygodniej. Ale mam wrażenie, coraz silniejsze, że czas już się kończy.

Wiesz, Kochana, jestem we wszystkich gazetach. Krokodyl. Co dzień międlą te trzy zdarzenia, słowo po słowie, wymyślając jakieś niestworzone wyjaśnienia. Nie rozumieją, jak prosta jest prawda, jak łatwo zrozumieć, co się stało. Co się dzieje. Dlatego lepiej działać i szybko to skończyć.

Nie obawiaj się, wszystko dobrze przygotowałem. Nie możemy ryzykować, żeby właśnie teraz nas powstrzymali, prawda? Właśnie teraz, kiedy wszystko zmierza ku końcowi. Co to byłoby za ironia losu, gdyby mnie teraz zatrzymali i przytknęli, zanim zdążę dokończyć swój plan i znów cię objąć? Pusty śmiech.

Tym razem będzie inaczej. Muszę być czujny i szybki.

Przygotowałem wszystko, co trzeba. Przećwiczyłem każdy gest, każdy ruch po sto razy. Znalazłem miejsce, sytuację, sposób.

Przygotowałem narzędzie. Dwa strzały. Na wszelki wypadek wziąłem trzy naboje, trzeba zawsze mieć zapas. Ale wystrzelę dwa razy.

Wiesz: tylko winni, żadnego niewinnego.

Nie jestem zabójcą, muszę tylko wymierzyć sprawiedliwość. A winnych do ukarania zostało tylko dwóch.

LXVII

Anna Criscuolo, sekretarka w firmie Gallardo Costruzioni, chętnie by jeszcze sobie pospała.

Wczoraj wciągnął ją durny program w telewizji, reality show tak głupie i prostackie, że nie była w stanie zgasić telewizora i usnąć. W jakiejś babskiej gazecie czytała kiedyś, że w pewnych programach nadają przekazy hipnotyczne po to, żeby widzowie zostali i pochłonęli wszystkie reklamy. Wtedy pomyślała, że to bzdura, dziś nie jest taka pewna.

Trzeba przyznać, że w jednej sprawie inżynier jest kategoryczny: godzina rozpoczęcia pracy. Kiedy przyjeżdża rano, chce mieć wszystkich na miejscu, gotowych odebrać od niego niezbędne polecenia, zanim ruszy na budowę.

Rolą Anny jest otwarcie kramu, jak mówi inżynier. Ma klucze do biura, musi pootwierać okna, żeby powietrze się wymieniło, podczas gdy klimatyzacja się uruchamia, włączyć komputery i koparki, nastawić kawę, wyłączyć automatyczną sekretarkę w telefonie. Inżynier wyjaśnił jej, że to bardzo ważna rola, dzięki niej reszta pracowników po wejściu ma wrażenie, że maszyna działa pełną parą, więc od razu biorą się do roboty, nie tracąc na nic czasu.

Mimo że oficjalnie biuro otwiera się o dziewiątej, Anna jest w pracy pół godziny wcześniej, żeby zadbać o to wrażenie efektywności. To poważne zadanie, powtarza inżynier. Być może, ale dziś rano chętnie by się wyspała. Przeklęte reality show, myśli, szukając kluczy w torebce.

Za zamkniętymi drzwiami słyszy dzwonek telefonu. Kto, do cholery, dzwoni o tej porze? Otwiera powoli, aż dzwonek ustaje. Niech się nauczą dzwonić w godzinach pracy.

Laura patrzy na Lojacono i kręci głową. Nikt nie odpowiada. Zaczęli wydzwaniać o ósmej, co pięć minut, licząc, że jakiś pracownik przychodzi wcześniej.

Żeby sobie dodać otuchy, mówi:

– Może ten cały inżynier Masi to nie nasz człowiek, może to tylko kolega, jedyny, na którego Eleonora mogła liczyć, i dlatego dała Rinaldiemu jego nazwisko. Może ojcem dziecka był ten jej dawny narzeczony ze wsi, którego nazwiska sierżant

nie pamiętał.

Lojacono siedzi z założonymi rękoma, jest jeszcze bardziej azjatycki niż zwykle.

– A może właśnie to on. Zajmując się błędnymi hipotezami, nie idąc najbardziej oczywistą drogą, dotychczas tylko traciliśmy czas. Mamy to nazwisko i tylko to nam na razie zostaje. Dawaj, dzwoniemy dalej.

Laura patrzy na niego wzrokiem pełnym czułej nienawiści i znów wybiera numer. Po trzecim dzwonku wreszcie ktoś odpowiada.

Czekając w załomie muru, Krokodyl nadstawia ucha, żeby wyłowić dźwięki pochodzące z willi. Po długim zastanowieniu wybrał miejsce przy ogrodzeniu sąsiedniego domu, bo o tej porze poranka światło pada pod takim kątem, że jest tam ciemno i może być praktycznie niewidoczny, a jednocześnie ma dobry widok na wjazd do garażu.

Tkwi tam już od godziny, choć zna dokładnie moment, kiedy mężczyzna wsiądzie do samochodu i wyjedzie przez bramę. W ostatnich dniach robił to o tej samej porze z dokładnością do pięciu minut.

Niebo jest ołowiane, może potem się rozpada, myśli Krokodyl.

Ale potem już będzie po wszystkim.

Rozmowa z sekretarką jest momentami surrealistyczna. Kobieta uparcie odmawia udzielenia jakiegokolwiek informacji o naczelnym inżynierze. Ani adresu, ani numeru komórki. Mówi tylko, żeby spróbować później, bo inżynier Masi będzie w biurze o dziewiątej.

Laura stara się zachować spokój, potem zaczyna podnosić głos. Lojacono zauważa, że kiedy się wścieka, sardyński akcent robi się wyczuwalny. W pewnej chwili, orientując się, że sytuacja jest patowa, wyrywa jej słuchawkę z dłoni.

– Dzień dobry pani, tu inspektor Lojacono z policji. Rozumiem, że obowiązuje panią poufność, ma pani rację. Zróbmy tak: niech pani zadzwoni do prokuratury rejonowej. Proszę znaleźć numer w sieci, mógłbym go pani podyktować, ale w ten sposób nie dałaby się pani przekonać. Proszę zażądać połączenia z prokuratorem Piras, będzie pani pewna, z kim pani rozmawia. Tylko jedna prośba: niech to będzie zaraz. W przeciwnym razie zmusi nas pani do wdrożenia żmudnych procedur biurokratycznych, a wtedy to będzie źle dla wszystkich.

Laura patrzy na niego z otwartymi ustami.

– Od kiedy stałeś się taki dyplomatyczny?

Lojacono wzrusza ramionami.

– Znam się na kobietach. Jak tylko oddzwoni, poproś o adres Masiego, a ona niech zawiadomi inżyniera, żeby wracał zaraz do domu, zamknął się i czekał na

nasze przybycie. I niech w międzyczasie nikomu nie otwiera.

Po niecałych dwóch minutach dzwoni telefon.

LXIII

Widzi, jak wychodzi. Trzy minuty, mieści się w czasie. Zamyka za sobą drzwi, rusza w stronę garażu. Zatrzymuje się w połowie drogi, podnosi wzrok w stronę pokoju Stelli. To też jest mały rytuał, który się powtarza każdego dnia, kiedy nie pada.

W oknie stoi Roberta z małą na rękach.

Krokodyl zauważa, że kobieta jest już ubrana. Bardzo dobrze.

Mama potrząsa rączką dziewczynki, pa, tato, dobrego dnia. On posyła jej pocałunek.

Wchodzi do garażu. Czarny mercedes wyjeżdża powoli i bezszelestnie, jak pantera z nory. Krótki klakson, kolejne pożegnanie.

Ostatnie, myśli Krokodyl.

Brama otwiera się automatycznie, żeby przepuścić samochód. Kobieta i dziecko cofają się do pokoju.

Krokodyl oddycha powoli i obserwuje.

Wreszcie mają adres. Sekretarka w końcu ustąpiła.

Laura musiała zdobyć się na spory wysiłek, żeby opanować napięcie, kiedy zadzwoniła. Lojaco dostrzegł pulsującą żyłkę na jej czole, której nie widział nawet podczas zebrania z komisarzami.

Dostali również numer komórki Masiego, ale była wyłączona. Poprosili sekretarkę, żeby próbowała się do niego dodzwonić i gdyby odpowiedział, kazała mu wracać zaraz do domu, gdzie mieli zamiar się udać, by zadać mu parę pytań. Po rozłączeniu się z nią spojrzeli na siebie. Laura pyta wzrokiem: to naprawdę konieczne? On odpowiada jej: nie wiem, ale na wszelki wypadek tak.

Wypadli jak z procy na dziedziniec, wezwali radiowóz z dwoma policjantami.

Krokodyl widzi, jak mercedes dociera do końca krótkiego zjazdu, zna na pamięć moment, kiedy zapalą się światła stopu, żeby przyhamować przed włączeniem się do ruchu na głównej ulicy.

Liczy do piętnastu, podchodzi do domofonu. Dziesięć kroków od jego kryjówki.

Czeka jeszcze ułamek sekundy, rozgląda się, żeby się upewnić, czy nikt nie patrzy, i naciska guzik. Po chwili słyhać lekko zaskoczony głos Roberty.

– Słucham?

Krokodyl odpowiada cichym, lecz wzburzonym głosem:

– Proszę pani, czy to pani mąż dopiero co wyjechał czarnym mercedesem?

Odpowiada natychmiast:

– Tak, to mój mąż. Co się stało?

Oddalając usta od domofonu, jakby udawał, że się ogląda za siebie:

– Nie słyszała pani hałasu? Był wypadek, z ciężarówką, na końcu ulicy. Przejechał, nie zatrzymując się przy stopie. Wgniotło go, jest w środku, niech pani schodzi!

Roberta krzyczy, słyhać, jak słuchawka domofonu opada puszczone i uderza o ścianę. Krokodyl cofa się do wnęki i czeka. Wszystko teraz zależy od tego momentu. Od tego, co ona robi.

Po paru sekundach drzwi się otwierają, Roberta wybiega.

Orlando włącza się do ruchu na nadmorskim bulwarze, z głową już zanurzoną w problemach biurowych. Będzie musiał pojechać za miasto, żeby sprawdzić budowę, która się opóźnia. Nie znosi takich wyjazdów.

Zatrzymuje się prawie od razu z powodu korka przed światłami. Korzysta z tego, żeby włączyć radio. Potem sięga po komórkę, by ją włączyć, ale jest zielone i sznur samochodów powoli rusza.

Komórka będzie musiała zaczekać do następnych świateł.

Gęsty ruch uliczny, ciągle te korki.

Lojaco przyzwyczał się do myślenia o mieście jak o murze. Nieufność, obojętność, ciągły zgiełk, który pokrywa słowa i czyni niemożliwym szept. Ruch, ten milczący tłum, wzrok pełen nienawiści. Mur.

Rodzice zabitych chłopców zrobili wyłom w tym murze. Przypomnieli sobie o niechlubnej przeszłości i opowiedzieli o niej wbrew swojemu interesowi. Wyłom w murze, który trzymał go na dystans i chronił Krokodyla. Ale mur próbuje się sam naprawić i żeby załatać wyrwę, nasyla setki samochodów.

Piras, jakby czytała mu w myślach, rozkazuje kierowcy:

– Włącz koguta i przyspiesz.

Krokodyl rusza błyskawicznie. Wie, że ma mało czasu, mniej niż dwadzieścia sekund, jeśli Roberta zorientuje się już w połowie ulicy, że nie było żadnego wypadku.

Idzie szybko wzdłuż muru, wślizguje się przez furtkę, która pozostała otwarta, biegnie alejką i wchodzi do domu. Zamyka za sobą drzwi na klucz.

Orlando staje na następnych światłach. Nigdy nie są zielone, kiedy trzeba, myśli. Miały regulować prędkość i upłynnić ruch, ale są wiecznie czerwone.

Włącza komórkę, która zaraz zaczyna dzwonić. Na wyświetlaczu miga słowo „biuro”. Psiakrew, myśli Orlando, jeszcze nie dojechałem, a już dupę zawracają.

Grzebie w skrytce w poszukiwaniu słuchawki, nie chce dostać mandatu za słuchanie cholera wie jakiej głupoty, którą wymyśliła sobie durna sekretarka.

Roberta wraca ulicą zaniepokojona. Walczą w niej ulga, że nie było wypadku, z irytacją z powodu głupiego kawału.

Rozgląda się, czy nie ma w pobliżu jakiegoś gówniarza, który się z niej śmieje, jak go dorwie, to mu da popalić. Pamięta, że parę miesięcy wcześniej mieli taki zwyczaj, że dzwonili domofonami po nocach, kiedy wracali z dyskotek, przez co wybudzali ją ze snu, który i tak miała ciężki z powodu wielkiego brzucha.

Myśl o ciąży przypomina jej o Stelli, przesywa ją strach i przyspiesza kroku.

Samochody się rozstępują przed radiowozem jak wzburzone morze. Jadą szybko, ale żeby dojechać pod adres wskazany przez sekretarkę, trzeba pokonać spory kawałek drogi.

Lojaco bezwiednie otwiera i zaciska pięści. Nie może się doczekać, aż spotka tego faceta. Ciekawe, czy pamięta przeszłość, czy poznał ojca Eleonory. Czy przez te wszystkie lata o tym myślał. A przede wszystkim chce się dowiedzieć, czy ma rodzinę, czy ma dzieci.

Serce mu się ściska w piersi, kiedy myśli o Marinelli. O linii jej szyi pochylonej nad kartką, o dwóch złotych oczach w mroku.

Niespodziewana, delikatna dłoń Laury kładzie się na jego dłoni.

Orlando zawrócił i wraca do domu. Czuje niepokój. Zastępca prokuratora

okręgowego. A do tego inspektor policji. Sekretarka wyrażała się mętnie.

Co się stało? Gdyby chodziło o jakieś problemy na budowie, to czekaliby na niego w biurze. W razie jakichś wyjaśnień i tak musiałyby sięgnąć po papiery, plany. Po co chcieli się z nim spotkać w domu?

Zaczyna grzebać w przeszłości, żeby znaleźć coś, co mogło przyciągnąć uwagę policji, ale chociaż się bardzo stara, niczego nie znajduje. Nic, absolutnie nic.

Przyspiesza, trąbiąc klaksonem.

Roberta wrzeszczy zrozpaczona. Drzwi są zamknięte od środka, strach o męża sprawił, że wybiegła bez kluczy. Z okolicznych okien zaczynają wyglądać ludzie przyciągnięci krzykiem. Roberta wali w drzwi. Z wewnątrz żadnego dźwięku.

Kierowca mówi:

– Pani prokurator, to tu, na końcu uliczki. – Ledwo kończy mówić, widzą kobietę walącą otwartymi dłońmi w zamknięte drzwi. Krzyczy.

Laura spogląda na Lojacono, w jego oczach widzi rozpacz, złość, bezsilność.

Inspektor wyskakuje z samochodu, zanim jeszcze się zatrzymał, ręka już szuka kabury pod pachą.

W tej samej chwili z piskiem opon pod dom zajeżdża mercedes.

LIX

Orlando patrzy przelotnie na radiowóz zaparkowany na chodniku i pędzi w stronę żony.

Ona chaotycznie opowiada o jakiś wypadku, którego nie było, o facecie mówiącym przez domofon i o zamkniętych drzwiach. Podchodzi Lojacono z odznaką w dłoni, za nim Piras i dwóch policjantów w mundurze.

– Czy pan inżynier Orlando Masi?

Próbuje się połapać, co się dzieje, jest skołowany i nie potrafi ustalić, co ma najpierw zrobić.

Patrzy nerwowo w górę, na okna na piętrze. Wsadza klucz, ale drzwi wydają się zablokowane od środka.

– Tam jest moja córka, ma siedem miesięcy, jest sama w środku, drzwi się zatrzasnęły. Pomóżcie nam wejść.

Inspektor zbiera błyskawicznie myśli. Obawia się, że dziewczynka wcale nie jest sama, nigdy nie wierzył w zbiegi okoliczności. Rozgląda się, żeby znaleźć ślady kroków albo sprawdzić, czy ktoś ich nie obserwuje z daleka. Widzi, że w każdym oknie ktoś stoi i się gapi.

Rozpacz to najciekawsze z widowisk.

Każe obojgu się odsunąć i wzywa policjantów. Obmacują drzwi. Silniejszy cofa się o krok, daje kopa w okolice zamka, potem jeszcze raz, i jeszcze. Wreszcie drewno pęka i robi się szpara. Drugi policjant przyniósł metalowy pręt z radiowozu i próbuje podważyć drzwi.

Tymczasem Piras zajmuje się żoną, stara się ją uspokoić, a przy okazji zrozumieć, co się wydarzyło. Ponad ramionami kobiety, które trzęsą się od płaczu, rzuca spojrzenie inspektorowi. Mieli rację. Ale to żadne pocieszenie.

Drzwi ustępują z trzaskiem. Masi chce wpaść do środka, ale Lojacono go powstrzymuje.

– Proszę się odsunąć. Niech pan zostanie z żoną, najpierw my wejdziemy.

Szybkim ruchem wyciąga berettę z kabury. Policjanci podchodzą, bierze ze sobą jednego, drugiemu każe czekać na zewnątrz. Inżynier w furii wyrywa się i wchodzi,

zaraz za nim żona i Laura.

Lojacono każe im się uciszyć. Zatrzymują się w ciasnym przedsionku u podnóża schodów. Na górze Lojacono widzi dwoje drzwi, jedne z nich uchylone.

Wszyscy powstrzymują oddech. Na zewnątrz słychać śpiew ptaków.

Z góry dochodzi ich leciutki jak szept śpiew:

– *Luli luli laj, dam ci z nieba gwiazdkę...*

Kontrast między kołysanką a zachrypniętym męskim głosem, groźba zawarta w samej obecności tego człowieka przyprawia wszystkich o gęsią skórkę.

Matka dziewczynki pada na kolana ze strasznym jękiem. Ojciec chce wbiec po schodach, ale Lojacono go zatrzymuje. Inżynier patrzy mu w oczy i widzi absolutną determinację inspektora. Staje skamieniały.

Z pokoju dobiega znów śpiew.

– *Najładniejszą dam, tylko śpij malutka.*

W głosie słychać coś w rodzaju czułości, która czyni to wszystko jeszcze bardziej upiornym. Lojacono zaczyna wchodzić po schodach, jak najciszej, z pistoletem gotowym do strzału, drugą rękę opiera o ścianę dla zachowania równowagi. Za nim równie bezszelestnie idą Masi i policjant.

Matka pozostaje na kolanach u podnóża schodów, z twarzą ukrytą w dłoniach. Laura uklękła przy niej, obejmuje ją, ale jej czarne oczy śledzą plecy Lojacono, który jest już w połowie drogi. Jest przerażona. I znów to samo, myśli. Nie, błagam.

– *Luli luli laj, dam ci księżyc, jeśli chcesz...*

Lojacono jest już na górze przy uchylonych drzwiach. Opiera się o framugę i nogą lekko popycha skrzydło, tak, żeby go nie było widać ze środka pokoju.

Wydaje się, że mężczyzna nie zdaje sobie sprawy, że drzwi się otworzyły, choć te lekko przy tym skrzypią.

– *Jak mi miły Bóg, tylko zaśnij już.*

Zachęcony tym Lojacono robi krok w bok, żeby lepiej się rozejrzeć.

Pokój tonie w półmroku, z okna wlewa się blade matowe światło. W kącie przy łóżeczku widzi stojącą sylwetkę. Stamtąd pochodzi ten śpiewny głos.

Wyciąga broń, mrugając powiekami, żeby szybciej oswoić się z półmrokiem.

– Stój, ręce na ścianę.

Sylwetka staje się niskim mężczyzną z zawiniątkiem na rękach, którym kołysze powoli. Jest stary, a w każdym razie tak wygląda. Podnosi rękę do twarzy, ociera łzę.

Lojacono już wie, że ma przed sobą Krokodyla.

W tej samej chwili dociera do niego, że trzyma w ręku becik z dziewczynką.

Stoją tak naprzeciw siebie. Lojacono na rozstawionych nogach, z pistoletem trzymanym oburącz, wycelowanym w mężczyznę. Tamten ciągle kołysze dziecko, mruczając kołysankę. Oczy inspektora już całkiem oswojone z półmrokiem dostrzegają długi zarys tłumika. Z tyłu dochodzi zduszone skamlenie ojca małej, jak podmuch wiatru.

Mijają sekundy, nic się nie dzieje. Lojacono wie, że nie może strzelić, nie ryzykując, że trafi dziewczynkę. Ale gdyby tamten mężczyzna miał zrobić coś niebezpiecznego, musiałby i tak spróbować. Przesuwa lekko muszkę w stronę głowy, jak najdalej od małej. Oddycha powoli, starając się odzyskać zimną krew.

Mężczyzna odzywa się wreszcie słabym głosem.

– Cisza! To jest chwila ciszy, nie rozumiecie? Nie potrzeba już nic mówić.

Lojacono rozgląda się po pokoju, starając się wymyślić sposób, żeby odebrać mu z rąk dziewczynkę. Wyrwać z paszczy Krokodyla. Za sobą ciągle słyszy lament ojca.

W pewnym momencie oczy inspektora przyciąga słaby refleks na ziemi, przy ścianie naprzeciw starego. Zastanawia się, co to jest, podnosi wzrok i widzi ramkę ze stłuczoną szybą, w środku rysunek z twarzą dziecka. I z plamą pośrodku.

Odtwarza trajektorię, która prowadzi do becika w ramionach mordercy. Rozumie, w jaki sposób pocisk trafił w rysunek, już wie, przez co musiał przejść.

Szepcze:

– Nie, kurwa, nie.

Ojciec w tej chwili odzywa się głosem zdławionym przez płacz:

– Zostaw ją, błagam. Zostaw moją córkę.

Stary człowiek odpowiada uroczyście:

– Zostawić ją. Tak jak ty zostawiłeś moją. Tylko że moja potem umarła.

Odwraca powoli dziewczynkę, pokazując im otwór na środku małego czoła.

Potem ją upuszcza, szepcząc:

– Kochana, kochana moja. – Podnosi pistolet do skroni.

Strzela.

LXX

Kochana, Kochana moja,

to mój ostatni list. Dziś wieczorem będę z Tobą, popatrzę w Twoje słodkie oczy, wezmę Cię za rękę. Potrzymam Cię w ramionach, tak jak wtedy, kiedy byłaś mała. Zaśpiewam Ci ulubioną kołysankę.

I dam Ci gwiazdkę. Czy to nie cudowny przypadek, że jego córeczka się tak nazywa?

Nigdy się nie dowiedziałem, jakie byś miała dziecko. Czy chłopca, czy dziewczynkę? Może właśnie miałabyś ją, w końcu ojciec ten sam. Może oddam Ci twoją córkę, posyłając ją do raju, do Ciebie. Należy Ci się.

Twój list, ten ostatni, ten, który mi dali po tym, jak nadeszła wieść o twojej śmierci. Straszliwa opowieść o twoich ostatnich dniach, o tym, co Ci zrobili. Nazwiska, miejsca. Koleżanka, która poradziła Ci, gdzie usunąć ciężę, pielęgniarka i lekarz, którzy dowcipkowali, kiedy grzebali ci w łonie, śmiejąc się z jakiegoś kawału.

I on, najbardziej winny ze wszystkich, ten, który robił Ci złudzenia, a potem uciekł, żeby urządzić sobie cudowne życie na gruzach twojego cierpienia. Wszystkich ich znalazłem. Znalazłem ich z ich dziećmi, z ich szczęściem.

Gdy ich szukałem, Twoja matka umierała zżarta od środka przez Twoje odejście. Jęł za jękiem, oddech po oddechu. Umierała przez piętnaście lat tysiąc razy dziennie z Twoim imieniem na ustach. Ja nie. Ja żyłem, żeby zrobić to, co trzeba było zrobić. I żeby spotkać Cię znów we śnie.

Wiesz, nie wierzę w to, co mówią, że są dobrzy i źli, w piekło i w raj. Wierzę w miłość i piekło na ziemi. Piekło miałem, miłość mam. Nikt już nie będzie mnie mógł trzymać z dala od Ciebie, od mojej cudownej, słodkiej córeczki. Jak już skończę z małą, pozostanie mi ukarać ostatniego winnego, najgorszego.

Tego, który nie wytrzymał wstydu. Który nie chciał cię przyjąć w domu, z dzieckiem czy bez.

Ten człowiek od razu wysłał ci pieniądze, żebyś mogła pójść do tego rzeźnika, mówiąc, że nie masz po co wracać, zanim tego nie zrobisz.

To byłem ja. Najgorszy ze wszystkich. Pierwszy zabójca.

Oko ciągle mi łzawi. Wydaje mi się to sprawiedliwe, wiesz. Ja, który nigdy nie płakałem, muszę teraz ciągle płakać.

Kochana, Kochana moja. Nadeszła chwila.

Kochana moja, idę do Ciebie.

LXXI

Śmierć to taniec, myśli Lojacono. Taniec skomponowany przez podrzędnego choreografa.

Zrobił się już wieczór. Minęło wiele godzin, a ludzie ciągle stali w oknach, ogarnięci nienasyconą ciekawością. Obserwują taniec śmierci, lekarzy sądowych, furgonetkę zakładu pogrzebowego, ekipę dochodzeniową, karetkę – przyjechali po matkę, która zapadła w katatonię, oraz ojca, który nagle się postarzał.

Podczas kiedy trwał ten taniec, Lojacono rozpytał się w okolicy i szybko odkrył, że hotelik naprzeciw gościł niejakiego Felice De Falco, który zajmował pokój, cóż za zbieg okoliczności, naprzeciw willi Masich. Miał tam wszystko, co było mu potrzebne do wykonania swojej misji. Lornetkę, naboje, papierowe chusteczki.

Te same chusteczki znaleźli na ziemi we wnęce w murze sąsiedniej willi. Ostatnia kryjówka Krokodyla. Lojacono patrzy na lampy oświetlające miejsce zbrodni. Tyle czasu, tyle zachodu z powodu czegoś, co już się stało i się nie odstanie.

Czuje palący ciężar klęski. Czuje, że przegrał. Wygrał Krokodyl, choć zginął, podczas gdy on dalej żyje. Wziął sobie to, co chciał, i nie zostawił nic poza długim listem na biurku w hotelowym pokoju. Brednie umysłu zżartego przez cierpienie.

Wsparty o murek z widokiem na zatokę Lojacono patrzy, jak powoli zapalają się światła miasta. Myśli o starym człowieku, który przemierza je wszerz i wzdłuż. Nikt go nie zauważa. Był niewidzialny, Krokodylu. Późnośmy się spotkali, zbyt późno. Za późno na wszystko.

Parę minut wcześniej zadzwonił do Giuffrègo.

– Super, kolego! Widzisz? Miałeś rację. Przestali przezywać cię Montalbano, teraz to ty jesteś Krokodylem. Bo go w końcu dopadłeś.

Ja, Krokodyl? – myśli Lojacono. Może to słuszne. Sam, zrozpaczony, niewidzialny. I z głodem miłości, który nigdy nie gaśnie.

Laura Piras obserwuje go z daleka. Za nim miasto spoczywa jak śpiący zwierz. Wie, o czym on myśli. Że to na pewno nie jest zwycięstwo. Ona też tak uważa. Nie ma zwycięstw, kiedy ginie siedmiomiesięczna dziewczynka.

Paradoksalnie śmierć dziewczynki wywołała w niej dziki głód życia. Za dużo czasu spędziła bez życia. Za dużo czasu cierpiała.

Strach, który ją ogarnął, kiedy widziała, jak zmierza w górę po schodach, z pistoletem w dłoni, uświadomił jej, że pora wrócić do świata.

Przez łzy, które napływają jej do oczu, widzi za Lojacono sylwetkę wysokiego, chudego chłopaka w golfie, z gęstą czupryną, który odwraca się, by ją pozdrowić.

Cześć, Carlo, myśli sobie. Żegnaj.

I zastanawia się, kiedy inspektor wpadnie na to, by ją zaprosić na kolację. A może to ona musi go zaprosić.

Dziesięć metrów dalej Lojacono otrząsa się z zamyślenia i zbiera całą odwagę. Wyciąga komórkę, przerzuca imiona w kontaktach i znajduje to, którego szukał.

Robi głęboki wdech, naciska zieloną słuchawkę. Czeka z sercem w gardle, jeden dzwonek, dwa, pięć. Kiedy zrezygnowany już ma nacisnąć czerwoną słuchawkę, odzywa się dziewczęcy, nieśmiały głos:

– Halo?

Podziękowania

Ze strony inspektora Lojacono podziękowania zechcą przyjąć:

Luigi Merolla, Fabiola Mancone, Valeria Moffa, Luigi Bonagura, Paolo Ferradino – anioły, które czuwają nad tym nieszczęsnym miastem.

Giulio Di Mizio i jego spojrzenie na śmierć. Maria Pia Salerno i jej spojrzenie na życie.

Giulia, Maria Paola i Antonio za tamten wieczór w Mediolanie.

Corpi Freddi za tamtą noc w Mantui.

Ze strony autora, jak zawsze i od zawsze, wdzięczność dla Paoli.

Marzec 2012

[1] *Serpico* – film Sidneya Lumeta z 1973 roku z Al Pacino w roli Franka Serpico, który podejmuje samotną walkę z korupcją w szeregach nowojorskiej policji.

[2] Komisarz Jules Maigret – główny bohater serii powieści i opowiadań kryminalnych autorstwa Georges'a Simenona.